

Kiedy przeszłość nie pozwala  
o sobie zapomnieć

ANNA  
Klejzerowicz

KUŹNIA  
PRZEKŁĘTYCH

Purple  
BOOK



ANNA  
**Klejzerowicz**

**KUŹNIA  
PRZEKŁĘTYCH**

*Purple*  
**BOOK**  
WYDAWNICTWO

*Dedykuję tym, którym zależy.  
Nieobojętnym*

**Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.**

*I patrzę, patrzę. Do tego byłem wezwany:*

*Do pochwalania rzeczy, dlatego że są.*

**Czesław Miłosz, *Kuźnia***

# CZEŚĆ I

## *Kryszewo. Przed świtem*

Starsza kobieta się przebudziła. Coś wyrwało ją ze snu, może usłyszała jakiś dźwięk, szelest, stuknięcie wywołane przez kota, który właśnie zeskoczył z parapetu. Albo ciśnienie znowu dawało się we znaki, jak to na przedwiośniu. Lub dopadł ją senny koszmar. A może... przecucie? Leżała jeszcze przez chwilę, nasłuchując, po czym wstała. Mimo dziewięćdziesiątki na karku była jeszcze całkiem sprawna. Dobre geny. Kobiety w jej rodzinie bez problemu przekraczały setkę. Ona też nie zamierzała się poddać. Jeszcze nieprędko.

Zapaliła lampkę nocną, wsunęła stopy w bambosze – dom był stary i zimny – i poszła skorzystać z przylegającej do sypialni toalety. Przy okazji nałała sobie wody do szklanki, by splukać przykry posmak pozostały ze snu. Już miała wracać do łóżka, ale jeszcze odruchowo zerknęła w okno, w ciemność nocy, bo choć do świtu było niedaleko, jednak tutaj, w lesie, pomiędzy starymi drzewami nadchodził później niż gdzie indziej. I wtedy to zobaczyła: migające światełko w starej kuźni. Światło, którego nie powinno tam być. Budynek od dawna stał w ruinie, a wokół niego nic, tylko wąska dolinka, dość wartki potok, nieużytki i kolejna ściana lasu. Jedynie ich dom znajdował się w pobliżu, a tuż za nim szosa.

Znowu! – pomyślała z bijącym sercem. To się znowu dzieje!

Kot ponownie wskoczył na parapet i zamiauczał, jakby znał jej myśli. Pogładziła jego grzbiet uspokajającym gestem. Zgasiła lampkę i przez pewien czas oboje obserwowali mrugające światło. Przygasło i ożywało na zmianę, ktoś poruszał się w opuszczonym budynku, być może przyświecając sobie latarką. O tej porze? Zerknęła na automatyczny budzik na stoliku nocnym, prezent od syna.

O trzeciej nad ranem?... Chyba jedynie duchy. A duchów tam pełno. Gdy tak stała, drżąc w nocnej koszuli, bo wychodząc tylko do łazienki, zapomniała narzucić na ramiona szlafrok, wróciły do niej wspomnienia. Rozpaczliwe krzyki rodziny pędzonej przez ulewny deszcz pod lufami karabinów. Płacz dzieci. Gardłowe komendy oprawców. Upiorne cienie w świetle latarek i reflektorów. Wtedy też stała w tym samym oknie i się bała. Tyle że była jeszcze dziewczynką. Miała jakieś dziesięć lat. A może trochę więcej? Kiedy ten czas zleciał?...

Przez moment poddała się refleksji, szybko jednak odpędziła od siebie sentymenty. W późniejszych latach jeszcze kilka razy widywała jakiś poblask w ruinach. I za każdym razem zapowiadał śmierć.

Wzdrygnęła się. Nie zapalając lampy, zawróciła w stronę łóżka, zarzuciła na siebie flanelową kwiecistą podomkę i niemal po omacku wyszła na korytarz. Lepiej nie kusić złego. Dopiero tam poświeciła sobie małą podręczną latarką, którą na wszelki wypadek nosiła zawsze w kieszeni szlafroka. Kot szedł za nią krok w krok, tuż przy nodze, miękko i bezszelestnie. Nie opuszczał jej, dzięki czemu czuła się pewnie. Był niemal tak stary jak ona. Oczywiście w kocich latach.

Po chwili zastukała energicznie do drzwi sypialni syna.

## *Kryszewo, kwiecień*

Ostry dźwięk telefonu zbudził Felicję o jakiejś niemiłosiernej porze poranka. Gdy spłoszona zerknęła w okno dachowe, dopiero robiło się widno: noc powoli przechodziła w świt, czern w szarość. Na szybie leniwie rozpryskiwały się drobne krople kwietniowego deszczu. Zakłęła pod nosem, próbując oprzytomnieć, zanim niechętnie wyciągnęła rękę po smartfon, który nie chciał umilknąć, wciąż dzwonił uparcie, bez litości. Na wyświetlaczu widniało tylko jedno słowo: Ryba. Dopiero wtedy usiadła na łóżku, a raczej na materacu, nieco przytomniejsza. Ryba? O tej godzinie? Bez naprawdę ważnego powodu nie ośmieliliby się! Odebrała.

– Hej, Ryba, czy coś...

– Zrywaj się, redaktorko! – przerwał jej policjant. – Tak, coś się stało. Diabli nadali, jak nie urok, to sraczka. Jeśli nie chcesz stracić tematu, to się pospiesz i przyjeżdżaj do dolinki, gdzie stoi stara kuźnia. Zanim zrobi się szum. Wiesz, gdzie to jest?

– Chodzi o ten opuszczony budynek za lasem?

Stefańska automatycznie zaczęła się zbierać, uspokajając Burego łypiącego na nią z wyrzutem. A niech śpi dalej – pożałowała psa.

– Tak, dokładnie, o tę, kurwa, przekłętą kuźnię czy kuźnię przeklętych, różnie ją tu nazywają.

– No dobra, zbieram się, ale co się dzieje? Możesz mi wreszcie powiedzieć? – Sięgnęła po sweter i klapki.

– A, właśnie. Trupa znaleźli. I to nie byle jakiego, ale o tym na miejscu. Tylko pospiesz się, nim sprawa się rozniesie. Pałka jest już w drodze, to on kazał mi do ciebie zadzwonić. Pewnie sam się bał, dlatego zwałił to na mnie. No. Ktoś z prokuratury dojedzie później, czyli mamy trochę czasu. Aha, Greta też zaraz będzie...

– Greta?! Nic z tego nie kumam.

Dziennikarka zbiegła z antresoli, po drodze do łazienki włączyła ekspres. Śniadania zjeść raczej nie zdąży, ale kilka łyków mocnej kawy powinno postawić ją na nogi.

– Zrozumiesz, jak dojedziesz – uciał Ryba. – Muszę kończyć, dotarli techniczni. Widzimy się! – Rozłączył się.

Ciekawe, o co chodzi, co znowu za trup... Może jakiś wypadek, skoro ściągnęli Gretę? Normalnie nie zdarzało się, żeby od rana niepokoić wójta gminy.

Umyła się pospiesznie, wlała w siebie w biegu kubek kawy, przy okazji parząc usta, wciągnęła dżinsy, narzuciła na siebie grubą bluzę z polaru i wiatrówkę z kapturem. Mimo wiosennej pory poranki wciąż były zimne. Niesforne brązowe włosy spięła gumką na karku.

Za bardzo urosły, pomyślała, trzeba by je było w końcu przyciąć, ufarbować... ale wiedziała, że i tak o tym zapomni.

Zasnurowała buty. Bury nawet się nie ruszył. I dobrze, niech jeszcze poleży w ciepłej pościeli. Pozazdrościła mu przez chwilę, szybko jednak zgarnęła telefon, klucze i zbiegła na dół, starając się nie obudzić gospodarzy. Na podjeździe przed domem czekał jej wysłużony kamper. Ale nie, tym razem wystarczy rower. To w końcu tylko kawałek drogi, w kwadrans doszłaby tam z buta, szkoda nawet odpałać samochód. Aż tak bardzo nie pada. A przynajmniej dobudzi się w drodze, na świeżym powietrzu...

– Greto, przyjrzyj się, rozpoznajesz tego gościa? Czy to radny z waszej gminy? – zapytał nadkomisarz Palczyński.

Greta musiała się zmusić do spojrzenia jeszcze raz na twarz trupa. Widać było po niej, że ciężko to znosi, bardzo zbladła. Nic dziwnego, widok nie należał do najprzyjemniejszych: denat miał rozłupaną czaszkę, co w kałuży niestężalej krwi wyglądało upiornie, zwłaszcza że twarz pozostała w zasadzie nie-naruszona. Szeroko otwarte, wręcz wybałuszone oczy, zastygłe w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia i przerażenia jednocześnie przesywały powietrze. Felicja chwyciła przyjaciółkę za ramię, ściskając je mocno, by dodać jej odwagi i podtrzymać, gdyby zasłała.

– Tak, to nasz radny – potwierdziła pani wójt nieoczekiwanie mocnym głosem. – Nazywa się... nazywał... Marek Kownacki.

– Dziękuję. Aha, jeszcze jedno. To twój radny? To znaczy z twojego ugrupowania?

– Nie, cholera! – Pokręciła głową i cofnęła się, byle dalej od zwłok. – Niech to szlag, to radny opozycyjny. Jeden z moich najbardziej zaciekłych wrogów w radzie gminy. Ale co on robił w tych ruinach po nocy?!

Pałka wzruszył ramionami.



– Tego będziemy się musieli dowiedzieć – odparł. – Na razie wiemy tyle samo co wy. Wygląda na to, że czegoś szukał lub na kogoś czekał. Nikt go tu raczej siłą nie zaciągnął, dobrowolnie przyszedł. I dostał w łeb.

– Jestem podejrzana? Myślicie, że ja go stuknęłam, bo był z opozycji? – Greta Pazik odrobinę podniosła głos, który zadrżał lekko.

– Daj spokój, stara – wtrąciła Stefańska. – Oni na razie nic nie myślą. A na tym etapie wszyscy są podejrzeni. Chyba że się okaże, że facet przewrócił się i rozwalił sobie głowę o kamienną posadzkę. Bez niczyjej pomocy. Artur, mogło tak być?

– Nie sądzę, ale... – Policjant westchnął. – Lekarz już jedzie. Zobaczymy, co powie.

– Czuję kłopoty – upierała się Greta. – To ja będę miała kłopoty. Wszyscy wiedzieli, że prowadzimy, że prowadziliśmy spór.

– Uspokój się, Gretka, nie dramatyzuj. Mogę zrobić zdjęcia? – Felicja zwróciła się do Palczyńskiego.

– Rób, ale ogólne ujęcia. Nie fotografuj zwłok. Nie podchodź za blisko i nie wchodź w drogę technikom, oni są w pracy. Zresztą, co ja ci tłumaczę, sama wiesz.

– Nie bój się, nieboszczyka i tak w razie czego wypikselujemy – obiecała dziennikarka i oddaliła się, by uchwycić najlepsze kadry.

Miejsce było odludne, ponure, choć malownicze. Zrujnowany budynek – otoczony zdewastowanym ogrodzeniem z siatki – stał w kotlinie otoczonej lasem, tuż obok wezbranego tego dnia potoku. Za drzewami, na stoku znajdowało się osiedle domków jednorodzinnych, tutaj jednak nie docierały ślady życia. Jedynym widocznym stąd znakiem cywilizacji była samotna, żółta willa stojąca wśród drzew po drugiej stronie rzeczki. Z oddali od czasu do czasu dobiegały odgłosy przejeżdżających szosą aut, zagłuszone szumem lasu i strumienia. Felicja dostrzegła Rybę, który właśnie podszedł do Greta i coś do niej mówił uspokajająco. Ta potakiwała, choć raczej bez przekonania. Stefańska zrobiła kilka zdjęć i wróciła do nich.

– Kto go znalazł? – zapytała Rybę, bo Pałka akurat rozmawiał przez telefon.

– Facet z tego domu, tam! – Aspirant wskazał ręką na kawałek lasu za plecami. – Wiecie, ten nasz pianista...

– Pianista? Ten, jak mu tam, no... Bagiński? – zdumiała się. – To on tam mieszka, w tym lasku?

– No. Od stu lat, to znaczy jego rodzina, ale on też od urodzenia. Mieszka tam razem z matką. I ona zobaczyła w nocy przez okno światło w tych ruinach. Kazała mu iść sprawdzić, więc poszedł, no i go tu znalazł. A światło waliło z latarki, która leżała na ziemi. Muzyk wykazał się przytomnością umysłu, od razu kapnął się, że pomoc już nie zdoła, więc do nas zadzwonił. Dlatego denat nawet nie zdążył stężeć.

– Ale po co kazała mu sprawdzać?

– To starsza pani. – Ryba wzruszył ramionami. – Podobno ma jakieś obsesje z zamierzchłej przeszłości, a syn jej niczego nie odmawia. Wiesz, to był kiedyś budynek kuźni, coś tu się w wojnę działo, w każdym razie ponoć tu straszy.

– W ruinach zawsze straszy. – Felicja zrobiła jeszcze jedno zdjęcie, tym razem budynkowi. – Gdzie jest teraz ten artysta?

– A tam stoi, komisarz kazał mu czekać na przyjazd prokuratora. Na pewno będzie go chciał przesłuchać, znaczy się, prokurator jego, tego muzyka, jako świadka. – Ryba wskazał brodą za siebie.

Faktycznie, kilkanaście metrów dalej stał okryty wełnianym płaszczem wysoki, szczupły mężczyzna z bujną szpakowatą czupryną. Wyglądał niczym ikona swojej sztuki. Krystian Bagiński miał około sześćdziesiątki i był naprawdę bardzo przystojny. Niestety – jak śmiała się Greta, gdy kiedyś o nim rozmawiały – stracony dla świata, a przynajmniej dla świata kobiet: muzyk był gejem.

– Mogę z nim pogadać? – zapytała dziennikarka.

– Teraz nie. W ogóle nie dziś. Innym razem go dopadniesz. Na razie nie rzucaj się w oczy.

Palczyński skończył rozmawiać przez telefon, włożył aparat do kieszeni i podszedł do nich szybkim krokiem.

– Greta, jak się czujesz? – zapytał, a kiedy pani wójt pokręciła głową, dodał: – Zaraz będzie prokurator. Lepiej stąd znikajcie, dziewczyny. Ona nie lubi osób postronnych na miejscu zdarzenia, gdy prowadzone są czynności. Ryba, wyprowadź je stąd i wracaj od razu. Będiesz potrzebny, bo to ty pojawiłeś się tutaj jako pierwszy. Pospieszcie się. Felicja, skarbie, zajrzę do ciebie po robocie, dobrze?

– Okej. – Pomimo okoliczności zmusiła się do uśmiechu.

Aspirant zgarnął obie kobiety i odprowadził do terenówki Greta. Nie protestowały. Stefańska

zabrała rower spod budynku starej kuźni, ale Pazikowa zatrzymała ją, zanim redaktorka zdążyła na niego wsiąść.

– Ładuj go do bagażnika – powiedziała. – Znowu zaczyna padać. Odwiozę cię, a przy okazji chcę z tobą pogadać...

Greta była spięta, nawet prowadziła inaczej, nerwowo. No i jechała o wiele szybciej niż zazwyczaj, aż samochodem zarzucało. Pnąc się wąską drogą przez lasek, dobrnęły do szosy i skręciły w lewo, do centrum Kryszewa.

– Najchętniej zabrałabym cię do siebie na kawę, ale dziś nie mogę, za godzinę powinnam być w biurze – odezwała się Pazikowa.

– To może jedźmy do mnie, do redakcji? Kaśki jeszcze nie będzie, w poniedziałki przychodzi dopiero na dziesiątą – zaproponowała Felicja.

– Nie, szkoda czasu. Pójdziemy do naszej cukierni. Mam ochotę na ciastko, może osłodzi mi życie. – Greta wreszcie lekko się uśmiechnęła. Wyglądała na skupioną, a jednocześnie roztargnioną. Jakby zatopioną w innym wewnętrznym świecie, w swoich myślach.

– Ale tam trudno rozmawiać! – zaproponowała dziennikarka. – To mały lokal, obsługa nadstawia ucha, przecież nie będziemy przez cały czas szeptać...

– To chyba dawno do nich nie zaglądałaś? Jakiś czas temu mieli remont. Zaadaptowali sporą część zaplecza na kafejkę. Teraz stoliki stoją w zupełnie innej części niż lada i jest ich więcej. No i zaopatrzyli się w porządny ekspres do kawy.

– Serio? No to jedziemy, muszę to zobaczyć.

Felicja odruchowo złapała za uchwyt, kiedy przyjaciółka gwałtownie przyhamowała przed rondem. Ale nie powiedziała na ten temat ani słowa.

Dotarły na miejsce i Greta zaparkowała przed centrum handlowym. Cukiernia mieściła się kilka kroków stąd. Już po chwili siedziały przy stoliku pod oknem. Rzeczywiście, kawiarnia wyglądała zupełnie inaczej niż wcześniej, przede wszystkim została odizolowana od sklepu. Z głośników dobiegała relaksująca muzyka, białe okrągłe stoły nakryto dzierganymi serwetkami, a w ceramicznych wazonikach stały kwiatki – i to wcale nie sztuczne. Wszystko wyglądało ładnie i gustownie.

Felicja zajęła miejsce. O tej porze nie było jeszcze gości. Przy ladzie jakieś dwie kobiety z małymi dziećmi wybierały ciastka na wynos. Greta poszła złożyć zamówienie. Postanowiły, że sama coś wybierze, bo Stefańskiej jak zwykle było obojętne, co będzie jadła.

Po chwili Pazikowa wróciła z dwoma kawałkami sernika na talerzykach.

– Daj kurtkę, powieszę – zaproponowała dziennikarce i sama zdjęła swój elegancki biały płaszcz. – Wzięłam sernik z czekoladą, bo mają tu wyborny. Za chwilę pani nam przyniesie kawę.

Felicja jak zwykle obserwowała ją zazdrośnie, lecz z podziwem, kiedy zręcznie manewrowała pomiędzy stolikami. Zawsze nienagannie ubrana, z dyskretnym makijażem. Tym razem Greta miała na sobie blad różowy kostium, a pod nim białą bluzkę z żabotem, do tego buty i torebkę w tym samym kolorze. Bujne blond włosy spływały luźno na ramiona. Kobieta, za którą oglądali się wszyscy faceci, bez względu na wiek, od nastolatków po wiekowych mężczyzn, o ile nie byli ślepi.

– Jak ty to robisz? – wycedziła przez zęby, gdy Greta wreszcie usiadła naprzeciw niej.

– Co?

– Że tak wyglądasz?

– A coś ze mną nie tak? – Pazikowa uniosła brew, lecz po chwili obejrzała się na ladę, zza której dobiegał już drażniący zmysły zapach kawy.

– Przeciwnie, wójcino, wyglądasz jak zawsze. Czyli jak gwiazda filmowa. Jak ty to robisz, pytam!

– Moja droga, jeśli chciałaś mnie pocieszyć, to ci się udało. Nic nie robię. Po prostu jestem sobą. Lubię estetykę – odparła trochę przekornie. – Ale ty też nieźle wyglądasz! – dodała, obrzucając przyjaciółkę wzrokiem pełnym uznania.

– No weź! Ja w ogóle nie wyglądam.

– Serio, Felka. Ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaką atrakcyjną kobietą jesteś. Masz naprawdę świetną figurę i oryginalną urodę. Gdybyś tylko nie robiła wszystkiego, żeby to ukryć...

– E, daj spokój. – Skrzywiła się, sięgając po ciastko. – I bez Felkowania, bardzo cię proszę. Na szczęście Arturowi podoba się, że jestem jaka jestem.

– No i jego zdanie jest najważniejsze! – zgodziła się Greta z uśmiechem. – To co, latem ten wasz ślub? O, idą nasze kawki...

Gdy już filiżanki z aromatycznym naparem wylądowały na stoliku, Felicja odpowiedziała:

– Tak, jesienią. Będziesz świadkiem.

Greta pokiwała głową, ale nagle spowaźniała.

– Oczywiście. O ile do tego czasu wszystko się nie sypnie... – odparła dziwnym tonem, po czym lekko dmuchnęła w piankę i upiła łyk cappuccino.

Felicja wyrzeczyła na nią oczy.

– Co ty bredzisz? Co ma się sypnąć? – Odłożyła widelczyk z kawałkiem sernika. – Ostatnio zrobiłaś się cholernie tajemnicza. Nic nie rozumiem.

Greta westchnęła przeciągle, nagle zakłopotana. Wyraźnie toczyła wewnętrzną walkę.

– Bo, widzisz... Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać – odparła i zamilkła, wpatrując się intensywnie w widok za szybą. Nic ciekawego się tam nie działo, wciąż siał deszcz.

– No to mów! – zniecierpliwiła się dziennikarka. – Ma to związek z tym nieboszczykiem? Dobrze się domyślam?

– Nie wiem, czego się domyślasz, ale tak, ma związek. Chyba. Kurczę, nie wiem, od czego zacząć...

– Od początku.

– Dobrze ci gadać. Tylko gdzie ten początek. Widzisz, chodzi o to, że za chwilę zacznie się kampania wyborcza. A w zasadzie już od dawna trwa. Nie zamierzam ponownie kandydować, choć teraz to bez znaczenia. Ten facet jest, a raczej był... moim zaprzysięgłym wrogiem. Jak całe jego ugrupowanie, ale on szczególnie. Personalnie mnie nie cierpiał. Nic ci na ten temat nie mówiłam, bo po co, to wewnętrzne sprawy w radzie, zresztą nie traktowałam tego zbyt poważnie. Wszyscy jednak o tym wiedzieli w gminie i nie tylko.

– To czemu ja nie wiedziałam, będąc rzeczniczką prasową waszej gminy?! – zdenerwowała się Stefańska.

Greta Pazik wzruszyła ramionami.

– Bo to brudy. Ciebie nigdy nie interesowała nasza lokalna polityka. Nie chciałam obarczać cię tymi intrygami, sama zresztą usiłowałam ignorować tę sytuację. Tymczasem okazało się, że nie miałam racji. Chyba wygląda na to, że sprawa jest o wiele poważniejsza, niż myślałam...

Dziennikarka napiła się kawy, ale na sernik straciła ochotę.

– Greta, ale ja dalej nie za bardzo rozumiem. To się nie trzyma kupy! Mówiłaś, że nie będziesz już kandydować, choć nie uwierzę, że wybierasz się na emeryturę. Poza tym przecież wybory samorządowe w tym roku się nie odbędą. Przesunęli je. Więc? O co tu chodzi?

Greta spojrzała jej prosto w oczy.

– Myśl! – ponagliła przyjaciółkę.

– Nie możesz powiedzieć wprost?

– No dobrze. – Pazikowa znowu westchnęła. – To prawda. Nie będę kandydować w wyborach samorządowych. Zamierzam wystartować w parlamentarnych.

Felicja początkowo zaniemówiła, jednak po chwili miała ochotę zaklaskać.

– Greta, to świetny pomysł! Brawo! Wciąż ci powtarzałam, że powinnaś spróbować, że właśnie takich polityków nam potrzeba! Ale ty się z tego śmiałaś. Co ci się stało, że nagle podjęłaś decyzję?

– Dostałam propozycję startu z mojego ugrupowania. Miałabym nawet dobre miejsce na liście. A ponieważ czasy są wyjątkowo trudne, uznałam, że nie powinnam się migać, kiedy mogę jeszcze coś z siebie dać, tym razem nie tylko lokalnie. – Greta się zmieszała. – To miała być dla ciebie niespodzianka. Dlatego na razie trzymałam wszystko w sekrecie. Zamierzałam zapytać, czy poprowadziłabyś moją kampanię...

– Nad tym musiałabym pomyśleć. Nigdy tego nie robiłam, nie pracowałam w żadnym Komitecie Wyborczym. Ale to drugorzędne. W czym problem? Przecież nie zamordowałaś tego radnego?

– Nie, nie mam zwyczaju zabijać ludzi, z którymi się nie dogaduję, ale sama widzisz! Nawet tobie coś takiego przyszło do głowy! – odparła podenerwowana.

– Zwariowałaś? Przecież żartowałam!

– Ale inni nie będą żartować. Bo ty jeszcze jednego nie wiesz. Cała ta... gra, tak bym to ujęła, trwa już od ładnych paru miesięcy. I ma ścisły związek z miejscem, w którym go znaleźli.

Felicja poczuła, że musi zapalić. Ale nie mogła. Cholerne zakazy!

– Jak to? – podjęła. – Z tym opuszczonym budynkiem? W jaki sposób? Znowu jakaś afera gruntowa?

– Bardzo możliwe. Tak to wygląda. Ten „opuszczony budynek” to zabytek, najstarsza kuźnia w regionie i najstarsza tego typu w całej Polsce. Owszem, zapomniana i zaniedbana, bo... No właśnie, to dłuższa historia...

– Nie było kasy na renowację?

– Nie tylko o to chodzi. Tak, to też, wiadomo że zawsze chodzi o pieniądze. W tym jednak przypadku sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. – Greta zerknęła w popłochu na swój maleńki złoty zegarek. – Niestety, teraz ci już tego nie opowiem, muszę lecieć do urzędu! W dodatku czeka mnie tam horror. – Zerwała się z miejsca i pobiegła po płaszcz. – Wieść już się zapewne rozniosła. Przynieść ci swoją kurtkę?

Felicja pomachała ręką, że nie.

– Skończę ciastko. A ty leć i trzymaj się tam! Porozmawiajmy później, może wieczorem w redakcji?

– Nawet koniecznie. Gdziekolwiek. Zadzwoń! Aha, rower ci przywiozę! – Niemal wybiegła z lokalu odprowadzana ciekawskim wzrokiem personelu. Dla nich Greta była tu gwiazdą.

Felicja, zamyślona, dokończyła sernik, dopiła kawę i wyszła. Skręciła w stronę ławki przy centrum handlowym i z ulgą zapaliła papierosa.

Kiedy Stefańska wróciła na swoje poddasze – mieszczące zarówno jej kwatery, jak i biuro redakcji – Kasia Malinowska, młoda asystentka Felicji, była już obecna i siedziała przed komputerem, stukając zapalczywie w klawisze. Robiła to w imponującym tempie.

– Cześć, Kaśka!

– Hej, zaczekaj chwilę, zaraz przerwę, tylko skończę jedną myśl... No, gotowe. – Kasia obróciła zamasyżycie swoje krzesło w stronę szefowej. – Bury już nakarmiony i wysikany – zameldowała. – Słuchaj, co się tutaj znowu dzieje? Od rana byłam z zastępcą wójta na otwarciu nowego przedszkola w Sosnowce, więc jestem nie na bieżąco. Jakies poruszenie panuje w miasteczku, ale słyszałam tylko ploty, z których trudno coś wywnioskować. Ponoć chodzi o starą kuźnię za lasem. Założę się, że ty już wiesz.

– Wiem. Nawet stamtąd wracam. – Felicja przywitała się z psiakiem i powiesiła kurtkę na wieszak. – Dzieje się. W ruinach znaleźli trupa i nie zgadniesz jakiego...

– Nawet nie chcę go sobie wyobrazić. – Wzdrygnęła się Malinowska.

– Ej, nie pękaj, młoda! Nie w tym sensie. Chodzi o to, kim był nieboszczyk.

– A kim był?

– Radnym gminy.

– O matko! Kolega pani Grety?

– Gorzej. Z opozycji.

– Czemu gorzej?

– Zastanów się. Faceta ktoś załatwił. Nocą, w odludnym miejscu. Ma rozwalony łeb. Trwają walki wyborcze. Pierwsze, co zrobią gliny, to przeorają lokalnych polityków. Greta może być wśród podejrzanych.

– Masakra. Biedna pani wójt. Chcesz kawy? – zapytała Kasia. – Bo ja się muszę napić. Zaszokowałaś mnie.

– Herbaty.

– Już parzę.

Bury oczywiście poleciał za Kaśką do kącika kuchennego w nadziei, że może znowu coś mu tam się trafi. Zapewne zresztą się nie rozczaruje: młoda dziennikarka miała wyjątkowo miękkie serce, a on już o tym wiedział.

Podczas gdy Malinowska zajęła się przyrządzaniem napojów, Felicja włączyła swój laptop i znalazła stronę urzędu. Kliknęła w zakładkę „Radni” i wyszukała Marka Kownackiego. Powiększyła zdjęcie. Młody, śliski, ulizany. Brunet z wąsikiem, z twarzy faszysta. Spojrzała na dane. Pokolenie milenialsów. Ekonomista z zawodu, wcześniej pracownik korporacji. No tak...

– Czego szukasz? – Po chwili weszła Kaśka z tacą. – Tego radnego?

– No. Znalazłam.

– I co? Pokaż...

– Raczej antypatyczny typ. O zmarłych się niby źle nie mówi, ale my tu nie będziemy niczego owijać w sreberka.

– Faktycznie, okropny – zgodziła się Malinowska, zerkając na ekran. – Kojarzy mi się z... z agresją. Nie cierpię takich facetów, co nie znaczy, że trzeba ich mordować. Ale chodźmy do stolika, bo nam wszystko wystygnie. I opowiadaj.

– Może zaczekamy na Palczyńskiego? – zaproponowała Stefańska. – Jest jeszcze pewnie na miejscu zbrodni. Powinien niedługo przyjechać. Zresztą Greta też.

– O nie! Tylko ja o niczym nie mam pojęcia. Nie zgadzam się. Przynajmniej wprowadź mnie w temat!

Felicja uniosła ręce.

– Okej, okej, ale najpierw powiedz głośno, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zapalę sobie do herbaty.

– Spryciaro... Spoko, nie będzie mi przeszkadzać. Mów!

Felicja streściła wszystko, czego dowiedziała się tego dnia na miejscu zdarzenia i od Grety Pazik. Kasia Malinowska wysłuchiwała jej w skupieniu, notując szczegóły w notesie.

– Bardzo dziwna sprawa. – Zamyśliła się, wpatrując się w zapiski. – Zagadkowa. Myślisz, że za tym kryje się polityka?

Stefańska wzruszyła ramionami, gasząc papierosa w pustej doniczce.

– Nie wiem, czy polityka, może raczej ekonomia? – odparła.

– To z reguły się łączy...

– To prawda. Zaczynasz dorastać, Kaśka! – Uśmiechnęła się do dziewczyny, która spojrzała na nią z udawanym oburzeniem.

– Co? Myślałam, że już od dawna jestem dorosła. Skąd ten wniosek, szefowo?

– Bo tracisz złudzenia.

– No może. Trudno ich nie stracić, kiedy się w tym żyje. Coś w tym jest – zgodziła się po chwili zastanowienia. – Nie tak dawno temu straciłam je na własnej głowie.

Felicja pominęła to milczeniem, przypominając sobie, że Kasia została zaatakowana podczas dziennikarskiego śledztwa i wiele miesięcy spędziła w szpitalu, walcząc o życie i pełną sprawność.

– Zastanawiam się, o co chodziło Grecie. Mieszkasz tu od dziecka. – Wróciła do tematu. – Co wiesz na temat tamtego miejsca?

– Tej dawnej kuźni? Bo tam kiedyś była kuźnia, a może kuźnica, nie wiem, czym to się różni, nie znam się na tym za bardzo. Ale dawno temu. Podobno to jest bardzo stary budynek. Przed wojną mieściła się w nim restauracja albo kawiarnia. Taka raczej dosyć ekskluzywna. Po wojnie nie wiem, jakieś magazyny. Budynek ucierpiał w trakcie walk, a potem niszczał. Chcieli tam coś robić, dom kultury, dom dziecka, coś w tym rodzaju, ale nie wypaliło. No i ludzie gadali, że tam straszy czy coś...

– Oczywiście. Tam też? – Felicja się zaśmiała. – Zresztą w których starych budynkach nie straszy!

– Tak, ale tam podobno nie straszą duchy, tylko diabeł. Jest nawet odcisk jego kopyta. No i... ale od razu mówię, że świadkiem nie byłam – zastrzegła się Malinowska. – Tylko powtarzam, co słyszałam od dziecka. Więc mówią, że każdy, kto kiedykolwiek skusi się na ten budynek, wywołuje diabła, który uważa tę kuźnię za swoją własność. I taka osoba ginie. A diabeł wciąż tam mieszka. Niektórzy nawet boją się obok niego przechodzić!

Felicja napiła się herbaty.

– Przynieść herbatniki? – zapytała Kasia.

– Co? Nie, daj spokój. Już dziś jadłam ciastko, mam dość słodczy. Ale ty sobie weź...

– To wezmę krakersy.

– Bierz, co chcesz. Może przez tego diabła nikt nie zagospodarował tej kuźni? – Felicja lekko podniosła głos, żeby Kaśka lepiej słyszała z kącika kuchennego.

– Pewnie tak. – Młoda wróciła razem z Buryem, który zrozumiał, że ma szansę na krakersa. –

Ludzie są przesądni. A zwłaszcza kiedyś byli – dodała.

– Byli, są i będą. Oświata może upaść, ciemnota jest wieczna. Ale wcześniej w tym miejscu były jakieś zwłoki?

– Ja nic o tym nie wiem. – Malinowska ugryzła ciastko, a resztę oddała psu. – Może i kiedyś były, ale za moich czasów o żadnych trupach tam nie słyszałam. Diabła też zresztą nie widziałam.

– Diabła to można spotkać wszędzie... Na każdym kroku.

– Ale akurat tam go nie spotkałam. Choć chodziliśmy do tych ruin jako dzieci.

– Nie baliście się?

– Baliśmy. Jeszcze jak! Właśnie dlatego się tam chodziło. – Dziewczyna uśmiechnęła się do wspomnień.

– Znam to, znam. Z tego samego powodu sto lat temu umawiałam się z innymi dzieciakami na cmentarzu. Musimy wypytać Gretę o tę kuźnię. O wszystko, czego nie zdążyła mi wyjaśnić. Bo może chodziło jej o to, że ktoś pokusił się o ten budynek, przez co wywołał diabła, no i wasza stara przepowiednia się spełniła?

– Ale...



Rozmowę przerwał im dzwonek telefonu. Melodyjka dobiegała z kieszeni Felicji. Dziennikarka wyjęła aparat i zerknęła na ekran.

– To Pałka – oznajmiła, stukając w zieloną słuchawkę. – No hej, gdzie jesteś? – zapytała z mimowolnym uśmiechem na ustach.

– Właśnie kończymy robotę tutaj, za kwadrans mógłbym być u ciebie.

– No to przyjeżdżaj! Czekamy w biurze razem z Kasią. Jesteśmy bardzo ciekawe, co do tej pory ustaliliście. A Greta...

– Z Gretą rozmawiałem, dzwoniła do mnie. Powiedziałem jej, że do ciebie jadę, więc uzgodniliśmy, że ona też będzie.

– Wiem, też się z nią tak umawiałam. – Zaśmiała się. – Czyli robimy naradę? Jeszcze tu tylko Ryby brakuje.

– Nie brakuje – chrząknął. – Pyta, czy też mógłby się zabrać. I tak go podwożę, bo policyjny wóz zabrał wasz posterunkowy, który musiał pilnie zasuwać do jakiejś stłuczki.

– No to super. Czyli kawa dla pięciu osób?

– Zostawcie tę kawę. Mieliśmy jej cztery termosy. Przywieziemy piwo.

– A jak potem wrócisz do Gdańska?

– Może nie wrócę?

Felicja znowu się uśmiechnęła, szybko zerkając na Kasię, która na szczęście zajęła się dokarmianiem Burego smakołykami. Od czasu do czasu Palczyński zostawał na noc, a wtedy oboje przynosili się do kampera Felicji. Ustawiony w ustronnym miejscu w ogrodzie, ukryty za drzewami zapewniał im prywatność.

– Okej – rzuciła. – Niech się zabiera. To czekamy. Tymczasem zrobimy kanapki do tego piwa. To znaczy Kaśka robi, bo jej to lepiej wychodzi!

Malinowska oderwała się od psa i pokazała szefowej język. Zanim jednak Felicja zdążyła się rozłączyć, z rezygnacją udała się do zaimprovizowanej na poddaszu kuchni, by zająć się przyrządzaniem przekąski. Doskonale wiedziała, że w wykonaniu Felicji dostaliby po prostu chleb z serem. Kiedy chodziło o sprawy kulinarne, jej naczelna wykazywała się kompletnym brakiem wyobraźni.

Kiedy policjanci pojawili się w drzwiach, pobrzękując butelkami, półmisek z kolorowymi koreczkami stał już na niskim stole w części łączącej biuro redakcji z prywatnym lokum Felicji. Palczyński wyglądał na wykończonego, Ryba jak zwykle tryskał energią. Obojgu serdecznie witał Bury.

– Siadajcie na kanapie, my sobie przystawimy krzesła – zadysponowała Stefańska. – Fotel zostawmy dla Grety.

– A właśnie, za chwilę powinna być, spotkaliśmy się w sklepie. Chciała kupić jeszcze jakieś ciasto – wtrącił Ryba. – To co, można otwierać piwko?

– A ty się już nie możesz doczekać, aspirancie? – zakpił Pałka.

– No, suszy trochę, szefie. Tyle godzin w robocie...

– Zaczekajmy na panią wójt. Wytrzymasz jeszcze trochę. Nie wypada zaczynać bez niej.

Po kilku minutach usłyszeli stukanie obcasów na schodach. Greta Pazik zdążyła się przebrać w obcisłe niebieskie dżinsy i kremowy sweterek, w czym wyglądała jak zwykle bosko. Mało tego, nie widać było u niej nawet śladu zmęczenia, choć minę miała zatroskaną.

– Przyniosłam placek drożdżowy. Z kruszonką, jak lubi Felicja. – Wręczyła pakunek Kasi i padła na fotel. – O, proszę, co widzę: piwo i kanapki? Chętnie, ale ja bym jednak zaczęła od kawy...

– Czekaj w dzbanku. Kaśka tego dopilnowała. A co do placka drożdżowego to lubię tylko samą kruszonkę – dodała Stefańska.

– Spoko, resztę zjem za ciebie – obiecał Ryba.

– Nie wątpię. No to otwieraj to piwo, Zygmus! I opowiadajcie, co udało wam się do tej pory ustalić.

Podczas gdy aspirant (sztabowy, jak sam zawsze dodawał) rozlewał piwo do szklanek, komisarz sięgnął po kanapkę.

– Zanim zaczniemy... Wybaczenie, ale jestem cholernie głodny, nie miałem czasu nic zjeść.

– No przecież po to są, panie komisarzu, proszę się częstować – upomniała go Malinowska, stawiając przed Gretą dzbanek z kawą i filiżankę.

– Bury, przestań żebrać, na miłość boską, dość się już dzisiaj nachapałeś! Dobra, wystarczy tej gry wstępnej, gadajcie, co macie – zniecierpliwiła się w końcu Felicja.

Palczyński zwrócił się najpierw do Grety:

– Przykro mi, Greto, ale będę z tobą szczerzy: niestety, możesz mieć kłopoty. Chyba sama wiesz

dłaczego. To był podobno twój wróg numer jeden, polityczny przeciwnik. Ludzie już gadają, spekulują.

Pazikowa nie odrywała wzroku od filiżanki.

– Rozumiem. Spodziewałam się tego. – Wzruszyła ramionami. Udawała spokój, choć głos miała zmieniony, jakby lekko schrypnięty. Felicja знаła ją już na tyle długo, że od razu to wychyciła. – Ale mam nadzieję, że jeszcze mnie nie aresztujecie? Tak bez udowodnienia winy? – Ten żart nikogo nie rozśmieszył. Przeciwnie, wszyscy zamilkli.

– Ależ, Greto, błagam cię – żachnął się komisarz. – Litości. Przecież nie to miałem na myśli.

– Tylko co? – Greta była wyraźnie rozdrażniona.

Zakłopotany Ryba wbił wzrok w podłogę, jakby chciał się odciąć od tego, co mówi szef, by nie oberwać rykoszetem. Kasia Malinowska nagle wstała i pod byle pretekstem poszła do kuchni.

– Raczej kłopoty w pracy – wyjaśnił Pałka. – W polityce. Twój przeciwnicy z pewnością marzą o podstawieniu ci nogi. Przecież wiadomo, jak to jest w tym chorym świecie: świństwa, pomówienia, intrygi, haki. Teczki. Wykorzystają każde gówno, żeby zniszczyć konkurencję.

– A tu się akurat nie mylisz. – Greta pokiwała głową. – Liczę się z tym. Więc już plotkują, mówisz?

– Wieści szybko się rozchodzą, zwłaszcza sensacyjne. Posterunkowi podsluchali wśród gapiów.

Kasia przyniosła ciasto, które kupiła Greta, i nałożyła jej kawałek. Felicja nalała sobie piwa i wzięła kanapkę.

– Zostawmy na razie politykę – zaproponowała. – Najpierw uporządkujmy to. Co udało wam się ustalić? Na czym stoimy, co wiemy?

– Racja! – zgodził się z nią Ryba. – Komisarzu?

– Ty mów. W razie czego będę się wtrącał.

– Okej. No więc...

– Nie zaczyna się zdania od „no więc” – mruknęła Stefańska.

– Nie bądź taka skrupulatna. Więc tak... Nasza ofiara to Marek Kownacki, radny z prawicy. Trzydzieści cztery lata, młody gniewny.

– Faszysta, słyszałam?

– Narodowiec. Nie urodził się w Kryszewie, choć jego rodzina ze strony matki stąd pochodzi. Kilka lat temu przeprowadził się z Gdańska na to nowe osiedle na obrzeżach gminy. Kawaler, bezdzietny. Nie wiadomo, co robił po nocy w starej kuźni, ale wygląda na to, że na kogoś tam czekał, może był z kimś umówiony. Przepytałśmy świadków. Jak już wiecie, starsza pani zauważyła światło w ruinie i zaalarmowała syna, tego muzyka. Nie miał ochoty tam iść, bo lało i było ciemno, a on taki delikatny raczej, artysta... Ale matka nalegała. Więc poszedł i znalazł trupa. Zadzwoił na alarmowy. Jak wiecie, zwłoki znajdowały się w progu, tuż przed wejściem do budynku, pod okapem, tam nie ma drzwi, tylko otwór po nich. W środku na stercie desek leżała włączona latarka i sporo petów, stąd nasz wstępny wniosek, że facet na kogoś czekał.

– Albo z kimś tam rozmawiał?

– Raczej nic na to nie wskazuje. Wygląda to tak, jakby ktoś go wywołał lub kogoś usłyszał. Wyszedł i od razu dostał w łeb kamieniem. Zakrwawiony kamlot leżał na glebie obok, zabezpieczyliśmy go.

– Żadnych śladów, świadków? Zwłoki były świeże?

– Tak, to się musiało stać chwilę wcześniej. Bagiński, Krystian Bagiński, wiesz, ten muzyk, zauważył, że krew nie skrzepła, wypływała z rany. Przestraszył się, bo zdawało mu się, że usłyszał jakiś szelest i kroki, jakby ktoś biegł w stronę lasu. Nie miał nic do obrony, tylko latarkę i jakiś kij, więc nie pobiegł za tym dźwiękiem, zresztą nie był pewien, czy mu to się zdawało. W końcu to las, dochodzą stamtąd różne odgłosy, a strach ma wielkie oczy. Nawet trudno się człowiekowi dziwić.

– Sprawdziliście to?

– Felicja, oczywiście. – Tym razem odpowiedział jej Palczyński. – I nawet znaleźliśmy jakieś ślady na skraju lasu, które ewentualnie mogłyby być odciskami stóp, ale to w niczym nam nie pomoże.

– Czemu?

– Bo lało. Wtedy lało i potem wciąż padało. Deszcz zmył wszystko.

– Rzeczywiście, szlag by to...

– No.

– Ta starsza pani Bagińska... Czego ona się bała? Wierzy w legendy o diable i przekleństwie?

Pałka wzruszył ramionami.

– Niewiele wiem o waszych zabobonach, ale może i wierzy. Zdaje się, że tutaj wielu w nie wie-

rzy? Ale o co innego chodzi. Ta kobieta ma jakieś osobiste wspomnienia związane z tym budynkiem. Z czasów wojny. Poza tym przez wiele lat była sołtyską Kryszewą i chroniła ten budynek przed zakusami... przepraszam cię, Greto, znowu ci podpadnę... przed zakusami urzędników i polityków, ale także wandalami, którzy chcieli go zniszczyć, może ze strachu przed tym diabłem. Zabytek był jej oczkiem w głowie.

– No i krążyły pogłoski, że w opuszczonym budynku już ze dwa razy znaleziono zwłoki. Ona też o tym wspomniała – dodał aspirant. – Światło w ruinach od razu jej się z tym skojarzyło.

– Wiecie coś o tym? – zapytała Stefańska. – O tamtych trupach?

– Nie, mnie się zdawało, że to legendy. Starsza pani nie potrafiła niczego konkretnego wskazać. Jeśli w ogóle to prawda, to musiało być dawno temu, na pewno jeszcze za głębokiej komuny.

Greta chrząknęła.

– Podobno w latach pięćdziesiątych albo sześćdziesiątych – wtrąciła. – Ale ja też wiem o tym tylko z plotek. Natomiast mogę wam powiedzieć, czego szukał tam Kownacki, choć to tylko moje domysły. I tak byście do tego doszli. Aktualnie trwa w gminie spór o ten zabytek. Kownacki właśnie tym się zajmował, a raczej jego stronnictwo, pomysł wyszedł od nich. Chcieli sprzedać tę posesję deweloperom z Azji. Z drugiej strony stoją moi radni, którzy planują odrestaurowanie obiektu i zagospodarowanie go przez gminę i na użytek gminy. Oczywiście obie strony ustawicznie podstawiają sobie nogi, a istnieje jeszcze trzecia opcja: ludzie. Część mieszkańców chce ten straszący budynek wyburzyć, grunt zaorać i posadzić tam las.

– A ty po której jesteś stronie, Greto? – zapytał komisarz.

– Po stronie interesu gminy, to jasne, ale tak naprawdę nie uczestniczę w tych rozgrywkach. –

Wzruszyła ramionami.

– Ty nie uczestniczysz? – Uniósł brew Palczyński. – Nie wierzę.

– Bo widzisz...

– Powiedz im – zachęciła ją Felicja. – Powinni wiedzieć.

– Nie chciałam jeszcze się z tym zdradzać, ale... to moje ostatnie miesiące w charakterze wójta – wyjaśniła Greta. – Nie będę kandydować powtórnie.

Wszyscy zastygli.

– Ale jak to, dlaczego? – odezwał się w końcu Pałka. – Przecież mogłabyś. Nic chyba nie stoi na przeszkodzie? Są z tobą wyborcy, jesteś popularna, świetnie sobie radzisz, co z tego, że masz też przeciwników? To przecież normalne w polityce. Nie rozumiem, dlaczego chcesz zrezygnować. Poza tym wybory samorządowe mają być dopiero w przyszłym roku, o ile się nie mylę?

Greta spojrzała na Felicję zakłopotana.

– Miałam na razie o tym nie mówić, ale... – zawahała się.

– Bo zamierza wziąć udział w wyborach parlamentarnych – dokończyła za nią Stefańska.

Ponownie zaniemówili.

– Greto, ależ to jest świetna wiadomość! – Klasnął w dłonie komisarz. – Nie miałem pojęcia!

– Chcesz nas zostawić? – Ryba udał troskę, choć gęba mu się śmiała.

Kaśka też pisnęła z emocji.

– Czas dać w gminie szansę młodszym. A gdyby mi się udało, to mogłabym stamtąd zrobić więcej dobrego dla samorządów, niż siedząc przez kolejną kadencję tutaj – odparła Pazikowa. – Lecz w związku z tym musiałabym na czas kampanii wyborczej zawiesić pełnienie urzędu. Dlatego staram się nie wchodzić już w żadne nowe projekty, spory, układy, przynajmniej nie bezpośrednio.

– No tak, rozumiem – zgodził się Palczyński. – Ale twoi radni uczestniczą w... no, jak by to powiedzieć... w tej grze o budynek kuźni?

– Tak jak wspomniałam. – Greta wzruszyła ramionami. – To w końcu ważna kwestia dla gminy.

– Okej – westchnął. – Będziemy musieli z nimi porozmawiać.

– Oczywiście. To jasne.

Stefańska zastukała ołówkiem w blat i dołała sobie piwa, a Buremu rzuciła kawałek szynki z kanapki.

– Dobra, czyli podsumujmy – zaproponowała. – Wszyscy twierdzicie, że za tym zabójstwem stoi kasa i polityka, tak? Konkretnie spory o ten budynek. Wy jesteście o tym przekonani – zwróciła się do komisarza. – Greta najwyraźniej też?

– Tak chyba musimy zakładać. Trudno tu o inny motyw? – wtrącił Ryba, a pozostali skinęli zgodnie głowami.

– Teoretycznie mogłoby chodzić o coś zupełnie innego, na przykład... radny miał schadzkę

z mężatką w ruinach i dostał w łeb od męża. – Felicja prychnęła. – Ale oczywiście zgadzam się z wami, że to raczej nie przypadek.

– W sumie masz rację. Naturalnie sprawdzimy różne warianty – dodał Palczyński.

– Wiadomo. Powiedz, co my tu na miejscu możemy zrobić, żeby wam pomóc w dochodzeniu. Bo póki tu jestem, nie odpuszczę.

– Co to ma niby znaczyć „póki jestem”?! – zaniepokoiła się Kasia Malinowska. – Ty też coś kombinujesz?

– Szykują się zmiany, Kaśka. Wieje wiatr historii – zakpiła reporterka. – Ale na razie się tym nie przejmuj. Artur?

– Co możecie zrobić? To co zwykle. – Komisarz uśmiechnął się do niej ciepło. – Czyli prowadzicie swoje normalne dziennikarskie śledztwo. Obserwujcie, przyglądajcie się, rozmawiajcie z mieszkańcami. Byle dyplomatycznie. Przed wami na pewno odsłonią się szybciej niż przed policją. Ryba będzie do dyspozycji, jakby co. Pomoże. Ale bez jego wiedzy nie róbcie niczego... rozumiesz... kontrowersyjnego. I nawet mi do głowy nie przyszło, skarbie, że ty byś mogła odpuścić! – dodał.

## FELICJA

Mówiąc Kaśce o „wietrze historii”, oczywiście zażartowałam, ale nie do końca. Od pewnego czasu sama – coraz wyraźniej – czuję jego poddmuchy. I to na kilku frontach. Wojna za naszą granicą trwa, zaraza niby odpuszcza, a może wcale nie odpuszcza, tylko się zmienia i ewoluje. Wkrótce się tego dowiemy. Nasza wewnętrzna „domowa wojenka” też ma się dobrze, choć nie trywializowałabym jej, kiedy walczymy o kształt naszej przyszłości. O podstawowe wartości współczesnej cywilizacji. Naszej w sensie kraju, następnych pokoleń, bo my sami już pomału odchodzimy, by stać się częścią historii. Oby nie niechlubną. W ostatecznym rozrachunku bowiem zostaje tylko historia. A ona nie wybacza i nie da się jej na dłuższą metę zakłamać. Zawsze osądzi. I zawsze wypłynie. Natomiast tu, na naszym poletku, wiatr historii wieje także dla nas. To ledwie wyczuwalny zefirek, lecz gdy łączy się z huraganem dziejowym, jego poddmuchy odczuwamy wyraźnie. „Jak na górze, tak i na dole; Jak na dole, tak i na górze”. Stara alchemiczna zasada – prawo powiązania. Wszystko jest ze sobą połączone i powiązane. Makrokosmos i mikrokosmos. Świat zewnętrzny jest tylko odbiciem wewnętrznego. Bo wszystko dzieje się w nas. W jednostkach i społeczeństwach. Dobra. Wiadomo, o co chodzi. Teraz do rzeczy. Dla mnie ten wiatr przywiał zmiany w życiu osobistym. Nie lubię wielkich słów, ale być może to miłość. Może szczęście. W każdym razie coś nowego. Podjęliśmy z Arturem decyzję o sformalizowaniu naszego związku i już się z tego nie wycofam. Zresztą nie chcę. Jemu na tym bardzo zależy, a ja chcę zrobić coś dobrego. Dla niego, dla siebie. Choć będzie się to łączyć z rewolucją w moim świecie, może nie tyle uporządkowanym, ile oswojonym. Gryzłam się tym, że będę musiała zrezygnować z pracy w Kryszewie, nie wiedziałam, jak powiedzieć o tym Grecie. Ale okazało się, że wiatr i tutaj zawiał. I to mocno. Greta chce wreszcie zrobić coś, do czego ją od dawna namawiałam. A to i tak zmieniloby wszystko, bo z chwilą, kiedy Greta przestanie być wójtem, moja rola rzeczniczki prasowej urzędu gminy stanęłaby pod znakiem zapytania. Każdy władarz ma przecież prawo do swojego rzecznika. Zresztą zostaje Kasia Malinowska, którą wszyscy tu kochają, więc nikt jej zapewne nie odwoła, bo po co: jest neutralna. Nie to co ja. Ja byłam związana z osobą Grety, dla niej w swoim czasie podjęłam się tego zadania. Zresztą bez Grety nie będzie to już to samo Kryszewo. Nie dla mnie. Teraz przynajmniej wszystko kończy się w naturalny sposób. Jeśli plany się powiodą, poprowadzę jeszcze jej kampanię wyborczą. Mam nadzieję, że Grecie się uda. Że uda się nam wszystkim. Że wiatr historii wieje we właściwym kierunku. Że nie zostawi po sobie martwej pustyni, tylko przyniesie ożywczy oddech. Chcę w to wierzyć. Muszę w to wierzyć. Inaczej nic nie miałoby sensu.

A potem czeka mnie przeprowadzka z powrotem do Gdańska i praca w zespole prasowym policji w charakterze cywilnego doradcy. Zarzekałam się, że nigdy, że nie chcę wracać do wielkiego miasta. I nie chcę. Ale dla Artura muszę spróbować. Na szczęście jestem mobilna, a ucieczki to w końcu moja specjalność.

Czy dam sobie radę? Tego nie wiem, ale w ostateczności mam jeszcze w odwodzie moją amerykańską redakcję, która chętnie zatrudni mnie nie tylko sezonowo. Co najwyżej będę spędzać więcej czasu w kamperze, w podróży. A ostatnio bardzo polubiłam uczucie bycia w drodze. W stanie zawieszenia. Nieprzypisania do miejsca. Poza czasem.



## *Kryszewo, kwiecień*

– No to od czego zaczynamy? – zapytała Kaśka, gdy już uporały się z bieżącymi sprawami. – Masz jakiś plan, szefowo, czy dopiero go będziemy układać?

Felicja wzruszyła ramionami z westchnieniem.

– Nie mam – odparła, zapalając papierosa w wykuszu przy otwartym oknie. Ciepłej może nie było, ale przynajmniej nie padało, a do ciemnego wnętrza przedostało się rześkie, świeże, już pachnące wiosną powietrze. – Ale na co nam właściwie plan? Będziemy to sobie ustalać na bieżąco. Z planów i tak nigdy nic nam nie wychodzi.

– Okej. – Malinowska wstała zza biurka i się przeciągnęła. – Chyba jednak i tak musimy wykombinować, co robimy na początek. Wiesz co, zacznijmy od herbaty z cytryną, zanim nas tutaj obie pozaziębiasz. Idę zrobić. Burasku, chodź z ciocią, dostaniesz chrupki! – Ruszyła do kącika kuchennego z psiakiem u nogi, któremu nie trzeba było dwa razy powtarzać słowa „chrupki”.

– Nie bądź taka delikatna! – zawołała za nią Stefańska. – Nie ma już mrozu. Zanim wrócisz, wypalę i zamknę okno. Dla mnie bez cytryny!

Zaparzenie herbaty zajęło Kasi kilka minut. Kiedy pojawiła się w biurze z powrotem z kubkami na tacy, Felicja czekała już na wersalce, a na stole leżał notes.

– Wszystko pozamykane na cztery spusty – oznajmiła kpiąco. – Hrabianka się nie przeziębi. To co? W takim razie bierzmy się za sprawę tego trupa politycznego...

– To dyktuj, szefowo, co i jak. – Malinowska też sięgnęła po swój kalendarz.

Stefańska się zastanowiła.

– Myślę, że powinniśmy zacząć na dwa fronty – odezwała się po chwili. – Może na początek pojedziemy obejrzyć miejsce zbrodni, czyli tę starą kuźnię. Tylko najpierw dowiem się od Ryby, czy policja już tam skończyła, żebyśmy mogły spokojnie wejść, pooglądać, porobić zdjęcia...

– Najwyżej Zygmunt pójdzie z nami. Przy okazji mogłybyśmy pogadać z tym pianistą. Jest świadkiem! – Kaśce zaświeciły się oczy.

– A co? Kochasz się w nim czy jak? Jego baby chyba nie interesują. Poza tym jest dla ciebie za stary.

– Nie kocham się, on jest w wieku moich rodziców! – oburzyła się młoda. – Ale uwielbiam, jak gra... Moja siostra latała na każdy jego koncert, czasem zabierała mnie ze sobą. A potem już sama latałam. – Uśmiechnęła się zażenowana.

– Wasz lokalny gwiazdor, co?

– Na pewno. W pewnym sensie. Nasza duma. I nie tylko lokalny. Jest sławny, ale naprawdę dobry, to nie jakiś tam celebryta. Mam siostrę muzyka... muzyczkę? No. To się trochę na tym znam.

– Ale jak do niego pójdziemy, to ci raczej nie zagra. Chyba że na nosie.

– Nieważne. I tak fajnie będzie z nim pogadać. Nigdy nie miałam odwagi, a teraz...

– Okazja, co? – Felicja zmrużyła oko.

– No... – Zarumieniła się młoda dziennikarka.

– Miejmy nadzieję, że nas nie przepędzi. Bo oczywiście, że musimy tam iść i pociągnąć pana artystę za język. Poza tym trzeba będzie rozeznaczyć się, o co chodzi z tym budynkiem. Wiesz, z tymi planami zagospodarowania zabytku. Poszperaj w naszym archiwum, Kasiu, dobrze? Bo czeka nas przeprawa z radnymi.

– Jasne. No więc tak. – Malinowska sięgnęła po swój notes. – Po pierwsze miejsce zbrodni i świadek, który znalazł zwłoki. Czyli Bagiński. Po drugie zabytek i radni. A ten radny, co został zabity?

– Zajmę się nim. W sumie najwięcej będzie na jego temat wiedziała Greta...

Kasia czujnie podniosła palec.

– Może nie być obiektywna! – zauważyła. – Uwielbiam panią wójt, ale to by nawet było zrozumiałe.

– Masz rację. Dlatego nie poprzestanę na jej opinii, tylko pogadam z innymi radnymi. Ale powoli. Najpierw, najlepiej jutro, wybierzemy się razem do tej kuźni. A dziś...

– Poszperam w naszym archiwum – zadeklarowała Malinowska.

– Świetnie. A ja podjadę do Greta i trochę ją pomęcę. Nie zapominaj, że na bieżąco też musimy robić. Czyli przyjdź jutro trochę wcześniej...

– Nie ma sprawy. I tak od rana jadę fotografować nową drogę w Oborkach i nagrać opinie mieszkańców.

– Zapomniałam o tym – zawstydziała się dziennikarka. – Dzięki, młoda. Dobra jesteś! To do roboty.

\*\*\*

– Ale co ja właściwie mogę powiedzieć o tym Kownackim? – Greta Pazik postawiła przed przyjaciółką filiżankę i przysunęła bliżej tacę z winogronami. – Praktycznie go nie znałam. Jest... był u nas nowy, należał do ugrupowania, którego nie popieram, ale tyle sama wiesz. Prywatnie nie miałam z nim nigdy do czynienia. Nie lubiliśmy się. Zawsze wydawał mi się śliski, ale nie będę rzucać oskarżeń, bo nie mam dowodów. A swoje przeczucia mogę sobie wsadzić, wiesz gdzie.

– Ale mówiłaś, że nagrywał coś z jakimiś Azjatami w sprawie sprzedaży tego zabytku.

– Cóż, formalnie miał do tego prawo. – Wzruszyła ramionami. – A ocena moralna to zupełnie inna kwestia. On i jego poplecznicy twierdzili, że ta transakcja będzie doskonałym interesem dla naszej gminy. Cóż, sądziłam inaczej, ale może się myłę. Uważałam i nadal uważam, że ten zabytek powinien zostać zabezpieczony przez nas. I służyć mieszkańcom, a nie zostać przerobiony na jakiś wypasiony hotel czy kurort dla międzynarodowej mafii. Azjatycki inwestor nie miałby względem niego żadnych sentymentów, prawdopodobnie by go od razu wyburzył i postawił tam jakieś futurystyczne kuriozum. Zależało mu raczej na atrakcyjnej i stosunkowo taniej lokalizacji.

– To bardzo stary budynek?

– Jego początki sięgają siedemnastego wieku! Nie znam dokładnie tej historii, ale to można łatwo sprawdzić, są materiały, nasza biblioteka też na pewno nimi dysponuje. Dzieje budynku były burzliwe, tyle pamiętam.

– Więc dlaczego od lat stoi opuszczony? I jak to się stało, że przeszedł na własność gminy? Bo przecież zapewne miał wcześniej właścicieli. Słyszałam, że przed samą wojną działał tam modny pensjonat z luksusową restauracją i wszelkimi bajerami. Nie było żadnych spadkobierców?

– Zgadza się. – Greta oparła się wygodniej o zagłówek fotela. – Kuźnica przechodziła z rąk do rąk, już w dwudziestym wieku była własnością jakiegoś Niemca, który miał też inne interesy, aż w okresie międzywojennym splajtował i sprzedał posesję rodzinie bogatych Żydów. To oni odrestaurowali budynek i urządzili w nim hotel, kawiarnię z restauracją dla turystów. Wiesz, że nasze okolice były wtedy popularnym kurortem uzdrowiskowym i miejscem wypoczynku mieszkańców regionu, i zresztą nie tylko regionu. Niestety, wybuchła wojna i nowi właściciele podzielili los tysięcy innych obywateli żydowskiego pochodzenia. Co się dalej działo z tym budynkiem, nie bardzo wiem, nie śledziłam jego losów. Został chyba częściowo zniszczony w czasie walk pod koniec wojny, potem niszczał, bo z różnych powodów nikt się nim tak naprawdę nie zajął. Po wojnie nie było na to pieniędzy, komuniści mieli gdzieś „burżuazyjne” zabytki, poza tym starą kuźnię otaczała już zła legenda, ludzie się jej bali, nikt się nie starał jej ratować. Dopiero później, chyba od lat dziewięćdziesiątych, zaczęły powstawać projekty związane z tym budynkiem. Zajmowały się tym władze lokalne, urzędnicy, zapaleńcy, różni filantropi, miłośnicy historii regionu. A spadkobiercy, owszem, jacyś byli. W Izraelu. Pod koniec lat osiemdziesiątych lub na początku dziewięćdziesiątych, dokładnie nie pamiętam, scedowali prawa własności posesji na samorząd. Dobrowolnie i uroczyście. Chyba chcieli się pozbyć kłopotu.

Stefańska pokiwała głową.

– Rozumiem – odparła. – Ciekawa historia. Czyli w sumie, skoro tam już wcześniej był hotel, to może...

– Chcesz powiedzieć, że może Kownacki miał rację? – domyśliła się Greta.

– No właśnie.

– Ale nie widzisz różnicy? – zirytowała się Pazikowa. – Sytuacja jest przecież zupełnie inna. Nie porównuj tego z czasami sprzed wojny! Myślisz, że jakiś Chińczyk miałby sentymenty?

– Ale budynek i tak niszczeje. Nie pierwszy, o ile sobie przypominam. Straciliście już kilka zabytkowych obiektów.

– Ludzie, dajcie nam szansę! My się nim chcemy zająć! Staramy się. Nikt przed nami nie chciał...

– Mówiłaś, że ten Kownacki to narodowiec. Więc może, jako patriota z założenia, zadbałby o to, żeby nasz zabytek nie został zniszczony?

Greta się roześmiała.

– Bez komentarza, pani redaktor – dodała z przekąsem.

– Dobra. – Felicja podniosła dłonie. – Rozumiem. Czyli w grę musiała wchodzić wielka kasa, jakieś machloje, może przekręty. Czy zdradzisz mi, kto się tym zajmuje z ramienia twojej frakcji w radzie gminy?

Greta obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem, po czym wrzuciła do ust parę purpurowych winogron.

– Oczywiście, że tak. Wiem, że będziesz musiała z nimi rozmawiać, zresztą policja też. To żadna tajemnica. Ale zapewniam cię, że moi ludzie nie uczestniczyli w żadnych przekrętach. To pasjonaci i uczciwi radni, ręczę za nich. Nie siedzę w temacie, ale wiem, że chcieli tylko uchronić ten zabytek przed unicestwieniem. Podyktuję ci namiary, zapisz sobie...

– Dzięki. Mam prośbę, Gretka. Nie uprzedzaj tych ludzi, że będę chciała się z nimi skontaktować. A raczej my, bo albo ja, albo Kaśka.

– Nawet nie zamierzałam. Ale spokojna głowa, oni i tak już się domyślają, że kryminalni będą ich chcieli przesłuchać. I wy też. Nie boją się. Mają czyste sumienia.

\*\*\*

We dwie z Malinowską przyjechały do „dolinki z kuźnią” – jak miejscowi nazywali to miejsce – wcześniej rano, jak dla Felicji, a późnym przedpołudniem, jak dla Kasi, która już tego dnia pracowała w terenie. Dochodziła jedenasta. Było ciepło, powyżej dziesięciu stopni, ale wciąż mżyło, co sprawiało, że mglista, otoczona lasami i przecięta wartkim potokiem dolinka wyglądała jak górski pejzaż. Nieco w górze, za zasłoną drzew i oparów wilgotnej mgły niewyraźnie rysowała się willa Bagińskich. Poza tym miejsce wyglądało na odcięte od cywilizacji.

– Jak w Bieszczadach! – Felicja odetchnęła pełną piersią, rozglądając się z zachwytem, lecz uważnie.

– Tak? Nigdy tam nie byłam...

– Gdzie? Nigdy w życiu nie byłeś w Bieszczadach, serio? No wiesz co, młoda? Dziwne jest to wasze pokolenie. Musisz to koniecznie nadrobić!

– Nie lubię gór. – Kaśka zmarszczyła nos. – Wolę nasze morze. Poza tym, po co miałabym tak daleko jechać, skoro twierdzisz, że tutaj jest tak samo? – zakończyła z tryumfem.

Felicja zerknęła na nią rozbawiona i wzruszyła ramionami.

– Może i racja, Kasiu. Góry nie są dla każdego. Chodźmy do tego budynku. Mam nadzieję, że nie zamknęli furtki, bo będziemy musiały przełazić przez płot.

– Tam nie było furtki, przynajmniej odkąd pamiętam, tylko rozwalone ogrodzenie! I jest, jak było – zauważyła Malinowska, gdy podeszły bliżej. – Widzę resztki taśmy policyjnej. Brrr, jak ja tego nie lubię...

– Może jednak wolałabyś nie wchodzić? – zatroszczyła się Stefańska.

– Wejść. Przecież muszę ci pokazać ten odcisk diabelskiego kopyta! Wcale nie tak łatwo go znaleźć, jeśli ktoś nie wie, gdzie szukać.

– Okej, wchodzimy. Przygotujmy aparaty, trzeba zrobić jak najwięcej zdjęć. Tutaj leżał świętej pamięci nieboszczyk radny...

– Świętej jak świętej. – Wzdrygnęła się młoda dziennikarka. – Widać jeszcze obrys. Nie czujesz złej aury?

– Żeby coś poczuć, muszę się skupić. Potem. Na razie włączymy do środka – zdecydowała Felicja.

W środku, o dziwo, było czysto. Jakby ktoś o to dbał. Felicja przypomniała sobie smród i odchody w pozostałościach starej szkoły.

– Kurczę, ktoś tutaj sprząta?! – rzuciła w stronę Kaśki, a echo odbiło jej głos w opustoszałej przestrzeni.

– Tutaj mało kto zagląda. Ludzie boją się diabła. Może policja posprzątała, zanim opuścili miejsce zbrodni? – odpowiedziała.

– Chyba masz rację. – Stefańska klepnęła się w czoło. – Bo nawet pety zniknęły, a podobno było ich tu sporo po nieboszczyku.

– Po nieboszczyku?

– No tak, bo jarał, kiedy na kogoś tu czekał...

– Na mordercę.

– Niekoniecznie. Morderca mógł się zjawić nieoczekiwany. Ale na to wyszło.

Felicja zrobiła kilka ujęć. Malinowska poszła w jej ślady.

– Nie dublujmy się – zaproponowała Stefańska. – Ty zostań i pstrykaj tutaj, a ja pójdę sfotografować okolicę. Do artykułu potrzebny nam będzie klimat.

– Nie ma mowy, żebym została tu sama! – zaprotestowała Kaśka.

– Nie przesadzasz? To nie stara szkoła! W sumie tylko jedno pomieszczenie, bo drzwi w głębi są

zabite deskami. Ciekawe, co tam było, jakaś kanciapa? Ale w porządku, w takim razie pospieszmy się. Aha, mówiłaś coś o odcisku diabelskiego kopyta. Gdzie on? – Felicja rozglądała się uważnie wokół.

Malinowska zrobiła jeszcze jedno zdjęcie i wskazała ręką przed siebie.

– Widzisz pozostałości pieca naprzeciwko wejścia? Tam było palenisko, ale przedwojenny właściciel zamienił je w kominek dla gości. Bo tu mieściła się restauracja, a pokoje gościnne w dobudówce, której już nie ma.

– Widzę resztki kominka.

– No więc po prawej stronie na posadzce jest kopyto. Słabo widoczne, ale jak się przyjrzyz i poświecisz sobie latarką, to zobaczysz. Podejdźmy tam. A w tamtym pomieszczeniu za drzwiami są tylko niewielka pusta komnata i jakieś składziki gospodarcze. Byłam tam kiedyś, jeszcze w szkole: nasza wychowawczyni zorganizowała wycieczkę klasową po ciekawych miejscach w okolicy. Dawniej, przed wojną, mieściły się tam kuchnia i jakiś magazyn albo magazynki. Zamknęli to niedawno ze względów bezpieczeństwa, bo tynk się sypał.

Podeszły bliżej resztek paleniska i Kasia poświeciła latarką ze smartfona na róg posadzki. Rzeczywiście, widoczny tam był na kamieniu ledwie czytelny, zatarty „śląd” w kształcie zbliżonym do podkowy.

– Widzisz? – Uśmiechnęła się Malinowska.

– No, widzę... Ale szczerze? Spodziewałam się czegoś bardziej spektakularnego! To mi wygląda raczej na przypadkowe pęknięcie. – Mimo to wyjęła smartfon i sfotografowała odcisk.

– Ty się odczep od naszego diabła! – ofuknęła ją współpracownica.

– Coś o nim wiesz?

– Jest legenda z nim związana – odparła ochoczo Kaśka. – Nie wiem, jak stara, ale moi dziadkowie już ją znali. Ponoć dawno, dawno temu, w czasach, gdy prosperowała tutaj kuźnia, pewnego dnia odwiedził ją jakiś bogaty szlachcic. Był konno i kazał podkuć swojego rumaka, który był czarny i narowisty. Nasi dzielni kowale się go jednak nie zlekli i podkuli. Wtedy ten pan podkasał haftowany złotem surdut, pokazał swoje... no, kopyto, które miał zamiast buta, po czym kazał im się też podkuć. – Malinowska teatralnie zawiesiła głos. – Biedacy przerazili się, ale cóż mieli robić, wykonali polecenie. W nagrodę podarował im mnóstwo złotych dukatów i obiecał, że ta kuźnia będzie pod jego opieką. Potem odjechał, a w miejscu gdzie stał, znajduje się ten odcisk...

Stefańska parsknęła śmiechem.

– Piękna bajka. Podoba mi się. Wy tu chyba zawsze mieliście bogatą historię?! – zauważyła z przekąsem.

– A żebyś wiedziała. I tak nam zostało. Potem, w okresie międzywojennym, kiedy kuźnia została przerobiona na pensjonat, właściciele nazwali go Pod Czarcim Kopytem albo jakoś tak. A odcisk przyciągał klientów.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby właściciele trochę go podrasowali na potrzeby turystów. – Mru-gnęła.

Młoda wzruszyła ramionami.

– Czepiasz się! – podsumowała. – Co teraz?

– Idziemy fotografować plener...

Felicja zatrzymała się w progu, w miejscu, gdzie znaleziono zwłoki. Malinowska się obejrzała.

– Zostajesz tutaj?! – zawołała.

– Idź, a ja jeszcze spróbuję... Wiesz...

– Łapać aurę? Domyśliłam się. Dobra, no to nie przeszkadzam, łap ją sobie spokojnie! Będę przy drodze.

Stefańska zaczęła, aż koleżanka się oddali, i dopiero wtedy przymknęła oczy, usiłując wyczuć energię tego miejsca. Tym razem poczuła jednak narastającą frustrację. Dyskomfort. Żadnych emocji. Podobnie zresztą jak w środku: tam też nic nie czuła.

Chyba tracę „moc” – pomyślała.

Odczekała jeszcze chwilę, po czym zniechęcona, nawet się nie oglądając, podążyła śladem Kaśki, która fotografowała otoczenie kuźni nieco dalej, z gruntowej drogi.

– I co? Jaka aura? – zapytała dziewczyna, odrywając oko od aparatu.

– Gówniana. – Felicja machnęła ręką i zapaliła papierosa. – Prawdę mówiąc, prawie nic nie poczułam. Chyba po raz pierwszy w życiu. Tylko wkurw.

– Może jesteś zbyt rozkojarzona?

– Nie wiem, może.

– Nie martw się, szefowo! Najwyżej tu wrócisz i spróbujesz jeszcze raz.

Rzeczniczka pokiwała głową.

– Pewnie tak – westchnęła. – Ale obawiam się, że może ten mój „dar” po prostu się wyczerpał.

– Szkoda by było, bo bardzo nam pomagał.

Felicja wzruszyła ramionami i – wciąż zdegustowana – sięgnęła do torby po aparat, jednocześnie obserwując ścianę lasu za budynkiem, lekko rozmytą przez zamglone, wilgotne powietrze, jak na obrazach Caspara Davida Friedricha. Nadal mżyło. Wszystko otulała namacalna wręcz cisza podkreślana monotonnym szumem wody w nieodległym strumyku.

– Teraz coś poczułam – zakomunikowała z goryczą.

– Co?

– Beznadzieję – odparła, uśmiechając się krzywo.

– Felicja, przestań się wygłupiać! – zdenerwowała się młoda. – A może to jest akurat to? Może to jest ważne? Pomyśl! Może ten twój wkurw i poczucie beznadziei to właśnie aura, której szukasz?

– A wiesz, na to nie wpadłam. – Reporterka zatrzymała się nagle, przydeptała peta i zakopała go butem. – Kaśka, ty czasem bywasz genialna. Ale tylko czasem! – Uśmiechnęła się, widząc kwaśną minę asystentki. – Tak serio, możesz mieć rację. Nie wiem, czemu stojąc tam, czułam tylko narastającą irytację. Nic więcej. A oczekiwałam czegoś zupełnie innego. Teraz jednak myślę, że może coś w tym jest, co mówisz.

– Już nie czujesz irytacji?

– Nie. O dziwo. Nawet jakoś tak fajnie się poczułam, gapiąc się na las, zieleń. Ta dolinka jest cholernie piękna! Ale kiedy tylko pomyślę o tamtym miejscu, przywołam je w pamięci, to irytacja, frustracja... jakby znów narasta – przyznała się i pstryknęła pierwsze ujęcie lasu i ruiny.

– Wkurw – uzupełniła Malinowska z uśmiechem satysfakcji.

– Wkurw – potwierdziła Felicja. – Może kiedyś faktycznie tu wrócę i jeszcze raz spróbuję. Ale pocieszyłaś mnie. Być może chodzi właśnie o wkurw.

Dziennikarka wymierzyła obiektyw aparatu w przeciwnym kierunku. W wizjerze ujrzała wyraźniej niewielką, samotną, żółtą willę na wzgórzu w lesie. Wyglądała romantycznie. Nacisnęła migawkę.

– To jak, idziemy do Bagińskich? – zapytała Kaśkę, która stała nieco dalej, odwrócona do niej plecami, i fotografowała rwący potok.

Stefańska słyszała jego plusk i szum kojarzący jej się z górami. Jakby w rwącej wodzie gadały ze sobą różne istoty. Duchy albo wodniki. Mimo mgły i wilgoci powietrze też tu było czyste. Krystaliczne. Górskie.

– Boję się, że nas nie wpuszczą, ale co tam... Idziemy! – zawołała Kaśka, po czym spakowała sprzęt do plecaka.

Przeszły przez kładkę na drugą stronę strumyka. Droga wiodła łagodnie pod górkę, na ostatnim odcinku przez las. Niedaleko. Zajął im może z pięć minut, zatrzymały się jednak na tyłach posesji Bagińskiego i zerknęły w dół stoku. Z tej perspektywy, w prześwicie pomiędzy drzewami, dolinka prezentowała się jeszcze bardziej malowniczo, choć ruiny kuźni nie były stąd widoczne.

– Denerwuję się trochę – przyznała cicho Kasia.

– Nie pękaj, młoda. Ja też. Zapaliłabym, ale nie chcę potem ziać panu celebrycie w twarz...

– O ile nas w ogóle wpuści.

– Nie widzę powodu, żeby miał nas nie wpuścić, jeśli jest w domu. – Wzruszyła ramionami Felicja. – Oczywiście nie musi z nami gadać. No nic, zobaczymy. Dziwnie tu jakoś... Pięknie, ale i dziwnie. Ciekawe, oni nie narzekają na samotność? Dookoła nie mają żadnych sąsiadów, tylko las.

– I te ruiny niedaleko. Fakt. Bałabym się tu mieszkać.

– I jeszcze ten trup. Nie zazdroszczę, choć z drugiej strony na trupa można tu natknąć się wszędzie, zwłaszcza u was w gminie! – zażartowała, by rozładować atmosferę, i dostała od Kaśki kuksańca w bok. – Nie stójmy tak, bo głupio. Jeszcze nas zauważą z okna i wezmą za złodziejki albo, co gorsza, dziennikarki! No chodź już, poszukajmy jakiegoś wejścia.

Willa stała jednak cicha, jak opuszczona. Poszły w prawo, wzdłuż ogrodzenia z siatki, obok którego wiodła ścieżka. Ciągnęło się ono kilkanaście metrów, aż wreszcie na jego końcu dotarły do furtki. Ponieważ nie zauważyły przy niej dzwonka, Stefańska nacisnęła klamkę. Ta ustąpiła i furтка uchyliła się, skrzypiąc.

– Wchodzimy?

– Mam nadzieję, że nie skoczy na nas żaden pies... – Malinowska się zawahała.

– Nie słychać szczekania. Idziemy.



Na górę przed dom wiodła wybrukowana, pokryta igliwem alejka. Dookoła rosły drzewa, kwitły złociste forsycje, pomiędzy nimi zółciła się ściana niewielkiej willi w stylu chyba modernistycznym. Nienowej w każdym razie. Po chwili dotarli do niskiego otwartego ganku na tyłach budynku. Jego front najwyraźniej znajdował się od strony szosy. Dopiero tutaj nad drzwiami znajdował się dzwonek. Stefańska użyła go bez wahania. Dość długo było cicho, więc pomyślały, że przyszły nadaremno. Po chwili jednak usłyszały za drzwiami kroki, drzwi się uchyliły, a w prześwicie ukazała się rumiana twarz kobiety około czterdziestki. Bez uśmiechu.

– Słucham?

– Dzień dobry, jesteśmy z urzędu gminy – zaczęła formalnym tonem Felicja. – Przyszliśmy porozmawiać z gospodarzami.

– Skąd mam wiedzieć, że jesteście z gminy?

– Słuszne pytanie. Oto moja legitymacja. – Dziennikarka wyjęła ją z kieszeni. – Kasiu, pokaż pani swoją.

Kobieta uchyliła drzwi szerzej i przyjrzała się dokumentom. Była potężna, wysoka, mocno zbudowana, choć nie tęga.

– Jesteście z gazety – skonstatowała.

– Tak. Gminnej.

– W porządku. Wchodźcie. – Po chwili zastanowienia odsunęła się na bok. – Ale to nie jest najlepsza pora. Pan teraz pracuje u siebie. – Rzeczywiście, z głębi domu dobiegały jakieś muzyczne akordy. – A starsza pani właśnie wypoczywa po lunchu. Chyba że chcecie poczekać?

– Zaczekamy – zdecydowała Stefańska. – Tak będzie prościej, niż przyjeżdżać tu ponownie. Nie zajmujemy dużo czasu.

– To proszę tutaj poczekać. Tam są fotele. – Kobieta przepasana fartuchem wskazała siedziska w rogu obszernego holu. – Panu nie będę teraz przeszkadzać, ale powinien kończyć ćwiczenia za dwadzieścia minut. – Zerknęła na zegar ścienny. – Pójdę zapytać panią, czy was przyjmie...

– Dziękujemy.

Rozsiadły się w fotelach, uśmiechając się do siebie porozumiewawczo.

– Niezły szyk! – szepnęła Malinowska.

– Gosposia cerber – odparła Felicja. – Faktycznie, pies niepotrzebny.

– Na pewno mają alarm.

– Mają. – Felicja wskazała głową czujnik. – Pewnie włączają na noc. Mieszkając samotnie w środku lasu, trudno inaczej...

Wysokie, wąskie okna zabezpieczone ozdobną oksydowaną kratą wychodziły na las. Hol lśnił. Wypastowany parkiet, zadbana drewniana boazeria. Choć zazwyczaj wydaje się przeżytkiem, tutaj, w tym domu zagubionym w lesie, nie raziła. Na ścianach widniały abstrakcyjne akwarele: „muzyczne”, rytmiczne kompozycje. Gdzieś z góry wciąż dobiegały dźwięki fortepianu, być może pianina, Felicja nie potrafiła tego rozróżnić. Z kolei z korytarza, łączącego się dalej z holem, niósł się aromat kawy i wanilii. Może jadają podwieczorki, jak jacyś angielscy lordowie. Tak czy inaczej, widać było, że gospodyni – czy kimkolwiek była postawna kobieta – w prowadzeniu gospodarstwa domowego nie miała sobie równych.

– Halo, panie! – Rozległ się jej tubalny głos z podestu schodów prowadzących na piętro. – Starsza pani zgadza się was przyjąć. Podejdźcie no tutaj, zaprowadzę. Tylko proszę jej za długo nie męczyć, to wiekowa schorowana osoba.

– Oczywiście – przytaknęła Felicja.

Dziennikarki zerwały się z miejsc i posłusznie dołączyły do kobiety, która poprowadziła je wąskim korytarzem do jednych z kilkorga znajdujących się tam drzwi. Zapukała i otworzyła je, by wpuścić gości.

Starsza pani siedziała w bujanym fotelu pod oknem, z książką w ręce. Owszem, nosiła złote okulary do czytania, jednak Felicję i tak zatkało. Z jej obliczeń wynikało, że kobieta musiała już mieć co najmniej koło dziewięćdziesiątki. Ale nie wyglądała na tyle. Elegancko ubrana w klasyczny popielaty kostium, szczupła, wysoka, nieco koścista, z białymi włosami upiętymi w ciasny koczek. Nawet siedząc, trzymała się prosto.

– Dzień dobry. Zapraszam, zapraszam – odpowiedziała na ich pozdrowienie. Głos też miała silny, bynajmniej nie zmęczonej życiem staruszki. – Dziękuję ci, Marcelino – zwróciła się do potężnej niewiasty.

Gosposia podsunęła obu dziennikarkom krzesła i opuściła pokój będący najwyraźniej damską sypialnią.

Dopiero wtedy zauważyły dużego szarego kota, który z niechętnym prychnięciem – zapewne była to reakcja na fakt, że jakieś intruzki zanadto się do niego zbliżyły – czmychnął z kolan swojej pani na parapet za jej plecami.

– Z czym zatem szanowne panie do mnie przychodzą? – zwróciła się do nich starsza pani.

Nieco zbita z tropu Felicja zaczęła od przedstawienia siebie i Kaśki.

– To już wiem, Marcelina poinformowała mnie. A ja jestem Wikta Bagińska. Wiktoria – poprawiła się ze znaczącym uśmiechem. – Takie imię otrzymałam w arcytrudnych czasach. Sprawdziło się. Więc cóż, proszę mi śmiało zdradzić, w jakiej sprawie mam zaszczyt panie u siebie gościć. – Nieoczekiwanie podniosła się rażno z fotela z lekkim jedynie stęknieniem.

Felicja pomyślała, że ona wydawałaby większe stęknienia.

Bagińska położyła okulary i książkę – chyba jakiś romans – na okrągły wiklinowy stolik, po czym otworzyła spore pudełko francuskich truflí.

Zapachniało gorzką czekoladą i koniakiem.

– Częstujmy się – zachęciła i z gracją nadgryzła czekoladkę, po czym zasiadła w fotelu pod miłym spojrzeniem zielonookiego kocura.

– Chciałybyśmy porozmawiać z państwem o tym, co wydarzyło się w starej kuźni. – Jako pierwsza przełamała się Kasia Malinowska, sięgając ochoczo po czekoladkę.

– O morderstwie – poprawiła ją pani Wiktoria.

– Tak. – Felicja włączyła się w tę wymianę zdań uradowana, że Bagińska lubi konkrety. – Państwo byli świadkami. To znaczy...

– Rozumiem, co chciała pani powiedzieć. To prawda. Przypadkiem zobaczyłam światło w ruinach i obudziłam syna. Poprosiłam go, żeby poszedł tam i sprawdził, co się dzieje. A ja patrzyłam przez okno, choć nie widziałam zbyt wiele, bo było jeszcze ciemno i lało jak z cebra. Mój kot pewnie widział lepiej ode mnie. Syn znalazł tego martwego nieszczęśnika. Więc raczej z nim panie powinny rozmawiać.

– Chcemy to zrobić, ale pan Bagiński jest zajęty. Dlatego może później... A czy nie bała się pani o syna, posyłając go samego w nocy do ruin?

– To duży chłopiec. – Uśmiechnęła się. – Kazałam mu zachować ostrożność i zabrać ze sobą jakąś broń.

Na chwilę zamilkły, nie wiedząc, co powiedzieć. Pani Wikta z pewnością była bardziej damą niż damulką. Nie grzeszyła sentymentalizmem.

– Ale dlaczego... Co sprawiło, że zainteresowało panią światło w kuźni do tego stopnia, żeby to sprawdzić? – drażyła Stefańska.

Starsza pani się zamyśliła.

– Jak to paniom wyjaśnić... – odezwała się w końcu, sięgając machinalnie po czekoladkę. – Ten budynek od dziesiątków lat stoi opuszczony w naszym najbliższym sąsiedztwie. Tam w ogóle rzadko ktoś przychodzi, a co dopiero po ciemku i w taką pogodę. Światło w opuszczonej ruinie to nie jest naturalne zjawisko, nieprawdaż? Źle mi się kojarzy, a żyję już dość długo na tym świecie. Pamiętam światła. Pamiętam czasy wojny, pamiętam, jak wyganiano stąd rodzinę Żydów, ówczesnych właścicieli budynku, a potem, jak uciekali stamtąd Niemcy. Prości ludzie plotkują o diabła – dodała enigmatycznie, jednak nie kontynuowała tego wątku. – Mam sentyment do tego miejsca, to ważny obiekt dla Kryszewa i w ogóle dla regionu. Kiedy byłam tutaj sołtysem, zabiegałam przez lata o jego zachowanie.

– Wierzy pani w diabła? – zapytała Kasia.

– Wierzę. – Bagińska się zaśmiała. – Ale nie w takiego z rogami i kopytami. Diabeł mieszka w człowieku.

– Zgadzam się z tym poglądem, i to zdecydowanie. Nie wiedziałam, że była pani sołtysem Kryszewa... – Felicja udała niedoinformowaną, by pociągnąć temat.

– Bo to było dawno temu, moje dziecko.

– Coś mi się jeszcze przypomniało. – Stefańska nie dawała za wygraną. – Możliwe, że to się wydarzyło właśnie w tych samych mniej więcej czasach. Podobno kiedyś znaleziono w tym budynku ludzkie zwłoki. Czy to prawda? Czy pani wie coś na ten temat?

– Wiem. Nie pamiętam dokładnie, ale mój urząd sprawowałam od roku siedemdziesiątego. Wtedy też ważyły się losy kuźni. I to się zdarzyło w tamtym czasie. W budynku znaleziono ciało lokalnego działacza partyjnego. Padł on ofiarą morderstwa, choć ludziom wmówili, że znalazł się tam przypadkiem i zmarł na zawał. Nie pamiętam jego nazwiska, sprawę szybko zatuszowano.

– I też były światła w kuźni?

– Owszem. Wtedy też my zawiadomiliśmy milicję, jako sołtyska miałam telefon, jeden z nielicz-

nych w Kryszewie. Ja z nieboszczykiem mężem, oczywiście. Krystek, nasz syn, był wówczas dzieckiem.

– W takim razie już rozumiem pani obecną reakcję...

Wiktoria Bagińska skinęła uprzejmie głową.

– I nie pomyliłam się – dodała z godnością. – Niestety.

– Znała pani ofiarę?

– Skąd! – zachnęła się. – To jakiś młokos. Polityk gminny, tak słyszałam. Ciekawe, jaki miał interes po nocy do ruin przychodzić.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała Marcelina.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zwróciła się do Bagińskiej. – Pan jest już wolny i zgodził się z tymi paniami porozmawiać – oznajmiła.

– Dołącz do nas? – zapytała pani Wikta.

– Prosi do bawialni. Nie chce pani męczyć. Mówi, że teraz to powinna pani odpoczywać. Zajrzy do pani w porze podwieczorku.

– W takim razie...

– Już uciekamy! – Felicja podniosła się z krzesła i dźgnęła w łokieć Malinowską. – Bardzo ważnych rzeczy dowiedziałyśmy się od pani. Dziękujemy.

– Doprawdy? No to się cieszę. Nie słuchajcie mojego syna, jeśli będzie się na mnie skarżył. To artysta i... czasem niesforny z niego chłopak. – Bagińska uśmiechnęła się przekornie na pożegnanie.

Z bliska Krystian Bagiński wydawał się jeszcze przystojniejszy niż w telewizji. Miał w sobie coś zniewalającego, jakiś magnetyzm. Seksapil, choć Felicja wyczuwała w tym miękkość, a zarazem dziwną aurę, jakby niewidzialną otoczkę, przezroczystą bańkę, która oddzielała go od reszty świata. Przyjął je uprzejmie, z klasą, wręcz z kurtuazją – jak matka, choć syn pozbawiony był jej luzu – zrywając się na powitanie z antycznej kanapy. Uśmiech miał piękny, zniewalający, jednak raczej wystudiowany. Zaproponował im kawę, której odmówiły.

– To może zostaną panie z nami na podwieczorek? – zaproponował. – Nasza nieoceniona wierna Marcelina właśnie upiekła ciasto. Zapewniam, że pyszne.

– Byłoby cudownie, ale niestety, nie możemy, czas nas goni. Jesteśmy w pracy – wymówiła się Felicja.

– Cóż, wielka szkoda. Proszę się więc wygodnie rozsiąść i przejdźmy do rzeczy. Słucham panie...

Miał niski, aksamitny głos i rozbijające spojrzenie. Dziennikarka doszła do wniosku, że muzyk był typem faceta, który po prostu musiał uwodzić. Wszystkich. Niezależnie od swojej orientacji seksualnej. Ta była jego prywatną sprawą, natomiast publicznie był casanową dla każdego.

– Jak wspominałam, reprezentujemy gminne media. Przyszliśmy do państwa z ramienia urzędu w sprawie morderstwa w starej kuźni. Nie będziemy przeszkadzać, nie zajmiemy dużo czasu, mamy tylko kilka pytań. Może na początek proszę opowiedzieć, jak do tego doszło, że znalazł pan zwłoki w ruinach – poprosiła.

Bagiński wstrząsnął malowniczo szopą kędzierzawych włosów. Przybrał zatroskany wyraz twarzy.

– To było straszne przeżycie – odparł, spoglądając melancholijnie w okno. – Wszystko przez chroniczną bezsenność *maman*. Często budzi się w nocy, i wówczas też tak było. Miała iść do toalety, ale zobaczyła światło w tym opuszczonym budynku. I zaalarmowała mnie. Zaniepokoiło ją to, gdyż w młodości miała przykre doświadczenia, również związane z tymi ruinami i w podobnych okolicznościach, jeśli można tak się wyrazić...

– Tak, słyszałam. Ale chyba dość dawno temu?

– Owszem, ale to bez znaczenia. *Maman* skończyła już dziewięćdziesiąt lat. Choć wiem, że świetnie się trzyma, dzięki Bogu, ale w jej wieku czas się kurczy, a nawet zapętla, przenika, nakłada na siebie. Często odległe wydarzenia wydają jej się bliższe niż to, co działo się wczoraj. Nie, proszę mnie dobrze zrozumieć. *Maman* nie ma demencji, szczyli się byстрым umysłem, niejeden młody mógłby jej go pozazdrościć. A jednak, jak sama czasem powtarza, należy już do przeszłości.

– Rozumiem, ładnie pan to określił. Pańska matka opowiadała nam o swoich przeżyciach związanych ze światłem w kuźni, więc już tego nie drażmy. I co było dalej? Pan się ubrał i poszedł tam samotnie mimo deszczu i ciemności? Zamiast zadzwonić po pomoc na policję, skoro mieli państwo podejrzenia?

Artysta wzruszył lekko ramionami, popijając czarną kawę z kruchej miniaturowej filiżanki z porcelany malowanej w różę.

– Gdyby znała pani moją *maman*, toby się nie dziwiła. – Uśmiechnął się z czułością. – Jej się nie odmawia. Nie chciałbym uchodzić w jej oczach za tchórza i mięczaka. *Maman* nie szanuje takich ludzi.

Wyznaje twarde zasady, być może dlatego, że życie jej nie rozpieszczało. A na policję nie miałem wtedy powodu dzwonić! Przecież mogło być zupełnie inne wyjaśnienie obecności światła w ruinach...

– Jakie na przykład? – podchwyciła Malinowska. Pewnie dużo ją to kosztowało, gdyż do tej pory, zauroczona gwiazdorem, nie pisała nawet słówka.

– Przyznaję, że nie wiem. – Po chwili zastanowienia muzyk rozłożył bezradnie ręce.

– Ani my. W porządku, proszę opowiadać dalej – wtrąciła Felicja.

– No więc narzuciłem na pizamę pelerynę przeciwdeszczową i poszedłem. Nie wypieram się, że trochę z duszą na ramieniu. Na szczęście znam teren na pamięć, wychowałem się tam, jak na własnym podwórku. Wziąłem jakiś kij do obrony, na wszelki wypadek, no i telefon. Kij się nie przydał, ale telefon tak. Nie tylko, żeby sobie poświecić. Kiedy, oczywiście zachowując czujność, wyjrzałem przez ogrodzenie na dziedziniec kuźni, w zasadzie od razu zobaczyłem leżącego człowieka. Nie ruszał się. Natomiast gdzieś na tyłach budynku usłyszałem kroki, tupot, jakby ktoś biegł w stronę lasu. Może człowiek, może zwierzę. Teraz już nie mam pewności, ale wtedy strach mnie obleciał. Ledwie odważyłem się podejść bliżej i sprawdzić, czy ten leżący osobnik nie potrzebuje pomocy. Ale rzucało się w oczy, że już... że jemu nie można pomóc. Dopiero wtedy, będąc jeszcze tam, na miejscu, zadzwoniłem pod numer alarmowy...

– Mała dygresja – przerwała mu Stefańska. – Przepraszam. Czy państwo nie macie psa? Na takim odludziu? Rozumiem, że alarm, ale czy nie czułby się pan bezpieczniej, a przynajmniej raźniej, idąc tam razem z psem?

Bagiński wzdrygnął się, a oczy mu nagle pociemniały.

– Mieliliśmy psa – przyznał. – Owczarka niemieckiego. Dobre i mądre było z niego psisko. Ale odszedł niedawno. Dopiero teraz coś mnie tknęło. Bo, widzi pani, chyba ktoś go otruł...

– Jak to otruł?! – Felicja zareagowała ostro: nic nie wstrząsało nią tak, jak krzywda zwierząt. Tych istot najbardziej niewinnych, uwikłanych w nasz „ludzki” świat. Od razu myślała wtedy o swoim Burym uratowanym przed bezdomnością. – Skąd to przypuszczenie?

– Hm, bo to się stało nagle. Któregoś dnia znalazłem go w ogrodzie martwego. – Muzyk wzruszył ramionami. – Weterynarz przypuszczał, że mógł się czymś struć, ale w tej sytuacji...

– W jakim wieku był pies?

– Chyba... nie był stary. Jakies dziewięć lat?

– Mieszkał w budzie? – Skrzywiła się.

– Nie, nie! – Zamachał gwałtownie rękami. – Nie do końca. W złą pogodę braliśmy go do domu, miał swoje legowisko w holu. Ale on bardzo lubił ogród. Lubił sobie pobiegać. To był duży pies, potrzebował ruchu.

Dziennikarka nie skomentowała tego.

– Kiedy to się stało? – zapytała.

– Jakies trzy tygodnie temu. Nie pamiętam dokładnie. Od tamtej pory *maman* nie wypuszcza Salomona... to jej kot... do ogrodu, nawet na chwilę. Choć przedtem się zdarzało. Kocur też już niemłody, nawet się nie buntuje.

– Poznałyśmy go, jest przepiękny! – wtrąciła rozanielona Kaśka.

– To prawda. – Pokiwał głową z uśmiechem. – *Maman* go uwielbia. Z wzajemnością. Prawie się ze sobą nie rozstają. W sumie to on odkrył tę zbrodnię. Siedział na parapecie okna i swoją reakcją zaalarmował *maman*. Gdyby nie to, trudno powiedzieć, jak długo nieboszczyk by tam jeszcze leżał. Rzadko kto odwiedza to miejsce, jest na uboczu... Szczególnie o tej porze roku, bo latem to czasem rowerzyści zajadą, niedaleko jest ścieżka rowerowa.

– Czy kiedy pan natknął się na zwłoki, rozpoznał pan ofiarę? – kontynuowała Felicja.

– Absolutnie nie. Byłem pewien tylko jednego: że to w miarę młody mężczyzna. Niczego więcej nie zarejestrowałem, byłem w szoku. Poza tym warunki nie należały do sprzyjających: ciemno, deszcz, strach, kiedy usłyszałem gdzieś niedaleko kroki. Tak, przyznaję, bałem się, że morderca wciąż tam jest.

– Miał pan prawo się przestraszyć. To zrozumiałe.

– Wiem. Ale *maman* wychowała mnie w myśl przysłowia, że chłopcy się nie mazgają. I tak już mi zostało. – Ponownie się uśmiechnął, jakby zawstydzony. – Czuję, że zawsze muszę coś jej i sobie udowodnić.

– Nie musi pan. Jest pan już dorosły. Czyli pan nie znał tego człowieka?

– Tego zabitego?

– Tak.

– W zasadzie nie. Tylko ze słyszenia, bo był radnym, a ja od czasu do czasu czytam lokalną prasę.

– To się chwali. W takim razie możemy kończyć. Dziękujemy za poświęcony czas. – Stefańska

wstała. – Zostawię panu naszą wizytówkę, gdyby pan sobie coś przypomniał, dobrze?

– Nie trzeba, pani redaktor. Znajdę kontakt. Odprowadzę panie do bramy. Gdzie zostawiły panie samochód? Przy kuźni? Bo ćwicząc, chyba widziałem przez okno panie w sąsiedztwie ruin...

– Przy szosie. Do kuźni przeszliśmy się spacerkiem, z reporterskiej ciekawości.

– Rozumiem. To przecież niedaleko i okolica ładna. W takim razie pójdziemy do głównej bramy. Będzie bliżej – odparł.

– Widzę, że nic państwu nie umknie – zażartowała.

– Cóż, tak, w tych warunkach staramy się być czujni. Chcę, żeby zwłaszcza *maman* czuła się bezpiecznie.

– Słusznie. – Felicja z aprobatą pokiwała głową. – Ale przyszło mi do głowy, przepraszam za pytanie, jeśli jest zbyt osobiste, ale pan, z racji swojej pracy chyba często bywa nieobecny. Czy wówczas...

– Wówczas opiekuje się nią nasza Marcelina. – Muzyk od razu wszedł jej w słowo. – A same panie widziały, nieułomek z niej. I nie tylko ona. Razem z nią czuwają również osoby upoważnione, mamy też prywatnego lekarza domowego. Proszę się nie martwić, dbam o jej bezpieczeństwo...

– Przestań się tak głupekowato szczerzyć! – Stefańska napadła na Kaśkę, gdy tylko Bagiński (Baginsky – jak często pisano o nim w brukowcach) zamknął za nimi bramę i oddalił się w głąb ogrodu. – I do tego robić maślane oczy. Dziad jest starszy ode mnie, gówniario.

– Ale o co ci chodzi? – Spłoszona Kasia zarumieniła się i zapięła pas.

– Doskonale wiesz. Rozum ci odjęło. Mówiłam ci, że to gej.

– Przecież się za niego nie wydaję. – Młoda wzruszyła ramionami. – Podziwiam go jako artystę.

Felicja uchyliła okno, zapaliła papierosa i włączyła silnik.

– Wygląda mi na takiego, co się sam podziwia. – Wycofała powoli z parkingu. – Choć jeszcze bardziej podziwia swoją mamusię. Maminsynek cholerny.

Malinowska parsknęła śmiechem i zauważyła:

– Coś w tym jest. Bardzo się o nią troszczy.

– I obsesyjnie zabiega o jej opinię na swój temat. Jakby miał kompleksy, choć taki z niego wielki gwiazdor. Możliwe, że przez tę swoją orientację.

– Jeśli to nie plotka, to mu nie zazdroścę. Jego matka wygląda mi na bezwzględna. Musiał mieć trudne dzieciństwo. Pamiętasz sprawę tej małej Julki? A co dopiero za jego czasów... – westchnęła Kaśka i dodała: – Ale przyznaj, że jest przystojny.

Stefańska na początku ruszyła ostro, teraz jednak zwolniła, bo właśnie wjeżdżały do centrum Kryszewa.

– No dobra – zgodziła się. – Niech ci będzie. Jest przystojny, choć kompletnie nie w moim typie. Nie lubię takich melancholików.

– Wiem, wiem! W twoim typie jest tylko taki jeden szorstki policjant! – zażartowała Malinowska.

– Wiesz, ja sama jestem raczej szorstka. Ty lepiej mi mów, co poza tym o nich sądzisz. O obojgu.

– Bo ja wiem. Trochę dziwacy, ale mili, grzeczni, kulturalni. Ta kobieta niesamowita jak na swój wiek!

– Właśnie. Musimy znaleźć coś więcej na temat pierwszego trupa w kuźni. Trzeba by przekopać archiwa, stare gazety, popytać ludzi. Ja się tym zajmę, ty dalej śledź, co się obecnie dzieje wokół tej posesji.

– Okej.

– A co myślisz o otruciu ich psa?

– To straszne. Może ktoś nie chciał, żeby szczekał, albo próbował ich zastraszyć, a raczej jego, bo starsza pani już chyba prawie nie wychodzi z domu. – Kaśka posmutniała. Tak jak Felicja kochała zwierzęta.

Rzeczniczka zatrzymała się na światłach.

– Swoją drogą willę mają po byku, są praktycznie tylko we dwoje, bo z tego, co zrozumiałam, gosposia jest dochodząca, a psa trzymali na zewnątrz – zauważyła niechętnie.

– On mówił, że nie zawsze.

– Mówił, co mówił, nie broń go tak gorliwie. A jednak. Gdyby pies siedział w domu, toby go nikt nie otruł. O ile to prawda, bo na razie mamy tylko jego domosty. I to będzie twoje drugie zadanie, młoda. Znajdź tego ich weta i pogadaj z nim. To nie powinno być skomplikowane, w Kryszewie jest ze trzech, a nie sądzę, żeby jeździli z psem gdzieś dalej.

– Tak jest, szefowo.

Gdy światła zmieniły się, ruszyły i już po chwili skręciły w lewo, w boczną uliczkę pod górkę, by dotrzeć do biura.

\*\*\*

Przed domem zobaczyły znajome policyjne auto, w ogrodzie biegał Bury, który radośnie je powitał. Jego entuzjazm był tak zaraźliwy, że od razu humory im się poprawiły. Zza rogu, od strony sadu, wyszedł im na spotkanie gospodarz.

– Dzień dobry paniom! – krzyknął tubalnie, a jego czerstwa, już opalona twarz zmarszczyła się w uśmiechu. – Pani Felu, na górce czeka ten młody policjant, żona go wpuściła. Nie chciał kawy brać od żony. Powiedział, że wie, gdzie pani co trzyma i że sam sobie poradzi. Wziąłem Burka do ogrodu, żeby się wybiegał...

– Super, dziękuję, w takim razie zostawię go jeszcze z panem, bo pogoda się zrobiła, niech korzysta. A ten policjant to oczywiście nasz Ryba?

– Nasz Zygmus z komisariatu, tak. Burego przypilnuję, żal psa, co ma w czterech ścianach siedzieć. A mnie rażniej, kiedy mam towarzystwo przy robocie. Dopiero jak żona na obiad zawoła, to go do was na górę zaprowadzę.

– Jasne. Tylko błagam, nie karmcie go państwo, bo on do jedzenia zawsze pierwszy, a już za bardzo przytył. Ryba długo czeka?

– Z pół godziny może.

– Dobrze. Jeszcze raz dzięki, gospodarzu.

– A nie dziękować, nie ma za co! – Mężczyzna gwizdnął na psa, który najpierw przystanął przy nodze dziennikarki, trochę niepewny, co ma robić, ale ogonem zamachał.

– No leć! Pobaw się jeszcze! – zachęciła go Stefańska. – Biegnij za wujkiem, piesku. My musimy jeszcze trochę popracować.

Bury pognął radośnie za gospodarzem. Po chwili obaj zniknęli w sadzie. Felicja zamknęła vana i weszły do budynku.

– Powiedział do ciebie „Felu”... – Zachichotała Kaśka.

– Zawsze tak gada. – Stefańska machnęła ręką. – Już przestałam zwracać na to uwagę. Ludzie są niereformowalni. Zaczynam przywykać.

– Też masz problemy. To jest bardzo ładne zdrobnienie!

– A weź się odwal. Ładne nie jest, tyle że zaczęło mi to zwisać. Chyba się starzeję.

Felicja nacisnęła klamkę, weszły na poddasze. Już z daleka wyczuły mocny zapach kawy i czegoś jeszcze.

– Ty, co tu tak wania? – Pociągnęła nosem rzeczniczka. – Nawet ładnie. Co ten Zygmus tam wyprawia?

– Nie mam pojęcia. Ale pachnie chyba jadalnie. Jezu, jaka ja jestem głodna! – wyszeptwała z nadzieją Malinowska. – Przecież nic nie jadłyśmy od rana.

– Jadłaś trufkę.

– No tak, przyznaję się. Gdyby to jeszcze był grzyb, a nie czekoladka – westchnęła młoda dziennikarka.

– Hej, dziewczyny, jesteście już?! – Z kącika kuchennego dobiegł je zadowolony z siebie głos aspiranta sztabowego Ryby. – To rozplaszczajcie się migiem i do stołu. Zanim mi tu wszystko wystygnie!

– Co to jest? – zapytała Felicja na widok potrawy tryumfalnie wniesionej przez Rybę do pokoju.

Kaśka pociągnęła nosem.

– Zapach egzotyczny... – dodała zaciekawiona.

– Zgadujcie!

Aspirant uśmiechnął się przekornie. Postawił na stole talerz z płatami tortilli oraz miskę z czymś pachnącym. Do kompletu podał jakiś czerwony sos i surówkę.

– Co to jest to coś w misce? – Nie dawała za wygraną Stefańska. – Te kulki? Nawet nieźle wygląda. Jakiś kebab?

– Widzę, że ignorantki z was, dziewczyny! To jest falafel – wyjaśnił. Ryba, odkąd się ożenił i spłodził dziecko, uwierzył, że od tego zmądrzał. – Danie wegetariańskie, chyba arabskie, tak mówiła moja żoneczka, a ona wszystko wie. Jako że nie przepadasz za mięsem, nie wziąłem kebabu. Ale to jest pyszne, zobaczcie. Je się tak: bierzesz placek, wkładasz klopsiki do środka, polewasz sosem, możesz też dodać sałatkę i wsuwasz. Popijamy dobrym piwkiem, czary-mary i... – Wyjął zza kanapy butelkę IPY. – To dla was, niestety, dla mnie tylko mineralka, służba nie drużba... – zakończył ze smutkiem.

– A kawa? – wypaliła Malinowska.  
– Kawa będzie dopiero po jedzeniu! Ech, ty, młoda...  
– A ty niby stary?!  
– Starszy od ciebie.  
– Parę lat! – Zaśmiała się Kaśka.  
– Ciszka, gówniarze! – fuknęła Stefańska. – Okej, jemy, bo nie wytrzymam. Czyli po prostu kupiłeś gotowca?

– Zamówiłem w naszej grillowni, ale sam osobiście odgrzałem – odparł z zadowoleniem. – I doprawiłem sos. Bardziej na ostro, tak jak lubicie.

– A już myślałam, że samodzielnie upichciłeś...

– Że niby tak od podstaw? No bez przesady, Felka!

Ryba rozlał piwo do szklanek, które w końcu ktoś przyniósł Felicji z jakiejś okazji w prezencie. Prawdopodobnie Greta. Kiedyś pili piwo z kubków.

– Idź, głupku, bo cię w końcu walnę. – Hojnie włożyła aromatycznie przyprawione pulpeciki do placka, zawinęła i spróbowała. – Noo, Rybko, czapki z głów. To na serio jest pyszne. Bez ściemy. Spróbuj śmiało, Kaśka. A teraz, już całkiem na serio, zdradź nam, Rybciu, z jakiej to okazji ta próba przekupstwa... – zwróciła się do policjanta.

Ryba wcale się nie zmieszał.

– Smaczne, co? – Zarechotał. – A co do twojego pytania, to spoko. I tak bym wam jeść dał. Ale sprawę mam. A raczej my mamy, bo w sumie to Pałka mnie nasłał.

– Że co? A sam nie mógł, musiał ciebie nasylać?

– On się tylko jednej osoby na całym świecie boi: ciebie! – Policjant znów zachichotał.

– I słusznie, ma rację, bo jestem chyba jedyną osobą na świecie, która się jego nie boi. No to już gadaj, o co chodzi – odparła zrezygnowana Felicja.

Tymczasem Malinowska spróbowała dania i stwierdziła, że jest bardzo smaczne. Zadowolony Ryba przeszedł do wyjaśnień.

– O nic takiego. Tylko komisarz prosi, żebyście odpuściły sobie gadki z radnymi w związku z tymi... w domyśle... transakcjami. My się tym sami zajmujemy, a nie ma co ich płoszyć i brać w dwa ognie. Dla nich dziennikarze są gorsi od glin. Politycy cykają się w takich sytuacjach rozgłosu, zwłaszcza przed wyborami. A to, zdaje się, śliska sprawa. Tam aż buzuje pod powierzchnią! Kotłują się w białych rękawiczkach. Pojęcia nie miałem, że ta stara kuźnia budzi takie zainteresowanie. A w końcu tu mieszkam od urodzenia. Zawsze mi się zdawało, że mało kto pamięta o tym budynku. – Aspirant napił się mineralnej. – Więc skupcie się na otocze, szukajcie archiwaliów, bo wam to świetnie wychodzi, pogadajcie z mieszkańcami, byle dyskretnie, a my weźmiemy w obroty radnych. Zgoda?

– Pod warunkiem że wszystkiego się od was dowiemy. – Stefańska nie zamierzała ustąpić bez walki.

– Tyle, ile będziemy mogli zdradzić bez naruszania tajemnicy śledztwa – targował się z nią policjant.

– To brzmi jak tajemnica spowiedzi! – Roześmiała się. – Jak uważacie. Bo gadać z ludźmi nie możecie nam zabronić. Choćby to byli radni. Mamy prawo do niezależnego dziennikarskiego śledztwa.

– Oki, oki! Niech wam będzie. Będziemy się nawzajem dzielić zdobytymi informacjami. Zresztą jak zawsze.

– Jasne. A w ogóle, skąd nagle taka decyzja Pałki?

Ryba podrapał się w głowę. Ten odruch towarzyszył trudniejszym dylematom, z jakimi przyszło mu się mierzyć.

– Z niczego konkretnego, po prostu tam się na serio coś kotłuje. Jeden na drugiego kabluje, kręcą, kopia pod sobą dołki. A na przykład ten inwestor z Azji, ten od naszej ofiary, już się podobno wycofywał, i to zanim jeszcze doszło do morderstwa. Więc w co dalej grał Kownacki?

– No, ciekawe...

Dołożyli sobie po jeszcze jednym placku.

– A wam co się dziś udało ciekawego odkryć? – zagał Ryba.

– W zasadzie niby nic konkretnego. – Felicja wzruszyła ramionami. – Poznałyśmy tego świadka artystę i jego matkę.

– I gosposię! – włączyła się Kaśka.

– I gosposię, a raczej cerbera. Ciekawi ludzie, szczególnie matka. Ma prawie sto lat, a przytomna jak mało kto! Synkiem manipuluje całkiem sprawnie, choć jemu się zdaje, że opiekuje się mamusią. Nie-



ważne, w sumie to nie nasza sprawa. Poznałyśmy za to trochę aurę otaczającą ten budynek, trochę historii i ciekawostek. Na przykład fakt, że w podobnych okolicznościach znaleziono tam zwłoki jakiegoś partyjniaka na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

– O tym słyszeliśmy, ale bez konkretów. Ta staruszka wam opowiadała?

– Owszem. Była wtedy sołtyską. Podobno w tamtych czasach też debatowano nad dalszym losem kuźnicy.

– No to drążcie tę sprawę, może uda wam się do czegoś dokopać. Nie mam zielonego pojęcia, jak to się ma do obecnej historii, ale nie zaszkodzi w tym pogrzebać.

– Jeszcze jedno! – Malinowska podniosła palec. – Chyba ważne. Bagiński twierdzi, że niedawno otruto im psa.

– Właśnie – zreflektowała się Felicja. – Owczarka niemieckiego. Ponoć zasugerował im to weterynarz.

Aspirant zmarszczył brwi.

– O tym nie wiedzieliśmy – wyznał. – To niepokojące. Tam przecież wokół nie ma żadnych sąsiadów. Jeśli to prawda, mógł to nie być przypadek.

– Nie wierzę w przypadki – ucięła Stefańska. – Dlatego to sprawdzimy. Poszukamy tego weterynarza...

\*\*\*

Zajął się tym następnego dnia po odfajkowaniu codziennych czynności służbowych. Informacje znalazły w Internecie. Okazało się, że w Kryszewie oraz w okolicznych miejscowościach gminy znajdowało się aż pięć mniejszych i większych przychodni weterynaryjnych. Jedną z nich leżącą w dużej odległości dziennikarki zostawiły na koniec, kolejną, niedawno otwartą skreśliły z listy. Pozostały im trzy, z czego dwie w centrum miasteczka, i od nich postanowiły zacząć.

– W zasadzie czemu od razu nie zapytałyśmy o to pana Bagińskiego? – zauważyła roztropnie Kasia.

– Żeby nie robić niepotrzebnego zamieszania i nie straszyć ludzi, jeśli nie trzeba. W sumie masz rację, mogłyśmy go zapytać. Ale skoro nie musimy, to tym lepiej. – Stefańska wolała załatwić to we własnym zakresie. – To co, ty pójdziesz do tych wetów?

– Nie ma sprawy, szefowo.

– Wiesz, o co pytać? Gdyby nie chcieli gadać, bo tajemnica i tak dalej, to mów, że nie chcesz stresować właścicieli. W najgorszym razie naślemy na nich gliny i wtedy będą śpiewać. Tego im oczywiście nie mów.

– Spoko, poradzę sobie! – Kaśka wyłączyła komputer i zaczęła się pakować.

Felicja się zawahała.

– Albo wiesz co... pójdziemy razem. I tak nie mam na razie nic zaplanowanego. Chcę jeszcze raz pogadać z Gretą, ale ona ma czas dopiero jutro, więc dzisiaj też już jestem wolna.

– Okej, razem będzie różniej. – Kaśka kiwnęła głową.

– Ubieraj się, załatwimy to, póki pora wczesna. Czytałam, że jeden jest czynny od rana do trzynastej, a potem weterynarz jeździ w teren.

Malinowska zerknęła na zegar.

– Już się zbieram. Dochodzi dwunasta, musimy się pospieszyć.

– Czeka! Zabiorę Burego i przy okazji zabezpieczę go przed kleszczami.

– A wy do którego weta chodzicie?

– Do tego drugiego. Ale nieważne, środek na kleszcze ma chyba każdy. – Stefańska zawołała psa i nałożyła mu szelki. – No to w drogę, spacerek, Burasku.

Szybko okazało się, że pośpiech był zbędny: pierwszy weterynarz w zasadzie nie zajmował się „małymi zwierzętami”, jego specjalnością były konie i zwierzęta gospodarskie. Tych drugich w gminie praktycznie brakowało i z tego względu lekarz obsługiwał głównie okoliczne stadniny koni. Właśnie zamykał gabinet i wybierał się z wizytą. Udały się więc z Burym do drugiej przychodni. To był strzał w dziesiątkę. Najpierw jednak musiały odczekać pół godziny w poczekalni, gdyż było już tam sporo czworonożnych pacjentów z opiekunami.

Wreszcie przyszła ich kolej.

– Cześć, rudy Burku. – Lekarz, krępy mężczyzna z brodą, od razu poznał stałego klienta. – Z czym przychodzisz? Mam nadzieję, że nie chorujesz?

– Na szczęście nie. Przyszliśmy po środek przeciwko kleszczom, bo już się pojawiają – wyjaśniła

Felicja.

– Cóż, wiosna. Wskakuj na stół, Bury. Podamy ci kropelki na kark. Może być? – zwrócił się do dziennikarki.

– Będzie super. Doktorze, my dziś do pana nie tylko po to – odpowiedziała ostrożnie, gdy weterynarz zajął się psem, którego pomagała mu przytrzymywać Malinowska. – Również służbowo. Mamy do pana pytanie...

– Tak? – Lekarz zdziwiony uniósł brew, jednocześnie aplikując Buremu krople. – Piszecie o zwierzętach czy o weterynarzach? – dodał żartobliwie i wmasował płyn w sierść psa, który cierpliwie znosił zabieg.

– Nie tym razem. Chodzi o inną sprawę. Na pewno kojarzy pan Bagińskiego, tego pianistę. I jego matkę. Leczył pan ich zwierzęta?

– No, kolego, gotowe, już możesz zejść! – Doktor pogłaskał Burego za uchem i oddał w ręce Malinowskiej, a sam zasiadł do komputera. – Oczywiście, kojarzę, i owszem, to moi klienci. Nie powinienem...

– Wiem, ale to ważne, chodzi o ich psa, owczarka niemieckiego. Podobno zatrzał się lub ktoś go otrzał, tak nam powiedział pan Bagiński. Czy pan to może potwierdzić? Proszę nam pomóc. Zajmujemy się sprawą zabójstwa w starej kuźni, na pewno pan o tym słyszał. A taki fakt, jak otrucie psa w sąsiedztwie, może mieć znaczenie.

Wyjęła kartę, by uregulować należność. Kaśka tymczasem przypięła Buremu smycz, żeby nie szperał w gabinecie i nie obwąchiwał wszystkiego.

Lekarz się zawahał.

– Tak, pamiętam tego psa – przyznał. – To było może z miesiąc temu. Pan Bagiński zadzwonił do mnie rano i poprosił, żebym przyjechał. Był zdenerwowany. Zrobiłem to, choć zazwyczaj nie jeżdżę na wizyty domowe, nie mamy ich w zakresie usług. Ale to blisko, stały klient, a akurat nie miałem pacjentów. Faktycznie w ogrodzie leżał martwy pies, owczarek niemiecki. Został w takim stanie znaleziony rano przez gospozię. Mogłem już tylko pomóc w zorganizowaniu kremacji.

– Czy rzeczywiście został otruty?

– Na sto procent trudno to stwierdzić. – Weterynarz wzruszył ramionami. – Nie zlecono mi sekcji, a po pobieżnych oględzinach można tylko snuć domysły. Jeśli dobrze pamiętam, były objawy wskazujące na zatrucie, na przykład nietypowo blade śluzówki, krew w pysku, ślady ślinotoku, wymiotów. Ale nie oznaczało to jednoznacznie, że został otruty. Mógł się sam zatrucić, możliwości jest wiele: rośliny, nawozy, opryski, nawet zatrute małe zwierzęta, jak myszy na przykład, bo przecież nie tylko koty polują, psy również – zakończył swój wywód i rozłożył bezradnie ręce.

– Ale wyklucza pan zgon z przyczyn naturalnych, na przykład jakąś chorobę? – wtrąciła Kaśka.

– Nie mogę tego wykluczyć na sto procent. To już nie był młody pies, mógł chorować, choć sądzę, że gdyby były wcześniejsze objawy, to ten akurat opiekun by zareagował. Ale nie był leczony, przynajmniej nie u mnie. Oni dbali o swoje zwierzęta, mają jeszcze kota, regularnie jest u nas szczepiony, odrobaczany.

Stefańska nie wyglądała na przekonaną.

– Zostawili jednak psa nocą na zewnątrz – zauważyła.

– Też zwróciłem na to uwagę. Lecz opiekun wyjaśnił mi, że pies czasem wolał nocować w budzie, kiedy już mrozy puściły. Obejrzałem tę budę: była profesjonalna, dwukomorowa, ocieplana, wyposażona w słomę, materac, koce. Krzywdy tam ten pies nie miał.

– Czyli uważa pan, że otrucie jest prawdopodobne? – Stefańska nie kontynuowała już tematu budy. Uspokoiła Burego, który zaczął się niecierpliwić i popiskiwać z nudów.

– Powiedzmy, że było możliwe – poprawił ją. – Tylko tyle mogę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć na ten temat.

– Rozumiem. Dziękuję, panie doktorze. W takim razie już nie przeszkadzamy, bo pacjenci czekają. Do widzenia.

– Oby nieprędko. – Pokiwał dobrotliwie głową. – Na szczęście pani Bury cieszy się świetnym zdrowiem i oby jak najdłużej...

– No i widzisz, nie zaprzeczył! – tryumfowała Malinowska. – Pan Bagiński miał rację. Ale to by znaczyło, że...

– No, właśnie, właśnie. Ty myśl, Kaśka. – Felicja zatrzymała się przy trawniku, naprzeciwko supermarketu, by Bury mógł załatwić potrzeby fizjologiczne po wizycie u weterynarza. – To by znaczyło, że ktoś tam od dawna coś planował i z tego powodu pozbył się niewygodnego świadka, bo pies też świa-

dek, mógłby zaalarmować właścicieli. Ale to, że wet nie zaprzeczył, nie oznacza, że tak było. Zwróć łaskawie uwagę, że też nie potwierdził.

– Czyli nigdy się nie dowiemy, jak było naprawdę.

– Raczej nie. Dlatego musimy brać pod uwagę, że mogło, niestety, tak być. – Skrzywiła się Stefańska.

Kiedy ruszyły, usłyszały za plecami znajomy zziębnięty damski głos:

– Dzień dobry, pani Felu! O, i pani Kasia...

Felicja odwróciła się zrytowana. Doganiała je właśnie obławowana siatkami, lecz jak zawsze uśmiechnięta przyjaźnie od ucha do ucha piękna Justynka, młoda żona Ryby, bibliotekarka. Przywitały się.

– Zakupy, pani Justyno? – zapytała zdawkowo Stefańska, w sumie jedynie po to, by nie milczeć.

– Ano tak – westchnęła nieco teatralnie młoda kobieta. – Małą zostawiłam teściowej, bo to akurat jej pora snu, a sama na szybko wyskoczyłam do sklepu. Wie pani, jak to jest przy dziecku...

Dziennikarka bez przekonania pokiwała głową. Nie za bardzo wiedziała, jak to jest „przy dziecku”. Ani, szczerze mówiąc, niespecjalnie ją to interesowało.

– Domyślam się. – Uśmiechnęła się życzliwie Kasia Malinowska.

– A i Zygmunta nakarmić trzeba. – Bibliotekarka głąskała Burego. – Chłop ma swoje potrzeby, a ostatnio bardzo ciężko pracuje. Zresztą panie wiecie. Mąż mówił, że współpracujecie panie z policją w związku z tą zbrodnią w starej kuźnicy.

– Zgadza się. – Felicja przypomniała sobie, że jakkolwiek urocza żona Ryby (i jej dawniejsza rywalka) od samego początku ją denerwowała, niemniej już kilka razy okazała się pomocna. Musiała też uczciwie przyznać, że choć w życiu prywatnym młoda kobieta wydawała jej się idiotką, to jednak w swoim zawodzie była dobra. I z pewnością czytana. Postanowiła więc i tym razem z tego skorzystać. – A, no właśnie, pani Justynko... – zagaiła. – Pani nadal pracuje w naszej bibliotece, prawda?

– Ależ oczywiście! Co ja bym bez tej pracy, tylko tak przy dziecku... Biblioteka to dla mnie odskocznia, odpoczynek! – Roześmiała się perliście dziewczyna.

– To super, bo miałabym prośbę do pani.

– Tak? Z przyjemnością pomogę.

– Wolę nie zawracać teraz głowy kierownicze, bo wiem, że ma jakieś raporty, więc może pani by mogła zebrać dla nas informacje na temat starej kuźni. Rozumie pani: wszystko, co się da. Historia, legendy, plotki, ciekawostki, dosłownie wszystko, każdy drobiazg. Na pewno macie w bibliotece materiały na ten temat. A pani już jest i tak w tę sprawę wtajemniczona i wie, o co chodzi. Mogłaby pani?

Młodej kobiecie zabłyśły oczy, najwyraźniej chwyciła przynętę.

– Pewnie, chętnie! To będzie dla mnie przyjemność. Uwielbiam takie badania, pracę z materiałem źródłowym, to moja pasja od studiów. Na kiedy to pani potrzebne?

– Bez pośpiechu, ale...

– Ale jak najszybciej, rozumiem. – Justynka błysnęła białymi zębami.

– Dziękuję. W takim razie zajrzę za parę dni.

– Zapraszam, a jeśli uwinę się z tym szybciej, to dam znać przez męża. Albo zadzwonię pod numer redakcji.

– Świetnie. – Felicja zdobyła się na uśmiech.

– To ja już polecę, bo mała...

– Oczywiście, niech pani biegnie do córki, proszę pozdrowić Ry... Zygmunta – dokończyła z ulgą rzeczniczka.

– To i ja uciekam, mam jeszcze dzisiaj otwarcie świetlicy osiedlowej. – Kasia zerknęła na zegarek. – Obiecałam, że będę tam i zrobię zdjęcia. Szefowo, czy po robocie mam jeszcze zajrzeć do biura?

Stefańska machnęła ręką.

– Nie trzeba, od razu wracaj do domu.

– Okej, dzięki. To do widzenia!

Wszystkie trzy pokiwały jeszcze raz na pożegnanie, po czym każda poszła w swoją stronę.

\*\*\*

Na nogi postawił ją budzik w telefonie, na który zareagowała automatycznie, wyłączając go na oślep. Następnie, na wpół obudzona, złorzeczając pod nosem, z trudem wygrzebała się spod kołdry i – nie budząc psa – niechętnie wstała. Było wcześniej i zimno. Włączyła dmuchawę, by zrzucić z siebie dresy i włożyć szlafrok, zanim pójdzie pod prysznic. Zaraz jednak wyłączyła piecyk, przypominając sobie ze

zgrozą o ostatnich podwyżkach prądu.

W tym kraju coraz trudniej żyć, pomyślała ze smutkiem, marząc o śródziemnomorskim słońcu. Zateśniła za nim. Obliczyła w myślach, ile miesięcy pozostało jeszcze do lata, gdy już będzie mogła wsiąść do swojego wysłużonego vana i znów ruszyć w drogę.

Jeszcze trochę trzeba się pomęczyć.

Jeszcze trochę...

Wróciła do rzeczywistości, która była szara, wilgotna i kapiąca deszczem. Bury chrapał. Zeszła z antresoli, w drodze do łazienki włączyła ekspres. Umyła się i ubrała w dżinsy oraz ciepły polar. W oczekiwaniu na Malinowską przygotowała sobie szybkie śniadanie. Kawa, grzanka, banan, jogurt. Wystarczy. I tak Greta ją u siebie nakarmi. Kaśka na pewno nie będzie jadła. Mieszka z mamą, która o nią dba, pakuje jej nawet kanapki do pracy. Ale kawę trzeba by jej jednak zostawić na podgrzewaczu, przyjdzie zmoknięta...

Felicja kończyła właśnie posiłek, kiedy z ziajana współpracownica pojawiła się w drzwiach biura. Zarumieniona, przemoczona, ale jak zawsze tryskająca energią, zapałem i dobrym humorem. Młodość, westchnęła Stefańska w duchu. Na widok uśmiechniętej dziewczyny i jej poprawił się wreszcie nastrój.

– Czołem, szefowo! – powitała ją rażno asystentka, wieszając płaszcz na haczyku. – Czuję cudowny zapach kawy, mogę sobie nalać? Zmokłam.

– Niby po cholere głupio pytasz? – Wzruszyła ramionami Felicja. – Przecież specjalnie ci zostawiłam. Czołem, młoda...

– Niech żyje entuzjizm! – rzuciła drwiąco Kaśka.

– Nie udław się nim. Czym się tu entuzjasmować? Tym syfem za oknem?

– Pada wiosenny deszczyk, szefowo moja. Nic takiego, już się przejaśnia. To co dziś robimy?

Wychodzisz?

Stefańska podniosła się, ziewając.

– Idę do Greta. Ściągnęła mnie z rana, bo potem ma jakieś zajęcia w terenie, a chcę z nią jeszcze pogadać o tych radnych.

– Ale przecież policja...

– Wiem, wiem. Nie zamierzam im wchodzić w paradę, chcę tylko pogadać z Gretą, tak bardziej prywatnie. Kapujesz?

– A co ja mam robić?

– Rób swoje. Załatw najpierw bieżące sprawy, potem możesz poszperać w sieci i poszukać wszelkich wzmianek o kuźni. Nowych i starych. Aha, Bury jeszcze śpi na antresoli, nie zrywałam go.

– Słyszę. – Roześmiała się. – Nawet się nie obudził, kiedy weszłam!

– Taka aura zasrana. Poza tym młody już nie jest i z lekka przygłuchy.

– No wiesz co, szefowo! To mądry pies. Wstanie chłopak na śniadanie. Nakarmię go i wyjdę z nim do ogrodu.

– Dzięki, młoda. – Felicja w końcu się uśmiechnęła. – Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Podobno beze mnie radziłaś sobie świetnie.

– To już było parę lat temu i ja też byłam wtedy młodsza. – Dziennikarka mrugnęła przekornie do dziewczyny.

Włożyła kurtkę przeciwdeszczową, wsunęła do kieszeni portfel i papierosy, po czym rzuciła się na poszukiwanie kluczyków do auta. Kiedy już zaczynała głośno przeklinać, asystentka z tryumfującym uśmiechem podsunęła jej pęk kluczy pod sam nos.

– O, dzięki. No właśnie, sama widzisz – zawstydziła się reporterka.

– I to codziennie! – Zachichotała Kaśka. – Idź już, bo pani Greta nie cierpi, jak ktoś się spóźnia...

Greta rzeczywiście czekała na nią ze śniadaniem. Na stole w jasnym i przestronnym aneksie jadalnym Pazików stały wielka taca z kolorowymi kanapkami i dwa srebrne dzbanki. Felicja usiadła i przyjrzała się temu kulinarnemu dziełu.

– Z czym to? – zapytała.

Pazikowa właśnie nadeszła z kolejną tacą, na której, ni mniej, ni więcej, znajdowały się gorące racuszki z marmoladą.

– Kanapki? Z jajkiem, wędzonym łososiem, szwedzkim kawiolem i warzywami – wyliczyła od niechcienia. – Placki z domową marmoladą z pigwy. Sama robiłam. Do tego kawa albo herbata... Pamiętam przecież, że zwykle wolisz herbatę. Mocna jest, czarna, tak jak lubisz. Cukier masz tam. Białe lub brązowe, do wyboru...

– Codziennie jadacie takie śniadanka? – zakpiła dziennikarka, usilnie maskując szok, jakiego

doznała.

Greta się zaśmiała.

– Raczej nie – odparła niewinnie. – Zazwyczaj Przemek zjada jajko sadzone, a ja owsiankę. To jest na twoją cześć. Schniesz, moja kochana. Znam ja te twoje... hm... posiłki. Jabłko i sucharek. Zgadza się?

– Banan i grzanka. I wcale nie schnę, po prostu mam figurę.

– Na jedno wychodzi. Jak stara szczapa.

– Młódka się odezwała! – syknęła.

Mierząc jednak wzrokiem przyjaciółkę, chyba po raz setny poczuła zazdrość. Po Grecie, o co najmniej dziesięć lat od niej starszej, nie było widać wieku. Teraz też – ubrana tylko w pastelowy jasnozielony dres, z blond włosami opadającymi luźno na ramiona – wyglądała jak z żurnala. Bez żadnych botoków, bo o tym Felicja by wiedziała. Klasycznie piękna twarz, dyskretny makijaż, zero zmarszczek, zero siwizny. Owszem, Greta z pewnością farbowała włosy, ale tego nie było widać, kolor wyglądał naturalnie. Felicja robiła to z doskoku, nie zawsze jej się chciało, często zapominała, nie miała dość czasu, ukrywała odrosty pod bejsbolówką albo kapturem.

– Młódka nie młódka, martw się o siebie. A teraz siadaj i jedzmy, zanim racuchy ostygną. – Stanowczym ruchem nałapała do filiżanki Felicji herbaty, a do swojej kawy. – Zaczynasz od kanapek czy od placków?

– Od kanapek. – Stefańska nie wytrzymała i zgarnęła na talerz kanapkę z jajkiem i czerwonym kawiozem, który skropiła leżącą obok ćwiartką cytryny. Nadgryzła. – Pycha! – zwróciła się do Greta z podziwem.

– A widzisz. Czasem warto.

– Dobra. Ale nie przyszłam tu jeść, uprzedzałam. To teraz powiedz mi...

– Nie! – zaprotestowała gospodyni. – Nie, moja droga. Po śniadaniu. Znasz moje zasady. Przy jedzeniu gadamy o dupie Maryni. Poważne sprawy przy kawie.

– Przecież chłasz już kawę – wytknęła jej Felicja.

– Ale pierwszą. Po śniadaniu będzie druga. I dopiero wtedy będziesz mnie mogła maglować do woli.

– Trzymam cię za słowo – westchnęła dziennikarka.

Zrelaksowała się, spoglądając w zajmujące całą boczną ścianę okno z widokiem na niewielki, lecz zadbane ogród Pazików, gdzie na tle starannie przyszczonej soczystej zieleni zakwitły już pierwsze kolorowe krzewy i kwiatowe rabatki. A u niej nawet pospolity kaktus w doniczce padł.

Rozmawiały więc o wszystkim i o niczym. Felicję uderzyła nagła myśl, jak bardzo się od siebie różnią. Praktycznie były przeciwieństwami. Abnegatka i perfekcjonistka. Dama i zbuntowana czarna owca. A jednak tyle je łączyło! Obie były silne i zdeterminowane. W najważniejszych sprawach zawsze się ze sobą zgadzały. Tak różne, a zarazem tak do siebie podobne...

Gdy już zjadły i wyniosły naczynia do kuchni, Greta zgodnie z zapowiedzią przyniosła drugą kawę: tym razem było to bardzo mocne, aromatyczne espresso. Felicja chciała poprzestać na herbacie, ale zapach ją skusił. Po czym i tak, jak zwykle, doznała rozczarowania, gdyż – jak twierdziła od lat – kawa lepiej pachnie, niż smakuje.

– Tym razem nie mam żadnych ciastek do kawy, tylko czekoladki. – Gospodyni rozpakowała bombonierę z wiśniami w likierze.

– To dobrze. Wolę czekoladki – stwierdziła Felicja.

– Wiem. Znamy się ze dwadzieścia lat, może nawet więcej. Zapominasz, że wiem o tobie wszystko.

– Wszystkiego to nawet ja sama o sobie nie wiem.

– Tajemnicza Felicja! – Uśmiechnęła się Greta. – To dlatego chłopcy za tobą latają. Dobra, no to już pytaj, o co chcesz.

Do pomieszczenia dostojnym krokiem weszła perska kocica Pazików – uratowana przez nich z pseudohodowli, dość już wiekowa i rozpieszczana. Lekko otarła się o nogi Felicji, po czym wskoczyła na kolana swojej opiekunki.

– W zasadzie chciałam raczej luźno z tobą pogadać – zawahała się dziennikarka. – No bo widzisz, Artur za pośrednictwem Ryby praktycznie odciął nas od części śledztwa. Ważnej, bo chodzi o tych waszych radnych, którzy zajmują się lub zajmowali sprawą inwestycji w kuźnię.

– Starą kuźnię, tak?

– Tak. Prosił, żebyśmy zostawiły wyłącznie im wszelkie rozmowy. Rozumiem to i nie zamierzam

przeszkadzać policji, ale...

– Nie do końca to sobie wyobrażasz. Domyślam się. Więc?

– Masz w tym jakieś rozeznanie?

Greta Pazik się zamyśliła. Z gracją wsunęła do ust czekoladkę.

– Tak jak mówiłam, nie za bardzo interesowałam się wcześniej szczegółami, zwłaszcza że żadna transakcja nie doszła jeszcze nawet do fazy konkretnych rozmów. To były raczej luźne dyskusje, projekty... – odparła.

– A, właśnie! To prawda, że Chińczyk się wycofał?

– Znaczący, biznesmen z Hongkongu, ten od Kownackiego? Tak, to prawda, wycofał się. Ale moim zdaniem jeszcze przed zabójstwem Kownackiego. Nie miał interesu, żeby załatwić go, chyba że o coś się pokłócili, tego nie wiem.

– Nie chodzi mi o to, że go zabił! – Machnęła dłonią Stefańska. – Chcę to jakoś uporządkować. To może mieć znaczenie. Mogłabyś sprawdzić i potwierdzić... lub nie, oczywiście... że zrezygnował wcześniej?

– Pewnie. Zrobię to.

– Dzięki. Czy to był najbardziej zaawansowany projekt?

Greta wzruszyła ramionami.

– Chyba tak. Reszta to tylko przepychanki. Zdaje się, że teraz, po śmierci Kownackiego, wszyscy potencjalni inwestorzy się wycofali.

– Dlaczego?

– No wiesz, fama już poszła w świat. Złe odium. Ludziom przypomniały się bajki o diable i czarach, o tym, że to miejsce jest przeklęte i należy je omijać z daleka. I tak dalej. – Ponownie wzruszyła ramionami. – W sumie to lepiej dla nas. Dla mojego „oboazu”, a uważam, że i dla gminy. Jestem za tym, aby ten obiekt został przy gminie. Powinno się go wyremontować i przeznaczyć na jakiś cel kulturalny.

Stefańska pokiwała głową.

– Zgadza się z tym.

– Wiesz co? – ożywiła się Greta. – Wpadnij jutro do urzędu niby przypadkiem. A ja cię tam spiknę z gościem, który prowadzi dla nas ten temat. To urzędnik. Bezpośrednio pracuje z moim zastępcą, nie ze mną, ale i tak trafiają do mnie jego raporty, więc spróbujemy to w ten sposób rozegrać, że mnie pytasz, a ja cię odsyłam do niego. W końcu jesteś rzeczniką prasową. Jeśli się uda, to i do rozmowy wręcimy mojego zastępcę. Oczywiście nieoficjalnie, Artur się nie dowie.

– Świetnie. Przyjdę, tylko daj cynk o której.

– Niestety, raczej rano, bo potem Zagórny, mój zastępca, jeździ zwykle w teren. Powiedzmy o dziesiątej?

– Niech będzie. – Skrzywiła się rzeczniczka. – Najwyżej znowu się nie wyśpię. Zaczynam przywykać. Mam jeszcze jedno pytanie! Kto formalnie się opiekuje tym budynkiem? Chodzi mi o to, kto jest za ten obiekt odpowiedzialny, zajmuje się na przykład bieżącymi naprawami i tak dalej? Tam są zdaje się jakieś zamknięte pomieszczenia, podobno ze względów bezpieczeństwa, ktoś ma klucze od nich?

– Oczywiście. Komplet kluczy do tego typu obiektów jest w urzędzie, bezpośredni dostęp do nich mają kierownicy odpowiednich referatów, poza tym pieczę nad kuźnią sprawuje sołtys, który również ma klucze.

– Sołtys, serio? A kto jest sołtys w Kryszewie? Jest jeszcze w ogóle ktoś taki obecnie?

– Jest. Kryszewo nie ma praw miejskich, formalnie jest gminą wiejską, więc ma sołtysa. A czemu pytasz?

– Sama nie wiem. Po prostu, żeby wiedzieć. Ten sołtys jest po waszej stronie? Czy bardziej z tej drugiej, wrogiej frakcji?

– To kobieta. Tak, raczej po naszej. – Uśmiechnęła się Greta z zakłopotaniem. – Dam ci na nią namiar, jeśli chcesz.

– Chcę.

– Okej. – Greta sięgnęła po kalendarz, leżący tym razem na parapecie okna, i włożyła okulary do czytania. Nabazgrała coś na kartce wyrwanej z notesu i podała ją Felicji. – Tu masz nazwisko, adres i numer telefonu. – Sołtyska nazywa się Teresa Mruk i w zasadzie powinnaś ją znać, przynajmniej z widzenia. A już na sto procent zna ją Kasia. Fakt, że ta funkcja to teraz już raczej pro forma, ale ona się czasem jeszcze udziela.

– Mruk? O matko, kojarzę przecież! Chyba brała udział w którejś naszej sondzie. Mrukiem bynajmniej nie jest. Myślałam, że to jakaś działaczka, nie skojarzyłam jej z sołectwem, ale w ogóle jakoś nie

kojarzyłam tej fuchy z Kryszewem – zauważyła Felicja.

– A jednak. Choć rozumiem, że dla osoby z zewnątrz może to się wydawać trochę dziwne w przypadku Kryszewa. Cóż, człowiek uczy się przez całe życie, pani rzecznik!

– Dzięki. – Dziennikarka włożyła kartkę do kieszeni. – Będę się zbierać. Może nawet dzisiaj z nią się jeszcze spotkam. Dzięki za śniadanko, było pyszne. Chyba będę częściej bywać u ciebie o poranku, wójcino! Czasem bardzo późno chodzę spać. To może wtedy przed snem jeszcze wpadnę...

Pazikowa pokazała jej język.

Postanowiła kuć żelazo, póki gorące. Nomen omen, pomyślała z rozbawieniem i od razu zadzwoniła pod podany przez Gretę Pazik numer telefonu. Odpowiedziała jej jednak tylko automatyczna sekretarka. Pani sołtys była najwyraźniej chwilowo nieosiągalna. Zawróciła więc do biura, gdzie czekała na nią Malinowska. I Bury, który wybiegł do niej z za domu.

– Cześć, piesku, gdzie ciocia Kasia? – zapytała Felicja, kiedy już przywitani się żywiołowo.

Psiak radośnie poprowadził ją na tyły posesji, do sadu. Tam zastała panią Marię, gospodynię, wraz z Kaśką. Przycinały gałęzie jabłoni.

– O, szefowa! – zawołała Malinowska, zeskakując z drabinki. – Hej! Wysłałam tylko z Burem i...

– Ano, poprosiłam panią Kasieńkę o pomoc, pani się na nią nie gniewa, pani Felusiu złota! – wyjaśniła gospodyni. – Ładny dzionek się nam zrobił, prawda?

– Ale ja się przecież nie gniewam! – Roześmiała się dziennikarka. – Dzień dobry, pani Mario. Rzeczywiście roz pogodziło się, warto ten fakt wykorzystać. Mogę też wam w czymś pomóc? – zapytała, rzucając Buremu patyk.

– Nie, nie, już nie trza! Wszystko przycięte, jak należy. Jo tu jeszcze ino zagrabię, a potem mąż gałęzie poskłada, do kozy się zdadzą. A wy już idźta do swoich zajęć, panie. Dziękuję, Kasieńko. – Kobieta objęła Kasię. – Ale Buraska możeta mi tu jeszcze zostawić, niech psina sobie polata za tem patykiem, dopilnuję go, a później przyprowadzę.

– Jasne, dziękuję, tylko niech go pani nie karmi smakołykami, pani Mario!

– Nie bede, nie bede. Niech już idą do roboty! – Roześmiała się gospodyni.

Dziennikarki – również ze śmiechem – zawróciły w stronę domu. Gdy znalazły się w biurze redakcji, Malinowska zapytała:

– I jak było?

– Nastaw wodę na herbatę, zaraz ci wszystko opowiem. A jakie śniadanie dostałam! Żałuj.

– Nie żałuję, bo mnie nakarmiła pani Maria. I też było super, palce lizać. Dobra, idę zaparzyć tę herbatę...

Stefańska padła na kanapę i zaczęła rozsznurowywać buty.

– No, jak pani Maria, to wierzę – odparła. – Nic nie przebije jej jajecznicy. Kaśka, słuchaj, czy ty znasz niejaką panią Mruk?

– Panią sołtys? No pewnie, że znam! A co?

– Nic. Muszę z nią pogadać.

– Ona mieszka blisko nas! – odrzyknęła Malinowska, już z kącika kuchennego. – Na Górcie. Jest całkiem spoko!

Po chwili wróciła z parującymi kubkami herbaty.

– No to opowiadaj. Ja już swoje na dziś zrobiłam, więc jeśli chcesz, to możemy razem z panią sołtys porozmawiać – zaproponowała.

Do Teresy Mruk dodzwoniły się po dwóch godzinach, akurat wtedy, gdy Kasia Malinowska kończyła pracę. Rozmowna pani sołtys była gotowa od razu spotkać się z nimi u siebie w domu.

– To się świetnie składa! – zauważyła Stefańska po zakończeniu rozmowy. – Pójdę razem z tobą i pokażesz mi, gdzie to jest, a potem możesz iść do domu. Nie będę cię angażować, kiedy masz wolne.

– Daj spokój, pójdę z tobą. To nie jest dokładnie obok nas. Jej domek stoi wyżej, już w zasadzie poza osiedlem. We dwie będzie lepiej, zwłaszcza że ona mnie dosyć dobrze zna. Nawet mnie kiedyś uczyła.

– Jest nauczycielką?

– Była. Teraz już chyba na emeryturze.

– A czego uczyła?

– Histy – odparła dziewczyna. – Pewnie dlatego jako sołtyska pasjonuje się historią Kryszewa i zabytkami.

– Czyli właściwy człowiek na właściwym stanowisku. Okej, więc pójdziemy do niej razem – zdecydowała Felicja, z powrotem sznurowując buty i przeklinając pod nosem zimną wiosnę. Chyba wszystkie



nieszczęścia i kataklizmy świata wysypały się ostatnio jak z puszeki Pandory. O tej porze roku powinno się już nosić sandały, a nie ustawicznie wiązać sznurowadła.

Ubrały się, Burego zostawiając pod opieką uradowanej tym faktem gospodyni, i wyszły. Na „Górkę” – tak potocznie określano osiedle nowych domów jednorodzinnych, gdzie mieszkały zarówno Kaśka, jak i Greta – udały się pieszo, czyli „z buta” w słowniku Kasi. Nie miały daleko. Musiały tylko wspiąć się pod górę, gdzie wzdłuż skraju lasu mieściły się stosunkowo nowe posesje. Stały tam w większości raczej zamożne rezydencje, było też kilka „zwyčajnych” nowoczesnych willi: do takich należały domy Pazików i Malinowskich. Minęły je i podażyły w górę uliczki. Tam domy zaczynały się stopniowo przersedzać, ostatni był w budowie.

– No i gdzie to jest? – wysapała Stefańska. – Dalej już nic nie ma! Gdzie ty mnie prowadzisz, młoda?

– Spoko. Jeszcze tylko kawałek w lewo, aż pod las. Tam jest dom pani sołtys. Stał już, zanim zaczęli budować nasze osiedle. Obok jest jeszcze leśniczówka – uspokoila ją Kaśka.

– O kurczę! Jak oni tam włązą codziennie?

– Pewnie raczej wjeżdżają – sprostowała dziewczyna. – Mają przecież samochody. Ale z drugiej strony jest jeszcze leśna ścieżka na skróty. Kilka minut i schodzi się nią prosto do centrum handlowego... Jesteśmy! – Malinowska wskazała bramę w drewnianym płocie, który nagle wyrósł przed nimi. – To tutaj.

– Wchodzimy od razu? – zawahała się rzeczniczka, widząc, że jej asystentka otwiera furtkę. – Nie widzę przy bramie żadnego dzwonka. Czy nie lepiej najpierw do niej zatelefonować?

Kaśka wskazała tabliczkę z napisem SOŁTYS.

– Tu się po prostu wchodzi – wyjaśniła. – Dzwonek jest przy drzwiach. To jest nie tylko dom mieszkalny, ale także biuro, które musi być dostępne dla interesantów.

– Okej, rozumiem. Wchodzimy na twoją odpowiedzialność!

– Spoko. – Dziewczyna pchnęła furtkę. – Zaufaj mi, szefowo. W końcu nie pierwszy raz tutaj jestem.

Weszły nieniekokojone przez nikogo. Pokonały kilkanaście metrów chodnika wyłożonego płytkami i dotarły pod dom: zwykły gierkowski klocek, pomalowany na żółto i z dobudowanym lekko spadzistym dachem. Rzeczywiście przy drzwiach był dzwonek, z którego skorzystały. Gdzieś w środku odezwał się pies. Usłyszały brzęczyk i po chwili znalazły się w pustym korytarzu.

– Tu jest tak jakby biuro – wyjaśniła półgłosem Kaśka, wskazując najbliższe drzwi. – Specjalnie wydzielony pokój, w którym pani sołtys przyjmuje interesantów. W tak dużej miejscowości trochę się ich znajdzie, a pewnie nie chce obcych wędrujących po całym domu. Chyba tu zapukam...

Zanim zdążyły to zrobić, w głębi korytarza otworzyły się drzwi. Wyjrzała z nich drobna kobieta po sześćdziesiątce.

– O, już panie są! Dzień dobry – przywitała je z uśmiechem. – Witaj, Kasiu. Zapraszam, wejdźcie do pokoju, ja za momencik do was przyjdę, tylko dokończę w kuchni...

– Oczywiście. Dziękujemy. – Kasia przepuściła Felicję przodem, podczas gdy gospodyni zniknęła w dalszej części domu.

Pomieszczenie było małe i skromne, ozdobione jasnymi, kolorowymi obrazkami na ścianach, z oknem wychodzącym na las. Proste biurko, dwa krzesła, regał. Ledwie usiadły, wróciła pani sołtys, więc ponownie wstały.

– Już jestem! Przepraszam, że kazałam na siebie czekać. Mruk Teresa – przedstawiła się Felicji. – Bo z naszą Kasią znamy się, odkąd była dzieckiem – dodała. – Ale panią też już rozpoznaję...

– Felicja Stefańska, rzeczniczka urzędu. – Uścisnęła podaną jej dłoń i przy okazji przyjrzała się kobiecie bliżej. Sympatyczna, szczupła, niewysoka, w okularach, dzinsach i swetrze zrobionym na drutach. Farbowana szatynka z włosami przyciętymi na pazia.

– Tak. – Pani Teresa zasiadła za biurkiem. – Naturalnie, wiem. Napijcie się panie herbaty albo kawy?

Podziękowały.

– Nie przyszyliśmy na długo, nie chcemy przeszkadzać. Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy. Mamy tylko kilka pytań – dodała Stefańska.

– Ależ nie przeszkadzacie! Od tego przecież jestem. W takim razie, w czym mogę paniom pomóc?

– Jak pani zapewne wiadomo, jesteśmy redaktorkami, prowadzimy media urzędu gminy. Interesuje nas sprawa starej kuźni w Kryszewie – zaczęła ostrożnie Felicja, ale pani sołtys od razu jej prze-

rwała:

– W związku z tym zabójstwem, prawda?

– Tak, w związku z nim. Podobno pani sprawuje pieczę nad tym obiektem i dysponuje kluczami do zamkniętych części budynku.

– Zgadza się. Mam klucze do wszystkich niezagospodarowanych starych budynków znajdujących się na terenie Kryszewa, między innymi do kuźni. Rozumiem, że panie chciałyby zobaczyć te pomieszczenia?

– To też, ale nie tylko po to przyszłyśmy. – Dziennikarka zawiesiła głos. – Oczywiście, gdyby pani zechciała udostępnić obiekt do obejrzenia i towarzyszyć nam przy tym, byłybyśmy pani wdzięczne. Przede wszystkim jednak przyszłyśmy po informacje. Czy pani od dawna opiekuje się tym zabytkiem?

Teresa Mruk się roześmiała.

– Od kilkunastu lat! Odkąd po raz pierwszy zostałam sołtysiem. Nieskromnie dodam, że od tej pory jestem na to stanowisko wybierana z woli mieszkańców każdorazowo i nieprzerwanie. Na szczęście nie mamy jeszcze siebie wzajemnie dość. Lubię tę pracę, lubię ludzi. Kocham Kryszewo. A jako historyka, bo taki mam pierwotny zawód, interesuje mnie przeszłość naszej miejscowości. Zabytki są jej widocznym znakiem. Przepraszam, jeśli się zapędziłam, ale jestem pasjonatką...

– Uwielbiam ludzi z pasją. – Uśmiechnęła się Stefańska. – Stara kuźnia ma bogatą historię, już się z nią zapoznałam. Co tam się działo w ostatnich latach? Czy to zabójstwo jest pierwszym kryminalnym wydarzeniem na jej terenie?

– Jeśli nie liczyć chuligańskich wybryków, to chyba tak. – Zamyśliła się kobieta.

– Jakich?

– Na przykład młodzież pijąca tam alkohol, pozostawiająca śmieci, butelki... Ile razy sama po nich sprzątałam! Dlatego między innymi doprowadziłam do zamknięcia części pomieszczeń i piwnicy. Raz, aby nie niszczonego budynku, dwa, że przebywanie tam mogło być niebezpieczne, sypał się tynk. Najlepiej byłoby zamknąć cały budynek i co najwyżej udostępnić go do zwiedzania w określonych dniach i godzinach. Ale do tego byłby potrzebny remont, a na to nie było funduszy. Tak to w skrócie wygląda. Ponadto ten zabytek otacza zła sława – pani sołtys znowu się zaśmiała – związana z dawnymi podaniami. Mamy niby dwudziesty pierwszy wiek, a ludzie wciąż wierzą w diabła. I bardzo dobrze! Niech wierzą. Dzięki temu budynek nie jest oblegany i panuje tam względny spokój.

– A dawniej? – zainteresowała się Felicja. – Też było spokojnie? Oczywiście nie mam na myśli burzliwej historii, tylko czasy powojenne.

Kobieta zawahała się, jakby nagle coś jej się przypomniało.

– Raczej też, ale...

– Tak?

– Podobno już ktoś tam zginął. Dawno temu.

– Skąd ta informacja?

– Nie pamiętam. – Wzruszyła ramionami. – Ktoś mi chyba kiedyś o tym opowiadał.

– A kto był sołtysiem przed panią?

– Pani Wikta. To znaczy pani Bagińska, mama naszego wirtuoza.

– Poznałam ją. Bardzo nobliwa osoba. Czy pani Bagińska też opiekowała się tym budynkiem?

– Jak najbardziej! U nas zwyczajowo sołtys się takimi rzeczami zajmuje, a pani Wikta była i jest nadal emocjonalnie mocno związana z tą kuźnią. Pamięta ją jeszcze z czasów wojennych. To ona zaraziła mnie pasją. Być może to od niej słyszałam o tamtej zbrodni. Ale niestety, już nie pamiętam szczegółów.

Felicja zamyśliła się, Kasia Malinowska natomiast zaczęła nagle wiercić się na krześle.

– Na pewno od niej. To znaczy od pani Bagińskiej – wtrąciła. – Ale to by znaczyło, że ta sprawa nie jest świeża, może coś więcej się pod nią kryje? Bo skoro ta ostatnia zbrodnia nie była pierwsza...

– Co masz na myśli? – Stefańska czujnie podniosła głowę. – Że jest jakieś drugie dno w tej historii? Jakie na przykład?

– Nie wiem, może to głupie, ale krążyły pogłoski o skarbach ukrytych w tej starej kuźni... – odezwała się niepewnie Teresa Mruk.

– Skarbach?

– Tak. To pewnie tylko legendy.

– Ale jakich skarbach? Kto miałby je tam ukryć? – dociekała Felicja.

– Trudno powiedzieć. Jedni twierdzą, że to dawne skarby strzeżone od wieków przez tego diabła, co tam straszy. A inni, że to ukryty przed Niemcami majątek ostatniego właściciela, który był Żydem. Ale moim zdaniem to nonsens. Niemcy po tym, jak go wywieźli, przejęli ten budynek. Coś tam robili,

adaptowali go na jakieś swoje potrzeby. Jeśli ten nieszczęśnik rzeczywiście by coś tam ukrył, na pewno to znaleźli.

Felicja pokiwała głową.

– Tak, to logiczne. Ale nie wszyscy myślą logicznie – dodała. – Może ktoś jednak szukał tam skarbów?

– Toby nie znalazł, ale by żył – skostatowała sceptycznie Kaśka.

– Dlatego uważam, że tę teorię należy między bajki włożyć.

– Też tak sędzę – zgodziła się pani Teresa.

– Warto jednak sprawdzić życiorys tego zamordowanego... Kownackiego, tak? Ale również pierwszego denata, o ile uda się trafić na jego ślad. Może byli ze sobą spokrewnieni? Chodzi mi o ich rodzinę, przeszłość. O ile pochodzili stąd, to mogli mieć jakieś informacje, na przykład o miejscu ukrycia tego hipotetycznego skarbu. Zajmę się tym – zadeklarowała Kasia Malinowska.

– Kownacki stąd pochodził – przypomniała Felicja. – Zdaje się, że rodzina jego matki była miejscowa. Chyba Ryba kiedyś o tym wspomniał. A zajmuj się tym, jeśli chcesz, choć moim zdaniem brniesz, Kaśka!

– Może i brnę, ale nie zawadzi sprawdzić.

Rzeczniczka postanowiła, że nie będzie się z nią sprzeczać. Dziewczyna jest młoda, trochę dziecinna, ale i pełna zapału. W jej wieku ma prawo pasjonować się poszukiwaniem skarbów.

– Nie zawadzi – zgodziła się. – Pani Tereso, wracając do pani Bagińskiej, a raczej do obojga Bagińskich. Trochę martwię się o nich. Czy oni są bezpieczni na tym odludziu?

– Dlaczego się pani martwi? – zdumiała się sołtys.

– Mieszkają w lesie, tuż obok kuźni. Bagiński pozuje na bohatera, naraża się. Podobno ktoś już im otrął psa.

Pani Teresa machnęła ręką.

– Tak twierdzą, ale to tylko domysły! Nic konkretnego. Pies był już stary. Może po prostu zachorował.

– Możliwe, ale Bagiński uważa inaczej. I wyraźnie nam mówił, że pies nie był wcale taki stary. No dobrze. A kto opiekuje się panią Bagińską podczas jego nieobecności? Bo on przecież często wyjeżdża z koncertami.

– No cóż, ja. – Uśmiechnęła się skromnie pani Mruk. – Często do nich zaglądam, dbam o ich bieżące sprawy. Znamy się od lat, jesteśmy ze sobą dość blisko. Bo, widzi pani, moja synowa prowadzi im dom, a syn zajmuje się ogrodem. Jest fachowcem. Po technikum ogrodniczym – dodała z satysfakcją.

– Synowa? Jest u nich gosposią? Pani Marcelina? – zdziwiła się Stefańska.

– Nie jest gosposią – zaprotestowała sołtyska. – Pomagamy im z serca. Choć oczywiście oni im płacą. Inaczej nie przyjęliby pomocy, to honorowi państwo, a pan Bagiński do biedaków nie należy.

Uspokojona w kwestii bezpieczeństwa Bagińskich, zwłaszcza starszej pani, Felicja skupiła się na planowaniu dalszych działań. Nie mogła jednak odmówić sobie drobnej złośliwości.

– Ale ma kobieta synową! – skomentowała, gdy w drodze powrotnej przystanęły pod domem Malinowskich. – Ciekawe, jak wygląda jej syn. Musi być niezłym osiłkiem.

W odpowiedzi Kaśka zachichotała.

– Wcale nie! Widziałam go kiedyś, fakt, że to już było dawno. Odwiedzał chyba matkę, bo oni już razem nie mieszkają od lat. Z dzieciństwa go sobie nie przypominam, wiem, że był, i tyle. – Wzruszyła ramionami. – Normalny facet. Ani paker, ani leszcz, taki przeciętniak. Może lubi duże laski. A przy tej na bank może czuć się bezpiecznie! – Znów parsknęła śmiechem.

– To z pewnością – zawtórowała jej Stefańska. – Cóż, o gustach się nie dyskutuje. Ważne, że dbają o panią Wiktę. Niepokoiłam się o nią, ale skoro pilnują jej we trójkę, plus Bagiński, kiedy jest w domu, to chyba nie ma się czym martwić.

– W sumie chyba teraz już jej nic nie grozi – zgodziła się z nią Kaśka.

– Oby. Cholera wie, co ona rzeczywiście widziała przez okno. Albo co ktoś może myśleć, że widziała...

– Sądziś, że morderca może uważać, że ona jest niebezpiecznym dla niego świadkiem? To już chyba prędzej Bagiński?

Felicja pokręciła głową.

– Bagińskiego miał przed nosem, wiedział, że nie mógł nic zobaczyć w świetle latarki, poza trupem. Dobra, młoda, leć do domu, bo widzę, że twoja mama wygląda już zza firanki. Pewnie czeka z obiadem i się niecierpliwi.

– Już idę. To co, mam poszperać w tych życiorysach?

Stefańska machnęła ręką. Miała dobry nastrój, wiosna wpływała na nią pozytywnie, zwłaszcza że zrobiło się naprawdę ładnie. Może nadal nieco chłodno, ale wreszcie pogodnie. To dawało się odczuć na ulicach, nawet tutaj, na tym raczej eleganckim osiedlu, gdzie ludzie żyją zazwyczaj odizolowani od innych. Minęło je rozbawione towarzystwo dobrze ubranych nastolatków oraz starszy pan z jamnikiem. Przez drogę przebiegł duży długowłosej czarny kot w czerwonej obroży wysadzonej kryształkami, zwinnie przeskoczył przez najbliższe ogrodzenie i zniknął w ogrodzie. Wysoko w koronach drzew, jakby bezczelnie kpiąc sobie z niego, swoje arie wyśpiewywały ptaki. Słońce przygrzewało.

– Mówiłam już, szperaj sobie – odparła ugodowo. – Może to jakiś trop, zobaczymy. Ale zdaje mi się, że miałaś poszukać informacji o działce z kuźnią, nie?

– No tak. – Zmieszała się. – Szukałam. Ale słowo honoru, nic na ten temat nie ma, przynajmniej ja niczego nie znalazłam. A szukałam dokładnie, przysięgam. Znasz mnie, tak łatwo nie odpuszczam. Żadnych niezrealizowanych planów, transakcji, zero. Wychodzi na to, że z tym budynkiem nic się nie działo od wojny. Po prostu leżał... a raczej stał odłogiem. Od czasu do czasu robili tam prowizoryczne remonty, żeby się nie zawalił. Mieli go poddać fachowej renowacji, żeby urządzić tam jakiś klub albo dom kultury, ale za każdym razem nic z tego nie wychodziło, bo brakowało środków. I tak od czasów Polski Ludowej do teraz. – Rozłożyła ręce.

– Teraz to coś kombinowali – poprawiła ją Stefańska. – Bez powodu ten radny nie zginął. Ale okej, tym już się zajmują gliny. A ja z całą pewnością nie omieszkam wyciągnąć z Artura, co się da. – Wyjęła z kieszeni komórkę i zerknęła na ekran. – O, esemesował. Lecę, bo mam się z nim spotkać. Do jutra, młoda!

– Nara. Miłej randki. – Malinowska pognęła do furtki, żeby nie oberwać. Wiedziała, że jej szefowa bywa nieobliczalna, zwłaszcza gdy ktoś ośmielał się stroić sobie żarty z jej życia osobistego.

\*\*\*

Palczyński czekał na nią nieopodal domu – a zarazem biura redakcji – spacerując tak, by nie rzucać się w oczy gospodarzom. Nawet samochód zostawił nie jak zwykle przy bramie, lecz dalej, na parkingu przed pocztą. Spotkali się mniej więcej w połowie uliczki, uścisnął ją na powitanie. W ogrodzie nie było nikogo z domowników, nawet psa czy kota: wszyscy widocznie korzystali z popołudniowej sjeisty. Słońce skryło się za wzgórzami, ochłodziło się.

Mimo to Artur zaciągnął Felicję do kampera, gdzie kochali się pospiesznie, niecierpliwie, gorączkowo, spragnieni siebie.

– Zachowujemy się jak para nastolatków! – stwierdziła, ubierając się i związując włosy.

– Tęskniłem. – Pałka podłożył ręce pod głowę, obserwując ją z czułością. – Miłość nie zna czasu.

– Ja też tęskniłam. Zrobię kawę...

– Rozpuszczalną?

– Tylko taką tutaj mamy. Nie grymaś. Chyba że wolisz iść na poddasze? Tam mam dobrą kawę i dobrą herbatę. I coś do zjedzenia, bo pewnie jesteś głodny.

– Nie. Wolę tutaj. Nie jestem głodny, jadłem hamburgera po drodze. A nie mam dużo czasu, muszę wracać, robota czeka. Czuję się tu jak na urlopie. Od życia. – Spochmurniał. – Od tego cholernego śledztwa.

Felicja zalała wrzątkiem kawę, przysiadła obok niego i się przytuliła.

– A co ze śledztwem? – zapytała.

– Ech! – Machnął ręką, pocałował ją i sięgnął po swoją koszulę. – Idzie jak po grudzie, a góra naciska. W końcu denat to radny. I to z obozu bliskiego władzy.

– No tak... – Wsyłała mu cukru do kubka, ona piła kawę niesłodzoną. – Prawda. Niezbyt sympatyczna postać. Macie już podejrzanego albo podejrzanych?

– Feli!

– No dobra, wiem. Na tym etapie i tak dalej, ale...

– Kochanie, wiadomo, że szukamy osoby lub osób, które miały interes w pozbyciu się tego gościa.

– Czyli konkurencji.

– No tak. Choć nie możemy... na tym etapie... wykluczyć niczego. Nawet tego, że zatłukła go w afekcie jakaś zdradzona kochanka i że nie ma to żadnego związku z jego działalnością polityczną.

– Okej. A coś nowego? Jak poszły przesłuchania radnych?

– W zasadzie nijak. – Pałka westchnął i upił łyk gorącego płynu. Zapalili po papierosie. – To poli-

tycy. Idą w zaparte albo nabierają wody w usta. Są w tym dobrzy. I to niezależnie od opcji politycznej. Dowiedzieliśmy się tylko tyle, że istniały, a w zasadzie chyba istnieją trzy konkurencyjne projekty związane z budynkiem kuźni. Pierwszy zakładał, że zostanie sprzedany jakiemuś nadzianemu inwestorowi, który zrobi z nim, co zechce, zdejmując z gminy obowiązek zajmowania się nim. Za tym pomysłem stał świętej pamięci Kownacki oraz jego ugrupowanie. Znalazł Chińczyka, który jednak zrezygnował. Szukali więc innego jelenia, ale przestali, kiedy Kownackiego ktoś stuknął. Drugi projekt zakłada, że gmina sama wyremontuje...

– Odrestauruje – poprawiła Felicja.

– Odrestauruje. Jak zwał, tak zwał. Że gmina sama to robi i przeznaczy obiekt na siedzibę jakiejś placówki kulturalnej. Muzeum, teatr, scenę muzyczną... coś w tym stylu. Za tym są radni Grety. Zaczęli się starać o fundusze w budżecie, zrobili kosztorys, próbowali zawalczyć o dofinansowanie z Unii. Nawet mają szansę. Przewodniczy im zastępca wójta, bo Greta oficjalnie nie opowiada się po żadnej ze stron. Może dlatego, że chce się wycofać.

– A trzeci projekt?

– To w zasadzie nie projekt, raczej idea. Mniejszościowa. Kilku radnych, lokalnych działaczy oraz urzędników gminnych uważa, że budynek powinno się pozostawić tak jak jest, w stanie romantycznej malowniczej ruiny dla turystów. Co najwyżej od czasu do czasu przeprowadzić w nim kosmetyczne konserwacje.

– Zdaje mi się, że do tej grupy należy sołtyska Kryszewa – ożywiła się Stefańska. – Byłyśmy u niej dzisiaj z Kaśką.

– Bardzo możliwe. – Wzruszył ramionami. – Na razie nie zagłębialiśmy się, kto te pomysły popiera, pomijając inicjatorów. A co u was ciekawego? Mam na myśli wasze śledztwo.

– W sumie też niewiele. – Streściła mu, czego się dowiedziały, z naciskiem na podejrzenie otrucia psa Bagińskich.

Zlekceważył to jednak.

– Bzdury! – podsumował. – Po co ktoś miałby coś takiego robić? Morderstwo radnego nie wygląda na zaplanowane, już raczej komuś puściły nerwy w trakcie sprzeczki. – Zerknął na zegarek i szybko dopił kawę. – Kochanie, muszę uciekać. Dzwon albo do mnie, albo do Ryby. Nie ukrywajcie niczego, bo sprawa może być niebezpieczna. A ja chcę cię poślubić żywą. Nie mogę się już doczekać, kiedy to nastąpi. Mam wrażenie, że wreszcie rozpocznę nowe lepsze życie. Aha, dzięki, że zgodziłyście się nie wchodzić w rozmowy z radnymi.

– Nie ma sprawy. To i tak nie miałyby sensu, skoro nawet wy mieliście trudności, żeby coś z nich wydobyć. – Uśmiechnęła się. – Leć już, bo do samochodu też masz kawałek. Umyję kubki i wracam do Burego.

– Daj jeszcze szybkiego buziaka!

– Ty też na siebie uważaj. – Stojąc w drzwiach kampera, patrzyła, jak znika w zapadającym zmroku. Poczowała wyrzuty sumienia. Nie powiedziała mu przecież, że jest nazajutrz umówiona między innymi z zastępcą wójta. Odgoniła od siebie te myśli. Każdy ma tajemnice. Była przekonana, że komisarz również jej wszystkiego nie zdradza... Nawet by nie mógł.

\*\*\*

Dzień był słoneczny, choć wietrzny, co przy temperaturze zaledwie kilkunastu stopni powodowało, że w cieniu zdecydowanie odczuwało się chłód. W słońcu natomiast – gdy podmuchy wiatru nie dawały się we znaki – zdawało się wręcz gorąco. O tej porze przygrzewało już mocno, lecz nocami wracały przymrozki. Lada moment przyjdzie maj, tymczasem kapryśna pogoda nadal nie rozpieszczała. Felicja nie wiedziała, jak się ubrać, i w drodze do urzędu parę razy zdejmowała i wkładała kurtkę. Gdy dotarła na miejsce, przed wejściem zauważyła Gretę. W wiosennym lawendowym płaszczu, z rozwianym włosom przechadzała się po dziedzińcu wyraźnie zniecierpliwiona, bo co chwilę zerkała na zegarek, który uparcie nosiła na ręce i nie zamierzała z niego zrezygnować, mimo posiadania telefonu dobrej marki. W końcu dostrzegła nadchodzącą przyjaciółkę i pospiesznie ruszyła jej naprzeciw, przytrzymując dłonią zburzoną fryzurę, a poły lekkiego palta powiewały za nią niczym dwie chorągwie.

– No jesteś wreszcie! – powitała Felicję niezbyt czule, usilnie walcząc z wiatrem tańczącym we włosach.

– Stało się coś? Co tu robisz? – zdziwiła się dziennikarka.

– Nic się nie stało, czekam na ciebie. Mamy jeszcze trochę czasu, bo Wojtek Zagórny jest na zebraniu, więc pomyślałam, że możemy usiąść na ławce w parku i zapalić, a przy okazji uzgodnić, co im

powiemy.

– Na ławce, w taki wiatr? – Felicja przyjrzała jej się sceptycznie.

– Tam, w dole tak nie wieje. Za fontanną jest zacisznie i słońce grzeje. I nie będzie nas widać z okien urzędu.

– Dobra, chodźmy...

Udały się po schodach do małego parku, a raczej skwerku otaczającego nowoczesny budynek urzędu oraz parking. O tej godzinie i przy tej pogodzie prawie nie było tam ludzi, tylko dzieci bawiły się na huśtawkach, a w odległej alejce ktoś spacerował z psem. Greta wybrała ławkę w zacisznym miejscu.

– Może być tutaj?

– Wszystko jedno. – Wzruszyła ramionami Stefańska. – Faktycznie, tutaj nawet wydaje się, że jest ciepło. Można zdjąć kurtkę.

– Myślisz? Nie, chyba wolę jednak zostać w płaszczu... Zresztą szkoda zachodu, nie mamy za dużo czasu. Zebranie kończy się za dziesięć minut, a potem musimy złapać Wojtkę, żeby nam nie zwał w plener. Uprzedzał, że się spieszy.

Usiadły i zapaliły.

– Czyli jak to rozegramy? – zapytała Felicja, wystawiając twarz do słońca. Pomyślała, że najchętniej pozostałaby tutaj: ciepłe promienie, zapach świeżo skoszonej trawy, świergot ptaków w gałęziach drzew, śmiech dzieci działały na nią kojąco.

– No właśnie. – Greta wyrwała ją z marzeń o błogiej bezczynności. – Ja zacznę. Powiem, że zwróciłaś się do mnie z zapytaniem o ten projekt, a ponieważ ja go nie monitoruję, więc przyprowadziłam cię do nich. Myślę, że tak wyjdzie naturalnie. Już uprzedzałam Zagórnego, że przyjdiesz.

– W porządku – westchnęła.

Greta znów w popłochu spojrzała na zegarek, malutki i złoty, stanowiący zwieńczenie ozdobnej bransolety.

– No to zbierajmy się! – Zgasiła papierosa w popielniczce obok ławki. – Jak ten czas szybko leci...

Pani wójt poprowadziła dziennikarkę na drugie piętro, kazała jej zaczekać i zajrzała do jednego z pokoi. Stefańska usiadła w fotelu, ale Greta po chwili wyszła.

– Jeszcze go nie ma, jest tylko pan Roman – poinformowała przyjaciółkę, patrząc gdzieś ponad jej ramieniem. – O, idzie! – Ucieszyła się i pomachała do nadchodzącego korytarzem brodatego, dość młodego jeszcze mężczyzny w marynarce i krawacie. – Wojtku, jesteś już wolny? Masz chwilę? Przyprowadziłam naszą panią rzecznik. – Wskazała gestem dziennikarkę.

Felicja wstała, przywołując na twarz służbowy uprzejmy uśmiech, który zazwyczaj się sprawdzał.

– A tak, rzeczywiście. – Mężczyzna zatrzymał się, by się z nimi przywitać. – Wobec tego zapraszam obie panie.

Przepuścił je w drzwiach. W obszernym pomieszczeniu stały dwa biurka oraz podłużny niski stół z fotelami. Tam wskazał im miejsca. Zza jednego z biurek podniósł się starszy łysy mężczyzna w okularach, uklonił się z widocznym szacunkiem Grecie, po czym uprzejmie skinął głową Felicji.

– Roman Zgierski – przedstawił się. – Czy będę państwu potrzebny?

– Tak, panie Romanie. – Greta kiwnęła głową. – Myślę, że tak. Chodzi o nasz projekt związany z budynkiem starej kuźni.

Urzędnik nalał do szklanek wody mineralnej.

– Służę – powiedział.

Tymczasem zastępca wójta poluzował krawat i usiadł w fotelu naprzeciwko gości.

– Przysuń sobie krzesło, Roman, i siadaj. O kuźnię? – Lekko się skrzywił. – Znowu? Już nas policjanci na ten temat przemaglowali.

– Pani rzecznik z pewnością nie będzie cię maglować. – Uśmiechnęła się czarująco Greta. – Przyszła z tym pytaniem najpierw do mnie, ale to jest twój projekt, Wojtku. Stąd nasza tu obecność.

– Proszę się nie obawiać. – Felicja włączyła się w tę wymianę zdań. – Mnie w tym przypadku nie chodzi o zabójstwo, to sprawa policji. Ale budzi zainteresowanie mieszkańców, a przy okazji wypłynęła kwestia kuźni, budynku kuźni. Piszę tekst na ten temat i byłabym wdzięczna za zapoznanie mnie z państwa projektem, ewentualnie za udostępnienie materiałów...

– Cóż. – Zagórny rozłożył ręce. – Trochę się spieszę, więc nie za bardzo będę mógł pomóc, lecz od czego mamy pana Romka, to przecież najbardziej kompetentny człowiek w tym temacie! – Napił się wody, uśmiechając się porozumiewawczo do podwładnego.

Felicja pomyślała, że uśmiechy znaczą tu więcej niż słowa. Polityka nawet na takim szczeblu.

– Oczywiście, chętnie pomogę – zadeklarował beznamiętnie urzędnik.

– Ale czy w skrócie mógłby pan coś na ten temat powiedzieć dla czytelników naszej gazety? – zapytała Zagórnego Felicja.

– W skrócie, proszę pani, powiem tyle, że nasz projekt jest z pewnością najbardziej korzystny dla gminy. – Zastępca wójta wygodnie oparł się o zagłówek fotela. – No i dla samego zabytku. Zakłada on, że ten budynek będzie służył nam, mieszkańcom, w celach kulturalnych, zamiast przechodzić w obce ręce jakiegoś prywatnego, zagranicznego inwestora, który co by zrobił? Jak pani sądzi? Otóż zrobiłby z niego swój dochodowy biznes, nie zważając na historyczną wartość budowli. My natomiast chcemy go ratować, zachować dla potomności w pierwotnym stanie.

– Macie państwo środki na konserwację?

– Pracujemy nad tym. Złożyliśmy odpowiednie wnioski. – Wyjął z kieszeni smartfon i niecierpliwie zerknął na wyświetlacz. – Ale z tym już zapozna panią pan Zgierski. Ma tu wszelkie materiały. Proszę wybaczyć, ale muszę już wyjść, obowiązki wzywają. – Podniósł się. – Darujesz mi, Greto? Uprzedzałem, że będę miał tylko chwilę na rozmowę.

– Jasne. – Kiwnęła głową, również wstając, Felicja i urzędnik poszli w jej ślady. – Wracaj do pracy. Pan Roman nam wystarczy.

Pożegnali się, Felicja podziękowała mu za pomoc. Mężczyzna złapał swój płaszcz i teczkę, po czym pospiesznie zniknął za drzwiami.

– Taka praca. – Pokiwał głową Zgierski. – Tak. Więc co by pani chciała konkretnie wiedzieć? Proszę śmiało pytać i doprecyzować. Podejźmy może do komputera.

– Moi drodzy, zostawiam was, też mam pracę. Felicjo, jak już skończycie, to zajrzyj do mnie jeszcze, dobrze? Będę u siebie – poprosiła Greta.

– Dobrze, przyjdę – odparła Felicja.

– To nie zajmie dużo czasu, pani wójt – zapewnił gorliwie urzędnik. – Tych materiałów nie ma aż tak dużo. Szybko się uwiniemy! – Uśmiechnął się usłużnie.

– Wchodź, wchodź! – Greta oderwała się od komputera, kiedy pół godziny później Felicja uchyliła drzwi do jej gabinetu. – Już nastawiłam kawę i czekam.

– Nie przeszkadzam ci?

– Skąd, no coś ty, przecież mówiłam ci, żebyś przyszła. Nie mam nic pilnego do roboty.

– Ale nie trzeba kawy, kobieto.

– Może ty nie potrzebujesz, ale ja tak. Zasypiam przy biurku. Wypijesz dla towarzystwa i koniec dyskusji.

– Dobrze, wójcino, spoko...

– O, widzę, a raczej słyszę, że Kaśka ciebie też szkoli, nie tylko ty ją! – Roześmiała się pani wójt i podeszła do ekspresu. – Siadaj. – Postawiła na biurku dwie filiżanki. – I co, przydał się na coś ten Zgierski?

Felicja zagłębiła się w wygodnym obrotowym foteliku i sięgnęła po kawę.

– Owszem – odparła. – Pokazał mi plany i nawet zeskanował niektóre materiały. Widać, że to on głównie nad tym pracuje.

– Robi techniczną robotę. Pomysły wychodzą od Zagórnego. A co w ogóle o nim sądzisz? – zainteresowała się Pazikowa.

– O Zagórnym?

– No tak, nie o Zgierskim przecież. Zgierski to automat, a nie żywy facet! – prychnęła Greta. – Co myślisz o moim zastępcy?

– Buc. – Wzruszyła ramionami dziennikarka. – Typowy polityk. Przyszłość, niestety, należy do takich jak on – dodała sarkastycznie.

Greta się zaśmiała.

– Chyba zbyt surowo go oceniasz. To porządny gość. Młody jeszcze, więc trochę mu może sodówka uderzyła do głowy, ale ja mu ufam i zawsze mogę na niego liczyć. I nawet go lubię, choć rozumiem, że może czasem irytować.

– Wiesz, stara, ja go praktycznie nie znam. Prędzej Kaśka z nim współpracowała. Nieważne. Pomysł ma dobry, jak się z grubsza zdążyłam zorientować. Podoba mi się idea, żeby takie zabytki odnawiać i pozwolić, by służyły kulturze. Choć przed wojną w tym budynku mieściła się knajpa.

– I pensjonat. To prawda. Lecz uważamy, że teraz są inne czasy. No i żal oddawać wszystko w ręce obcego kapitału.

– Ależ racja, ja się przecież z tym zgadzam. Jak najbardziej jestem za placówką kulturalną



w takim historycznym obiekcie. Na to zawsze powinny znaleźć się środki, nie wszystko trzeba przeliczyć na kasę.

– Dobrze ci mówić – westchnęła Greta. – Zazwyczaj wszystko się rozbija o kasę.

– Ale widziałam, że panowie mają całkiem realne plany, jeśli chodzi o pozyskanie pieniędzy na renowację. Trzymam kciuki.

– Tak też mi się zdaje. Czy wiesz, że dla policji Wojtek jest głównym podejrzanym?

– Skąd wiesz?

– Dali nam to dość jasno do zrozumienia w trakcie ostatnich przesłuchań.

Felicja usiadła prosto, odstawiając filiżankę.

– Mnie to akurat nie dziwi – odparła. – Muszą na początek kogoś wytypować, żeby w ogóle ruszyć z miejsca. Ten facet jest idealnym kandydatem. Szef konkurencyjnego projektu, bo ci z trzeciego obozu, ci idealisci, się nie liczą. Tu chodzi o biznes, o duże pieniądze. Zagórny to rywal. Oczywiście, że muszą mu się bliżej przyjrzeć w tym śledztwie. Choć, szczerze mówiąc, ani Artur, ani Ryba, nie wspominali o nim. Może jesteście przeczuleni? – Z uwagą przyjrzała się przyjaciółce.

– Może. Ale spróbuj porozmawiać na ten temat z Arturem.

– Dobrze, obiecuję – przyrzekła Stefańska. – Pogadam z nim o tym i zapytam go o Zagórnego.

– Dzięki, stara. Nie chcę wpływać na śledztwo, nic z tych rzeczy. Chciałabym tylko wiedzieć, na czym stoimy. Czuję się poniekąd zobligowana. To mój wójt, zwłaszcza że odchodzący, jestem winna swoim ludziom lojalność. Wojtek też wobec mnie był lojalny.

\*\*\*

Po opuszczeniu urzędu Felicja wróciła na skwerek, na tę samą ławkę, którą wcześniej zajęły z Gretą. Wiatr zelżał, słońce przygrzewało, zrobiło się przyjemniej i ciszej. Nawet dzieci zniknęły z placu zabaw. Zbliżała się pora obiadowa. Zapaliła papierosa i spróbowała dodzwonić się do Palczyńskiego, lecz bezskutecznie. Widocznie był zajęty. Wiedziała, że później oddzwoni. Trudno. Zaczeka. Choć może to potrwać nawet do wieczora. Wypaliła papierosa, zastanawiając się, co robić. Najwyraźniej policyjne śledztwo zmierzało w określonym kierunku wbrew temu, co zdradzili jej na ten temat Pałka i Ryba. Poczuli się tym faktem dotknięta. Głupio jej było przed Gretą, bo wyszła na niezorientowaną. Poza tym naprawdę chciała pomóc przyjaciółce, która zamartwiała się o swojego zastępcę. Rozmyślając, nakręcała się coraz bardziej, aż w końcu podsycana stopniowo złość doszła w niej do stanu wrzenia i zaczęła bulgotać. Zgasiła papierosa i wrzuciła niedopałek do kosza na śmieci. Następnie wystukała służbowy numer do Ryby.

Odebrał.

– Felka, co za zaszczyt... – zaczął po swojemu, lecz nie dokończył, bo weszła mu w słowo:

– Zamknij się, Ryba, świnio jedna!

– No wiesz co? Tylko z powodu tej Felki?! Co jest? Musisz się na kimś wyżywać?

– Nie wysilaj się. Zaraz się dowiesz. Jesteś w bazie?

– No. Siedzę w fabryce. A co?

– A ja siedzę na ławce przed urzędem. Zaraz u ciebie będę.

– Uuuu... to zabrzmiało jak groźba.

– Myśl sobie, co chcesz – ucięła. – Szykuj się.

Rozłączyła się i wstała z ławki. Stąd na komisariat miała pięć minut wolnym krokiem.

Felicja ominęła portiernię, machając do młodej posterunkowej, z którą znały się z widzenia, i z rozmachem usiadła na krześle w poczekalni.

– Pani rzecznik, czy uprzedzić szefa? – zapytała niepewnie policjantka.

– Już uprzedzony – odparła, rejestrując jedynie, że dziewczyna podnosi słuchawkę telefonu. –

Mam nadzieję, że po mnie wyjdzie.

– Szef powiedział, że zaraz panią wpuści młodszy aspirant – wyjaśniła po chwili dziewczyna, rozłączając się.

Odholowana przez mundurowego, dotarła pod drzwi kanciapy Ryby. Policjant zajrzał do środka, coś mruknął, potem przepuścił ją i oznajmił, że już się odmeldowuje. Aspirant – od niedawna sztabowy – siedział przed otwartym komputerem i sprawiał wrażenie, jakby na nią czekał. Na biurku stały dwie parujące szklanki, w których tonęły żałośnie torebki herbaty.

– Siadaj, zmoro – syknął na jej widok z kwaśnym uśmiechem.

– Nawet nie mogłeś sam po mnie wyjść?

– Mogłem. Ale Rysiek już skończył robotę i właśnie się zbiera na chatę. Było mu łatwiej. –

Uśmiechnął się rozbrajająco.

– Co to ma być? – Padła na krzesło i wskazała nieszczęsne szklanki.

– Herbata. Przecież wolisz od kawy...

– Ten glut w środku to herbata?

Policjant wzruszył ramionami.

– Wyjmij sobie – odparł. – Na spodeczek. Tam masz cukier i łyżeczkę.

– Co za wypas! – zakpiła. – Oszukałeś nas, Ryba! – rzuciła oskarżycielsko prosto z mostu. – Ty i Pałka też. Jesteście siebie warci.

– Nie rozumiem, o czym gadasz. – Policjant podniósł ręce w obronnym geście. – Jak masz jakiś problem, to idź z tym do Pałki, ja tylko wykonuję rozkazy. – Nadał się.

– Nie rozumiem, nie rozumiem... – przedrzeźniała go. – Doskonale rozumiesz, chyba że jesteś większym debilem, niż myślałam. Osobiście przylałeś do redakcji po prośbie. Z tym swoim falacoństwem. Żebyśmy trzymały się z dala od radnych. Nie powiedziałaś, że macie tam głównego podejrzanego, choć pytałam. I ciebie, i Pałkę. Żaden z was nawet słowa na ten temat nie pisnął. Dopiero od Grety dowiaduję się, że macie na widelcu jej zastępcę. Wysłałam na idiotkę!

Ryba gapił się na nią skonsternowany, drapiąc się uporczywie po nosie.

– Nie przesadzaj – odezwał się w końcu niepewnie. – To bzdura. Na tym etapie...

– Nie epatuj mnie tą waszą policyjną gadką szmatką. Uczepiliście się Zagórnego, i ja to nawet rozumiem. Ale mieliśmy być wobec siebie lojalni. Wzajemnie! Rozumiesz to słowo?

– Felicja, sorry, to nie tak. Przyznaję, że mamy na uwadze zastępcę wójta. Ale dopiero teraz, wtedy jeszcze chyba... zresztą nie pamiętam – dokończył skruszony. – Poza tym to przecież nieformalnie!

Felicja wzięła łyk herbaty, sparzyła się i syknęła.

– Fuj. – Odstawiła szklankę. – Może i nieformalnie, ale na tyle upierdliwie, że Greta poczuła się zaniepokojona. Mówi, że ręczy za tego faceta.

– Poznałaś go?

– Owszem.

– I co o nim sądzisz?

Zawahała się.

– Szczerze? Nie budzi sympatii – przyznała. – Ale nie musi. On tam nie jest od budzenia sympatii.

Robi swoje. Greta mu ufa.

– Czy wy przypadkiem nie chcecie wywierać nacisku na śledczych? – zdenerwował się Ryba. – Gość jest autorem projektu konkurencyjnego do tego, który prowadził denat. Zwalczali się.

– Kownacki walczył także z Gretą. Bo był w opozycji, kapujesz?

– Kapuję. I właśnie dlatego...

– Politycy nawzajem się nie mordują. Podkładają sobie świnie, obrzucają obelgami, kopią pod sobą dołki. Ale się nie zabijają, bo jedni bez drugich nie istnieją.

Ryba zarechotał.

– Politycy może nie. Ale od kiedy u nas masz prawdziwych polityków?

– Ryba! Ty też sądzisz, że wszyscy to mafia?

Policjant wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

– A Greta? – tryumfowała.

– To nie jest dobry przykład. Greta jest z innej planety.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Masz rację – westchnęła.

– No. Więc dajcie nam w spokoju pracować.

– Ale ja wcale nie chciałam na was wpływać. Tylko proszę, żebyście byli z nami szczyrzy. Ze mną i z Kaśką, bo obie przy tym robimy. Umawialiśmy się, pamiętasz? My wam mówimy o wszystkim.

– Doprawdy? – Skrzywił się.

– Doprawdy. Do czego pijesz? – Felicja sięgnęła do kieszeni, wyjęła papierosa i zapaliła.

Ryba otworzył usta, zapewne po to, by zaprotestować, ale tylko wstał i uchylił okno.

– A kto łąził dziś do gminy i gadał z tym radnym? – wytknął. – Święty turecki? Sama się wydałaś!

– Daj spokój. Byłam w zupełnie innym celu.

– Niby w jakim? – prychnął.

– Po materiały do artykułu. Jestem rzeczniczką urzędu, może o tym zapomniałaś. Mam swoje obowiązki. Posłałam nie do Zagórnego, tylko do Grety, a ona mnie skierowała do niejakiego Zgierskiego.

To nie radny, tylko zwykły etatowy urzędnik... – Strzepnęła popiół na spodek brudny jak nieboskie stworzenie.

– Zgierski? – przerwał jej i pokiwał głową. – Kojarzę chłopą. Też niezłe z niego ziółko. Oni tam wszyscy kręcą swoje lody. Chyba tylko Greta jest tego nieświadoma. No, ale skoro i tak jest na wylocie, to w zasadzie może jej to wisieć.

– Teraz ty przesadzasz, Ryba – wytknęła.

– No, może. Obyś to ty miała rację.

Zgodnie z jej przewidywaniami Pałka oddzwonił, i to nawet kilka razy, ale celowo to zignorowała. Jak Kuba Bogu... Ona też się nie obja, tylko pracuje. Spokojnie dokończyła swoje zajęcia, wysłała do domu Kaśkę i dopiero wtedy odebrała kolejny telefon Artura. Nie dając mu dojść do słowa, zarzuciła go wymówkami, tak jak w przypadku Ryby.

– Felicita, nie wściekaj się – poprosił spokojnie. – Zgadza się, rozmawiamy z tymi ludźmi, typujemy ewentualnych podejrzanych i ten facet nam stale wychodzi. Z Kownackim mieli milion spieć. Raz się podobno prawie pobili i to na korytarzu urzędu.

– Co takiego?! Pobili? Pierwsze słyszę. Greta o czymś takim nie wspominała – ucięła Felicja.

– Bo o tym nie wiedziała i najwyraźniej nikt jej nie doniósł. Może przesadziłem z tym pobiciem, ale doszło do awantury, szarpaniny. Obrzucali się mięsem i ciągaliby za kłapy.

– Byli świadkowie?

– Nieliczni, bo to się działo po godzinach urzędowania.

– To dziwne, że nie powiedzieli o tym Grecie.

– Może się bali? Może zostali zastraszeni? Sama wiesz, że tam, gdzie śmierzdzi kasą, ludziom puszcza hamulce. Tak czy siak, nie chcieliśmy zawczasu nastawiać was przeciwko komuś, bo w końcu żadnych dowodów nie mamy. Jeszcze nie mamy – podkreślił. – Uwierz mi, nie chodziło o brak zaufania, tylko o to, żeby nie zaciemniać sprawy. A ja czułem, że ty i tak będziesz z tymi radnymi gadać. I nie pomyliłem się, jak widać! – parsknął.

Felicja zbyła to wyniosłym milczeniem.

– Dobra. Przyjmuję wyjaśnienie do wiadomości – powiedziała po chwili, zamykając temat. – Czy już sprawdzaliście środowisko tych radnych? Prywatne, wiesz, rodzinę, przyjaciół? I tego, co nie żyje, i pozostałych wplątanych w sprawę kuźni?

– Oczywiście, że tak! Zaraz na początku.

– No i...?

– Kownacki był samotnikiem, kawalerem, ale miał laski, które ciągle zmieniał. Nie wygląda jednak, żeby któraś z tego powodu chciała go zabić. Matka niedawno zmarła, załatwił ją covid. Z ojcem widują się od święta, ten stary to jeszcze gorszy świrus od syna, były kibol i bigot w dodatku. Uważa, że jego synka załatwił wróg polityczny, oczywiście jakiś lewak albo liberał.

– Wina Tuska – prychnęła.

– Wiadomo. Natomiast Zagórny to przykładny obywatel. Wyższe wykształcenie, żona, dwójka dzieci. Ale na forszę pazerny. Wcześniej miał firmę, którą przepisał na żonę, żeby robić karierę w polityce. Zdaje się, że mierzy w stanowisko wójta na początek. Oczywiście już wie, że Greta zamierza odpuścić, chce zająć jej miejsce, a w przyszłości też marzy mu się coś więcej. Założę się, że projekt zagospodarowania starej kuźni miał być wstępem do dalszej gry na siebie. Zdobyciem popularności, a nie wyrazem miłości do zabytku.

– A Zgierski? Bo Ryba i o nim coś wspomniał.

– Zgierski? To ten urzędnik od Zagórnego?

– Tak. Łysol.

– Pamiętam. Nie, na niego nic nie mamy. To raczej szeregowy pracownik?

– Nie tak do końca. To szef referatu, prawa ręka zastępcy wójta. Ryba uważa, że też „ziółko” – zacytowała aspiranta.

– Nie wiem, być może Zyga z jakiegoś powodu go nie lubi. Jest miejscowy, pewnie zna go prywatnie. Z tego, co mam tu w notatkach... – przerwał na moment, usłyszała w słuchawce szelest kartek – facet mieszka w Kryszewie, jest wdowcem od ośmiu lat, bezdzietny, praca w urzędzie gminy to całe jego życie. Ale wiesz, skarbie, nie mam nic przeciwko, żebyście też w tym poszperały na miejscu. Chodzi o życie prywatne jego i tego Zagórnego, bo oni obaj miejscowi. Może wam pójdzie lepiej. Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle... – Zachichotał z satysfakcją.

– Uważaj, diable!

– Kocham cię. Ale muszę wracać do pracy. – Pałka się rozłączył.

## Nazajutrz

Tego dnia zasnęła. Obudziły ją nieokreślone dźwięki, a następnie Bury tuptający dziarsko po schodach. Bardziej skonsternowana niż wystraszona usiadła na materacu, usiłując rozbudzić się i ogarnąć sytuację. I wtedy usłyszała głos Kasi Malinowskiej:

– Hej, szefowo! Żyjesz?!

Coraz bardziej zdumiona zerknęła na ekran telefonu: dochodziła jedenasta, godzina, o której już dawno powinna być na nogach.

– Kurczę, żyję! – odrzyknęła. – Przepraszam, Kasiu, zasnęłam! Już schodzę!

– A śpij sobie dalej! Zajmę się wszystkim!

– Daj spokój.

Felicja wyskoczyła spod kołdry i szybko wciągnęła na siebie dres, po czym zbiegła do części biurowej, gdzie asystentka nastawiała ekspres do kawy, opędzając się żartem od skaczącego wokół jej nóg psa.

– Bury, czekaj! Zaraz ciocia da ci jeść...

– Niech to szlag, tak mi się dobrze spało – westchnęła Felicja. – Wczoraj do świtu siedziałam nad notatkami, próbowałam podsumować nasze śledztwo, no i taki jest efekt. Jeszcze raz sorki, Kaśka.

– Nie przejmuj się, ja też przyszłam później. Jakiś taki dzień do bani, niskie ciśnienie. Napij się kawy, od razu się rozbudzisz. Mnie też nalej, a ja tymczasem wypuszczę Burka do ogrodu. – Gwizdnęła na psa, który tańczył radośnie wokół swojej opiekunki.

Stefańska włączyła komputery i zajrzała do lodówki, jak zwykle prawie puste. Wyjęła z niej niepełny słoiczek oliwek, dwa serki topione i keczup. Dorzuciła chrupkie pieczywo i dwa jogurty owocowe. Nic więcej nie znalazła. Napełniła kubki gorącą kawą i zaniósła wszystko na stolik stojący pomiędzy częścią biurową a mieszkalną. Po chwili wróciła Malinowska.

– Zostawiłam Burego z twoim gospodarzem – oznajmiła. – Będą w sadzie. Jest już kawa, super.

– I śniadanie. Zjesz ze mną?

– Chętnie, zwłaszcza oliwki. – Zaśmiała się dziewczyna. – Uwielbiam! Nie zdążyłam zjeść w domu, bo też zasnęłam – wyznała skruszona.

– Jak byśmy się zmówiły, co? Za chwilę wracam, tylko się trochę opluczę, a tymczasem kawa przestygnie, nie cierpię gorącej. – Felicja poszła do maleńkiej, wydzielonej w rogu poddasza łazienki, gdzie wzięła szybki prysznic. Kiedy wróciła, Kaśka nalewała już sobie drugą kawę.

Zaczęły jeść.

– Co będziesz dziś robić? – zapytała Felicja.

– Zredaguję bieżące wiadomości na portal i napiszę krótki tekst o wiosennych imprezach dla dzieciaków w gminie. Później poszukam w sieci czegoś o przeszłości Kownackiego. On podobno działał w młodzieżówce jakiejś organizacji, która już nie istnieje, ale w Internecie nic nie ginie. A ty? Masz coś zaplanowane na dzisiaj?

Stefańska się zamyśliła.

– Gdybyś zgodziła się przejąć ode mnie odpowiedzi na pytania mieszkańców, to chyba pojechałabym w teren – odparła po chwili. – Pytań na czacie nie powinno być dużo, chyba że jeszcze będą dzwonić...

– Nie ma sprawy, szefowo. Lubię kontakt z ludźmi. A co chcesz robić w terenie?

– Skoro ty wzięłaś na siebie Kownackiego, to ja sprawdzę jego konkurentów. Zobaczą, jak mieszkają, może pogadam z ich sąsiadami. Palczyński mnie wczoraj natchnął – wyjaśniła.

– Radnych?

– Tak, zwłaszcza jednego. Tego od projektu konkurencyjnego.

– Zastępcy wójta.

– Tak.

– To dziwny człowiek – powiedziała ostrożnie Kaśka. – Często z nim pracowałam przy różnych inwestycjach gminnych. Jeździłam z nim w teren. Niezbyt go lubię, jest pewny siebie.

– Masz rację. Bufon. Chcę mu się przyjrzeć bliżej. Mieszka tutaj kilka lat, tyle wiem od Grety.

– Pani wójt pewnie nie będzie zadowolona, to jej zastępca. I dobry kolega, przynajmniej tak mi się zdaje. Podejrzewasz go?

– Nie ja. To znaczy, sama nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym. Ale policja chyba go podejrzewa...

Podjechała kamperem pod centrum handlowe, znajdujące się w miejscowości sąsiadującej z Kry-

szewem. Jeszcze kilka – może kilkanaście – lat temu była tu mała wioska zagubiona pośród pól i lasów, na którą składało się zaledwie kilka gospodarstw. Obecnie już przestały istnieć. Z jednej strony szosy stały supermarket i restauracja wraz z dużym parkingiem, po przeciwnej aż po horyzont rozciągało się skupisko nowych, raczej okazałych domów. Nie było to zaplanowane osiedle, jakiś czas temu rolnicy podzielili swoje grunty na działki, sprzedali je miastowym i tak powstała... nowa jakość. Z dawnej wsi pozostała jedynie nazwa. Teren był atrakcyjny, znajdujący się kilka kilometrów od Gdańska, w pięknej okolicy. Tu wszędzie było urokliwie: zielono, lasy, wzgórze. Cóż, znak czasów. Właśnie w ten sposób dokonywała się na tych obszarach naturalna urbanizacja, dawne rolnicze tereny traciły swój dotychczasowy charakter.

W jednym z nowoczesnych domów mieszkał Zagórny, tyle Felicja wyciągnęła z Grety. Sześć czy siedem lat temu zbudował tu dom, wcześniej z rodziną mieszkał w Trójmieście. Na tym się jej wiedza kończyła.

Zostawiła samochód na parkingu i przeszła na drugą stronę szosy, by obejrzyć miejscowość. Nie pomyliła się: z bliska jeszcze wyraźniej widać było ekskluzywny charakter tych posesji. Nie, tu zdecydowanie nie mieszkali biedni ludzie. Ani nawet średnio zamożni. Rezydencje konkurowały ze sobą nie tylko rozmiarem, ale także wymyślnymi projektami. Wszędzie panował luksus. Snobizm. Jakby nikt nie chciał odstawać od reszty. Niemalże warowne ogrodzenia z kutego żelaza, sterowane elektronicznie masywne bramy, kamery. Z ich użytkownikami nie da się tak po prostu „poplotkować” o sąsiadach. Nie to środowisko. Nawet wielkie – lśniące niczym dobrze naoliwione maszyny – psy ras obronnych, krążące niespokojnie za niektórymi ogrodzeniami, ostrzegały zwykłych śmiertelników, że tutaj dostępu nie mają. Zachowaniem przypominały drapieżniki z ogrodów zoologicznych. To nie były „zwierzęta towarzyszące człowiekowi”, członkowie rodziny, przyjaciele, jak jej Bury, tylko żywe alarmy i śmiercionośna broń...

Wróciła do samochodu, wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer Grety. Ta długo nie odbierała. W końcu Felicja usłyszała w słuchawce trzask.

– Tak? – Rozległ się zniecierpliwiony głos przyjaciółki. Z jej tonu wywnioskowała, że jest zajęta.

– Cześć, to ja. Ale chyba dzwonię nie w porę, słyszę, że nie masz czasu...

– Felicja, błagam, streszczaj się! Faktycznie, mamy tu trochę zamętu. Potrzebujesz pilnie czegoś?

– Nie, w zasadzie nie. – Stefańska zapaliła papierosa. – Przypadkiem jestem w Mirowie, chyba gdzieś w pobliżu miejsca zamieszkania twojego wice. Wiesz, który dom należy do niego?

– Nie mam pojęcia, nigdy nie odwiedzałam go prywatnie w domu. Ani on mnie. Ale po co ci to?!

– dociekała Greta wyraźnie zaniepokojona.

– Chciałam się tylko rozejrzeć.

– Felicja, mów konkretnie! Po co tam pojechałaś? Czy coś się stało?

– Niby co? Nie rozumiem, o czym mówisz. – Na łączach zapadła przedłużająca się chwila ciszy. –

Greta? Hej, jesteś tam?

– Tak. – Pazikowa się ocknęła. – Pytam, bo Wojtek Zagórny dzisiaj nie pojawił się w pracy, a jego telefony są niedostępne. Bez niego wszystko idzie jak krew z nosa. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzało. Od wczoraj nie ma z nim kontaktu. To bardzo dziwne.

– Faktycznie, dziwne... – Dziennikarka odzyskała czujność. – Dzwoniłaś do jego rodziny, żony?

– Oczywiście. Żona z dziećmi jest na jakimś wyjeździe. Majówka czy coś. O niczym nie wie. Mówi, że też nie może się dodzwonić do męża. Zaczęła już panikować.

– No wiesz, nie dziw się jej. Jeśli facet nie jest dziwkarczem czy innym bankietowiczem, to laska ma powody do niepokoju. Nikt tak po prostu nie znika. Wczoraj gdzieś cholernie się spieszył. Pamiętasz?

– Masz rację, siedział jak na rozżarzonych węglach, a potem wyleciał jak do pożaru.

– Wiesz, dokąd się tak spieszył?

– Nie wiem! Pewnie miał jakieś spotkanie...

– To leć i zapytaj Zgierskiego. Oddzwoń od razu, jak się dowiesz. – Felicja zaciągnęła się końcówką papierosa, po czym zdusiła niedopałek w popielniczkę.

– Dobrze. Zaczekaj chwilę. – Greta się rozłączyła.

Felicja wysiadła z auta i zapaliła kolejnego papierosa, by czymś zająć ręce i zmusić umysł do koncentracji. Czekając na telefon od Grety, niespokojnie krążyła dookoła samochodu. Nadal nie wiedziała, czego się obawia, ale wciąż czuła nieokreślony lęk. Kiedy aparat wreszcie się odezwał, odebrała po pierwszym sygnale.

– I co?!

– Felicja, to się robi coraz dziwniejsze, ja naprawdę nie wiem, co o tym sądzić... – Greta była zdenerwowana, mówiła szybko, lekko się zacinając.

– Ale dowiedziałaś się czegoś?! – weszła jej w słowo.

– Guzik się dowiedziałam! Zgierskiego też nie ma. Nie ma go w pracy, rozumiesz coś z tego?!

Stefańska na chwilę zaniemówiła.

– Ale jak to... – zareagowała z opóźnieniem.

– Tak to! Nie ma go już od ponad godziny! Ludzie mówią, że rano normalnie przyszedł do biura, siedział i pracował, a potem nagle jakby wpadł w amok. Chyba jak dowiedział się, że Zagórny na amen przepadł, a może dostał jakąś wiadomość? Nie wiem! W każdym razie na żadne pytania nie odpowiadał, jakby ogłuchł, nikomu niczego nie wyjaśnił, tylko zabrał z biura jakieś papiery i wybiegł. Kurczę, o co tu chodzi?! – Greta podniosła głos, który na koniec jej się załamał.

– A jego telefon?

– Nie odpowiada, jak u Wojtka.

Felicja myślała gorączkowo, przypalając kolejnego papierosa. Coś zdecydowanie jest nie tak, ale co...

– Greta, posłuchaj – odezwała się w końcu. – Przede wszystkim się uspokój. Musisz być teraz skupiona i panować nad sobą, rozumiesz?

– Staram się, do cholery!

– Okej. Idź do gabinetu Zagórnego, tam za przepierzeniem stoi biurko Zgierskiego. Weź ze sobą jakiegoś pracownika z tego referatu i sprawdź razem z nim, czego brakuje. To znaczy, co zabrał Zgierski, kiedy wybiegł z biura. Chodzi mi o to, czy zniknęła teczka z projektem renowacji starej kuźni, musimy się upewnić.

– Dobra.

– Jak już sprawdzisz, to koniecznie do mnie zadzwoń. Ale najpierw dzwoń do Ryby i zgłoś zaginięcie tych dwóch facetów. Zrobiłabym to sama, ale się spieszę. Wszystko mu powiedz, niech zawiadomi Palczyńskiego. Będą wiedzieli, co robić.

– A ty? Dokąd się wybierasz? – zamierzała dopytać, ale Felicja już się rozłączyła.

\*\*\*

Gnana przecuciem, którego nie potrafiła sprecyzować, jechała szybko, za szybko, ale o tym już nie myślała. Na szczęście nic się po drodze nie stało, nikogo nie przejechała, żaden patrol jej nie zatrzymał, bo żadnego nie było. Słyszała wcześniej, że do kuźni prowadzi jakaś leśna droga, ale nie wiedziała, gdzie jej szukać, wolała nie tracić czasu. Zatrzymała więc samochód na leśnym parkingu w pobliżu domu państwa Bagińskich, tam go zostawiła i pobiegła. Serce jej łomotało, trudno powiedzieć, czy bardziej z nerwów, czy z braku kondycji. Zdyszana w szybkim tempie pokonała tę niedługą przecież trasę. Gdy wybiegła pomiędzy drzew, miała już w zasięgu wzroku opuszczony budynek: wydawało się, że panuje tu niczym niezmacony spokój. Niemal sielski. Zwolniła, uspokoiła oddech i zeszła ze wzgórza normalnym krokiem, rozglądając się ostrożnie, wyczulona na każdy odgłos i szmer czy skrzypienie gałęzi. Zanim przekroczyła strumień, odwróciła się, by spojrzeć w okna willi Bagińskich w poszukiwaniu złudnego poczucia, że nie jest samotna na tym odludziu. Dom jednak stał cichy, z ogrodu nie dochodziły żadne oznaki życia. Nawet pies nie zaszczekał, ale przypomniała sobie, że psa już nie było. Na tę myśl znów przebiegł ją zimny dreszcz, choć dzień był ciepły, prawie letni.

Do zabudowań kuźni dotarła, skradając się jak kot. Na wszelki wypadek. Zajrzała przez ogrodzenie na dziedziniec: pusto. Odczekała kilka sekund, jeszcze raz rozejrzała się i wreszcie odważyła się tam wejść. Dopadło ją coś na kształt nieprzyjemnego uczucia lęku, ale pchały ją adrenalina i poczucie obowiązku. Z biciem serca przekroczyła próg, gdzie wcześniej leżały zwłoki Kownackiego. Na szczęście zniknęły już krwawe ślady, nie uchowały się resztki policyjnej taśmy. Zajrzała do środka, w mroczną cześć...

I wtedy to poczuła: ciarki.

Przecucie graniczące z pewnością, że coś tu jest nie tak. Nie potrafiłaby powiedzieć, skąd się wzięło i jakie było jego źródło. Może to aura, którą zawsze potrafiła wyczuć, czy sama tego chciała, czy też nie.

Nie musiała wyjmować latarki, oczy szybko przystosowały się do panującego tutaj półmroku. Mimo to wyjęła z kieszeni smartfon i poświeciła w głąb pomieszczenia. Nie myliła się: dostrzegła zarys ludzkiego ciała. Ktoś tam leżał. Bez ruchu. Teraz już serce podeszło jej do gardła. Ale musiała podejść i sprawdzić. Może ta osoba potrzebuje pomocy?

Jeden krok... drugi... trzeci... Tak, to był Zagórny.

Poznała go od razu. Wytrzeszczonymi oczami patrzył w tonące w mroku sklepienie. Nie oddy-

chał. Nie mógł. Kiedy się pochyliła, wstrzymując oddech, zobaczyła, że górna część jego czaszki została nieomal zmiażdżona, a głowa leży w czymś czarnym... w ciemnej, lepkiej mazi.

W tym momencie zadzwonił telefon. Felicja odebrała bezwiednie, stojąc bezradnie nad martwym ciałem.

– Felicja, jesteś tam?! – Dotarł do niej spanikowany głos Grety. – Teczka zniknęła! Cała dokumentacja...

– Tak myślałam – odparła, choć miała wrażenie, jakby to mówił ktoś inny, ktoś stojący z boku, nie ona.

– Masz dziwny głos. Felicja? Powiedz, gdzie jesteś! Co się dzieje? Dzwoniłam do Ryby, ale...

Dziennikarka usłyszała szelest, kątem oka dostrzegła ruch w odległym kącie pomieszczenia. Usłyszała tupot nóg. Jakiś cień przeciął powietrze, a do jej uszu dobiegł rumor. Odruchowo podbiegła w tym kierunku i zobaczyła czarną sylwetkę wspinającą się do wyrwy w murze czy resztek dawnego okna na tyłach budynku. Po chwili postać była już po drugiej stronie, tam gdzie zaczynał się las.

Niewiele myśląc, Felicja odrzuciła telefon, z którego dobiegały wciąż stłumione nawoływania Grety, sprężyła się do skoku, z wysiłkiem pokonała otwór w ścianie i pobiegła śladem znikającej pośród gęstwiny sylwetki...

Gnała jak automat – na szczęście ciało przypomniało sobie, jak to się robi, nie dopuszczało do świadomości zmęczenia czy bólu mięśni – starając się nie tracić z oczu uciekającego. Jednak miał nad nią przewagę i wkrótce znikł wśród drzew. Mimo to nie zrezygnowała, zagłębiła się w zarośla, klucząc w leśnych ostępach. Nagle się poślizgnęła. Klnąc, zatrzymała się i spojrzała pod nogi, gdzie leżała plastikowa niebieska teczka. Biurowa.

Dopiero teraz poczuła zmęczenie, kompletny brak sił, fale gorąca uderzyły jej do głowy. Podniosła z ziemi skoroszyt, otrzepała z igliwia i pomacała: był gruby, w środku zapewne znajdowały się jakieś dokumenty. Trzymając go kurczowo po pachę, pobiegła dalej, już truchtem, wyężając wzrok, by dostrzec coś pomiędzy drzewami. Bezskutecznie. W lesie, przynajmniej w zasięgu wzroku, panował spokój, tylko ptaki świergotały gdzieś wysoko, w wyniosłych koronach świerków i sosen. Uciekający rozplynął się w powietrzu.

Zawahała się, wróciła przytomność umysłu. Nie było sensu biec. Powinna jak najszybciej zawiadomić policję. Telefon... no tak, jej telefon został w kuźni. Przy zwłokach. Zawróciła. Czowała ból w boku, złapała ją kolka. Gdzieś z oddali dosłyszała warkot silnika. Krzywiąc się boleśnie, przyspieszyła kroku.

Kiedy wyszła z lasu i okrążyła budynek kuźni, ujrzała przed nim radiowóz, którym zazwyczaj, będąc na służbie, jeździł Ryba. Poczuła ulgę, aż zrobiło jej się słabo.

\*\*\*

Gdy wkrótce na terenie otaczającym kuźnię – a także w kuźni – zaroilo się od funkcjonariuszy, Felicja siedziała w wozie policyjnym i popijała kawę z termosu Ryby. Opadła z sił, drżały jej łydki, w mięśniach czuła ból, a w głowie chaos. Została już wstępnie przesłuchana i chwilowo pozostawiona. Obserwowała teraz uwijające się służby z dystansu, ale oczami wyobraźni wciąż widziała martwe ciało mężczyzny, z którym wczoraj jeszcze rozmawiała: jego niewidzące spojrzenie i roztrzaskaną czaszkę. I jak zawsze czuła zdumienie, że tak łatwo, tak szybko można zgasić czyjeś życie. Nieodwracalnie. Odzyskała smartfon, lecz nie miała siły do nikogo dzwonić ani odbierać telefonów, a wydzwaniały do niej, jak się okazało, zarówno Greta, jak i Kaśka, a nawet Pałka, który dotarł już na miejsce. Wysłała tylko krótkie wiadomości dziewczynom. Zobaczyła przez okno nadchodzącego Rybę i wyszła z radioli, by w jego towarzystwie zapalić papierosa.

– Trzymasz się? – zapytał z troską.

– Bywało lepiej – odparła i wyciągnęła do niego paczkę.

Poczęstował się bez słowa, choć zarzekał się niedawno, że rzuca palenie. Po raz kolejny zresztą.

– Powiem ci, że cię podziwiam. – Wykonał ruch, jakby chciał ją poklepać po ramieniu, lecz w ostatniej chwili zrezygnował. – Odzyskałaś te papiery. Zabieramy je do analizy, może w nich znajdzie się odpowiedź.

– To był przypadek. Nie moja zasługa. Po prostu gość zgubił teczkę. Złapaliście go?

– Nie. Nasi chłopcy przeszli się tym laskiem kilka razy, ale facet ulotnił się jak kamfora. Zapewne dobiegł do szosy, gdzie zostawił samochód, no i szukaj wiatru w polu. Zwiął. Ale jeszcze raz spenetruj teren z psem na wypadek, gdyby ukrywał się gdzieś w okolicy.

– To był Zgierski, prawda?

– Wszystko na to wskazuje. Miał tę teczkę. Dowiemy się więcej, kiedy chłopaki zbadają ślady.



– A jego telefon?  
– Nie odpowiada. Będziemy go lokalizować.  
– Wygląda na to, że po sprawie – skonstatowała. – Choć dalej nic nie rozumiem. Zagórnego najprawdopodobniej zabił Zgierski. Tylko po co?

Ryba pokiwał głową.

– Na to wygląda – przyznał. – A po co? Tego musimy się dowiedzieć. Być może z zawiści?

– Zawiści? Do tego stopnia? Trudno w to uwierzyć. Ale z karierowiczami niby wszystko możliwe. Dobrze, że przyjechałeś tak szybko. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym musiała czekać tam sama z trupem. Widziałeś, w jakim byłem stanie. Kurczę, starzeję się.

– No, rzeczywiście! – Policjant parsknął śmiechem. – Staruszki, nawet żwawe, nie zasuważą po lesie jak małe samochodziki!

– Dzięki, smarku. Od razu się zorientowałaś, gdzie szukać?

– Z początku nie byłem pewien, ale kiedy Greta powtórzyła twoje słowa, że się domyślimy, to mi zaświtało. Potem namierzyliśmy twój telefon. Pałka idzie – zakomunikował. – To ja się zmywam do roboty.

– Dasz trochę kawy, Ryba? – zapytał Palczyński, obejmując dziennikarkę.

– Drugi termos jest z tyłu – odparł aspirant. – Znajdziecie. Żonka mnie zaopatrzyła. Bierzcie i pijcie z tego wszyscy. Odmeldowuję się, szefie.

Felicja podała Arturowi kubek z jeszcze ciepłą kawą, której nie zdążyła dopić. Popijali na spółkę, w milczeniu.

Kiedy Ryba się oddalił, komisarz zapytał:

– Kochanie, masz ochotę przejść się ze mną do Bagińskich?

– A co? Coś zauważyli?

– O to ich właśnie zapytamy. Cisza tam, nikt się od nich do tej pory do nas nie zgłosił. Dasz radę? Twoja obecność zwykle pomaga rozwiązać ludziom języki. Ale jeśli nie czujesz się na siłach...

– Dam! – ożywiła się Stefańska. – Wiesz, że zawsze lepiej się czuję, kiedy działam, niż kiedy czekam. Nie lubię czekać.

– Wiem. I na to liczyłem. – Uśmiechnął się do niej. – Mogłem tam iść z Rybą, ale wolę z tobą. Chodźmy.

Wspięli się na skarpe i już z daleka dostrzegli kogoś stojącego przy furtce. Kiedy się zbliżyli, rozpoznali Marcelinę Mruk, postawną synową sołtyski. Patrzyła ciekawie w ich kierunku: widocznie dojrzała z daleka, że nadchodzą. Nieruchoma, duża postać, bez cienia uśmiechu. Wyglądała wręcz groźnie.

– Dzień dobry, pani Marcelino! – powitała ją Felicja. – Poznaje mnie pani?

– Dobry – odburknęła kobieta. – Poznając, ślepa nie jest. Tego pana też poznaję. Był tutaj. Z policji – ciągnęła, jakby Palczyński nie stał właśnie obok dziennikarki. – A co tam się znowu wyprawia?

– Tam, to znaczy gdzie? – zapytał komisarz.

– A tam, przy tej kuźni. Znów się co dzieje? Bo ludzi tam widzę jak mrówek! – Niedbale machnęła ręką w stronę dolinki.

Podeszli bliżej, ale nie otworzyła furtki, tylko stała oparta o nią. Felicja oparła się z drugiej strony.

– No właśnie – podchwyciła. – Dzieje się. Dlatego przyszliśmy. Żeby zapytać państwa, czy przypadkiem czegoś nie widzieliście i nie słyszeliście.

Gospodyni wzięła się pod boki.

– A to my nic innego do roboty nie mamy, tylko gapić się na tę starą budę? Ja nic nie wiem. Dopiero teraz, jak po szczypior wyszłam, to mąż mi mówi, że tam w dole kotłowanina jakaś. Jak wtedy, kiedy trupa znaleźli. Teraz też znaleźli?

– Czy moglibyśmy porozmawiać z panem Bagińskim? – włączył się Pałka, nie odpowiadając na pytanie.

– Pana nie ma w domu. – Wzruszyła ramionami, obrzucając go przy tym mało przychylnym spojrzeniem. – Wyjechał koncertować.

– Kiedy?

– Wczoraj z samego rana. Samochodem pojechał, to musiał wcześniej ruszać, długą drogę miał. Aż do Krakowa.

– Rozumiem. A z panią Bagińską?

– Pani też na pewno niczego nie widziała, bo mnie o tym by powiedziała – odparła dość opryskliwie.

– Pani Marcelino, mimo wszystko... Czasem człowiek coś zobaczy i nie zorientuje się nawet, że

to może być ważne. Pani Wikta jest bystra, spostrzegawcza, może jednak mogłaby pomóc policji? – Felicja usiłowała ratować sytuację.

Marcelina jakby nieco złagodniała.

– Pani śpi – wyjaśniła ugodowo. – Od wczoraj bardzo cierpiała na migrenę i nie w głowie jej było gapić się w okna. Dopiero niedawno ból odpuścił po lekach i sobie przysnęła, biedaczka. Mam ją obudzić?

Stefańska szybko porozumiała się wzrokiem z komisarzem, który nieznacznie pokręcił głową.

– Nie, w takim razie nie trzeba. Ale gdyby pani coś sobie przypomniała, to niech do mnie zadzwoni. – Wręczyła kobiecie swoją wizytówkę.

– Dobrze. – Gospościa schowała kartonik do kieszeni fartucha.

– A pani mąż jest tutaj? O ile się nie mylę, pracuje u państwa Bagińskich jako ogrodnik?

– Ano jest. Robi na tyłach. Genek! – krzyknęła, aż zadudniło.

Zza rogu domu wychylił się mężczyzna w średnim wieku.

– Co jest? Kto tam przyszedł? – dopytywał się podniesionym głosem ze względu na odległość.

– Chono tu! Przepytać ciebie chcą!

Mężczyzna odłożył grabie i niespiesznym krokiem zbliżył się do furtki. Felicja od razu dostrzegła jego podobieństwo do matki. Kaśka miała rację: był przeciętny. Żaden Herkules. Gdy stanął obok żony, widać było wyraźnie, że jest od niej niższy i drobniejszy. Mimo to jego ramiona – obnażone powyżej łokci, gdyż zapewne przy pracy podwinął rękawy – były muskularne i opalone.

– Kim jesteście? – burknął.

Przedstawili się.

– O co chcecie mnie pytać? – Ubiegł ich, zanim przeszli do rzeczy.

– W budynku starej kuźni doszło do przestępstwa. Pan tu pracował w ogrodzie od rana? – odezwał się Palczyński.

– A jednak! – wykrzyknęła tryumfalnie rozradowana nagle Marcelina. – A to się teściowa wścieknie!

Mąż zmierzył ją potępiającym wzrokiem.

– Od rana to nie – odparł. – Gdzieś tak od jedenastej. Tu nie trzeba przychodzić z rana, nie ma teraz aż tyle do roboty.

– Niczego pan nie zauważył?

– No, jak to nie? Mówiłem nawet żonie, że pełno ludzi kręci się koło tego budynku.

– A wcześniej?

– Wcześniej byłem zajęty w szklarni. – Wzruszył ramionami. – Ale zdaje mi się, że spokój tam był.

– W porządku. W takim razie dziękujemy państwu. – Pokiwał głową komisarz. – A kiedy wraca pan Bagiński? – zwrócił się do Marceliny.

– Mogę iść do pracy? – zapytał ogrodnik.

– Oczywiście. Nie zatrzymujemy pana.

Oddalił się bez słowa. Gospodyni natomiast odparła:

– Z tego, co mówił, wraca jutro późnym wieczorem. Coś przekazać?

– Nie, nie trzeba. Skontaktujemy się, jeśli zajdzie potrzeba. Prosimy tylko, żeby byli państwo ostrożni. I mimo wszystko czujni. Zwracajcie uwagę na ludzi, na samochody. Zwłaszcza gdy nie będzie tu policji.

– A kogoście tym razem tam znaleźli? – Nie wytrzymała.

– Pani Marcelino, na razie możemy powiedzieć tylko tyle, że doszło do zdarzenia.

– Nowy trup, co? – Nie ustępowała. Jej zazwyczaj obojętne, zimne oczy tym razem błyszczały ciekawością. I czymś jeszcze: chorobliwą skrywaną satysfakcją.

– Pani Marcelino... – westchnął Palczyński, a Felicja pomyślała, że młodsza Mrukowa wie gdzie nudne życie.

– Może znowu ten nasz diabeł wziął się do działania? – Zarechotała kobieta. – On ponoć ciekawskich nie lubi.

\*\*\*

Następnego dnia ruszyły poszukiwania, policjanci z psami tropiącymi przeczesywali las w okolicy starej kuźni. Nie był to zbyt duży obszar, lecz gęsto zadrzewiony, z licznymi niewielkimi stawami i chaszczami. Nie liczyli oczywiście na to, że Zgierski – o ile to był on – będzie tak nierozsądny, by się

tam ukrywać, skupili się natomiast na śladach, jakie mógł po sobie pozostawić i naprowadzić śledczych na trop. Na razie sytuacja wyglądała tak, że mężczyzna przepadł jak kamfora razem ze swoim samochodem. Nie udało się też namierzyć jego telefonu. Nikt go nigdzie nie widział, istniała więc szansa, że nadal przebywa gdzieś w okolicy. Wszyscy zastanawiali się, na ile może być zdeterminowany i niebezpieczny. Od rana Palczyński z Rybą byli praktycznie nieuchwytni, natomiast Greta się rozchorowała.

– Trzeba przyznać, że nie jest to dla niej najlepszy wstęp do rozpoczęcia nowego etapu w polityce – zauważyła Felicja.

Siedziały z Malinowską beczynn timeredakcji, poproszone usilnie przez komisarza, by nie wykonywały teraz żadnych ruchów.

– To fakt – przyznała z żalem Kaśka. – Ani zbyt miłe pożegnanie ze stanowiskiem wójta. Wyobrażam sobie, jak biedna pani Greta musi się z tym podle czuć.

– Na pewno, zwłaszcza przy jej zaangażowaniu. Wmówiła sobie, że to jej wina, bo nie zauważyła wcześniej żadnych sygnałów.

– Szkoda mi jej. Oby znaleźli tego faceta i niech to się jak najszybciej skończy. Ale ty też miałaś przeżycia... – Asystentka patrzyła na szefową z podziwem. – Prawie go złapałaś!

Felicja zaśmiała się gorzko.

– Daj spokój, młoda. Nie złapałam.

– Ale znalazłaś tę teczkę!

– Gliniarze też by ją pewnie znaleźli.

– A nie, bo gdyby nie ty, to może by jej wcale nie zgubił. Nie wiadomo, co by było, gdybyś go tam nie nakryła. Swoją drogą, w życiu bym nie pomyślała, że ten gryziپیórek może być mordercą. Znałam go tylko z widzenia, ale wydawał mi się taki... no wiesz, typowy urzędnik. To już bym się mniej zdziwiła, gdyby było na odwrót. Zastępca wójta bardziej by mi pasował w tej roli.

– Dobrze wiesz, Kaśka, że zabiójcy z reguły na takich nie wyglądają. Nie licząc zawodowych zbirów. Nigdy nie wiesz, co siedzi w czyjejs głowie.

– To prawda...

– Na przykład Marcelina, synowa waszej sołtyski. Baba-zagadka.

– Jest dziwna – oceniła Kaśka. – Ale chyba jej nie podejrzewasz? Po co by miała...

Dziennikarka zamachała ręką, czym wystraszyła przysypiającego na jej kolanach Burego. Psiak przebudził się i rozejrzał zdezorientowany.

– Przepraszam, piesku, to było niechcący. – Poglaskała go za uchem, aż ponownie zapadł w błogi sen. – Nie mówiłam w tym sensie – zwróciła się do Malinowskiej. – Nie chodzi o to, że ją podejrzewam w tej sprawie, ale ta kobieta robi na mnie wrażenie potwora. Jak jakiś gad. Jest taka... zimnokrwista. Jakby była pozbawiona empatii.

– Reptilianka! – Roześmiała się Kaśka. – Ale wiesz, to zupełnie jak większość ludzi obecnie – dokończyła niespodziewanie dojrzałe. – Ja też to dostrzegam.

– Tak, to racja... Nawet jednak przy tej całej powszechnej znieczulicy większość ludzi posiada jakieś uczucia, emocje. A ta jest jak glaz.

– Może potrafi je dobrze ukrywać. – Niezdecydowanie wzruszyła ramionami młoda dziennikarka i się zamyśliła.

Felicja, obserwując ją, po raz kolejny zwróciła uwagę na to, jaka atrakcyjna młoda kobieta wyrosła z zakompleksionego „brzydkiego kaczątka” sprzed paru zaledwie lat.

– Może. Wiesz co, Kasiu? Skoro i tak nie możemy dziś ruszyć stąd dupy, to przynajmniej zrobmy sobie przyjemność. Praca nie zajac. Mamy piwo i orzeszki. Jakoś trzeba zabić ten czas. – Po raz kolejny włączyła telefon, by sprawdzić, czy nie przeoczyły wiadomości od Ryby albo Palczyńskiego.

Ale nic tam nie było.

Komisarz zadzwonił dopiero wieczorem, gdy Kasia Malinowska już dawno poszła do domu, a Felicja siedziała jak na rozżarzonych węglach. Wcześniej usiłowała przez telefon postawić do pionu Gretę, która rozpadła się na kawałki, choć dziennikarka wiedziała, że jutro jej przyjaciółka będzie już z powrotem sobą. Zawsze tak było: nawet jeśli na chwilę poddawała się słabości – czasem przesadnie, wręcz teatralnie – to i tak bardzo szybko potrafiła się pozbierać po załamaniu, a później nawet podtrzymać na duchu innych. Felicja reagowała odwrotnie, u niej negatywne emocje narastały stopniowo. W sumie uważała, że ma gorzej, jednak plus był taki, że wzajemnie się uzupełniały. Mogły się na przemian pocieszać. Cóż, każdy ma inną psychikę i inaczej przechodzi trudności, rozumiała to.

– Przepraszam, że tak późno oddzwaniem. – W głosie Pałki slychać było zmęczenie. – Ale to nie był łatwy dzień. Padam na pysk, ale efekt przerósł oczekiwania.

- Macie go?
- Taak...
- No mówże wreszcie! Złapaliście Zgierskiego, tak? Udało się?

Komisarz przez chwilę jakby szukał odpowiednich słów. Zniecierpliwiona Felicja wymacała dłonią paczkę papierosów i nie odejmując od ucha telefonu, zapaliła. Bury na szczęście spał na antresoli, gdzie dym nie docierał. O swoim zdrowiu nie myślała. Była zresztą zdrowa jak koń.

- Jakby to powiedzieć... – odezwał się wreszcie Palczyński. – I tak, i nie.
- Mógłbyś jaśniej?

– Zgierski nie żyje – kontynuował. – Zaczekaj! – uciszył ją, gdy ponownie usiłowała mu przerwać. – Już wyjaśniam, a ty na razie po prostu słuchaj. Nasi ludzie sprawdzali tereny wokół kuźni, niczego nie znaleźli. Ale w tym czasie Ryba odebrał telefon od miejscowej rodziny spacerującej po lesie po drugiej stronie szosy, spory kawałek od tamtego miejsca. Chodzi o tę boczną drogę, nie główną. Natknęli się na opuszczone auto w głębi lasu, tam, gdzie w zasadzie nie ma wjazdu, tylko ścieżka... a w nim na nieprzytomnego, jak sądzili, a przynajmniej tak twierdzą, człowieka. Obawiali się go ruszać, poza tym byli z małymi dziećmi, dlatego od razu zadzwonili na komisariat. Dobrze, że mieli głowę na karku, mogli przecież olać. Pewnie większość by tak zrobiła, że niby pijany czy coś. Choć miejsce nietypowe jak na balangi. Kiedy gość odczytał na prośbę Ryby markę wozu i numer rejestracyjny, od razu wiedzieliśmy, że chodzi o samochód Zgierskiego. Wysłaliśmy chłopaków i okazało się, że człowiek siedzący w aucie jest martwy.

– Ale jak? Ktoś go zabił? Czy popełnił samobójstwo?! To by się zgadzało. Zabił dwóch radnych i dłużej nie wytrzymał...

– Słuchaj i nie przerywaj. Też tak wstępnie myśleliśmy, ale nic się nie zgadza. Nasz medyk od razu stwierdził, że facet zmarł z przyczyn naturalnych. Prawdopodobnie zawał serca. Zresztą po podłodze samochodu wałało się opakowanie leków nasercowych, które prawdopodobnie wypadło mu z ręki, zanim zdążył je zażyć.

- A może się otruł?

– Wątpliwe, ale oczywiście wszystko musi potwierdzić autopsja. Wygląda jednak na to, że Zgierski zmarł na serce.

- Kurwa mać, przeze mnie...

- Czemu przez ciebie?

- Goniłam go po tym lesie!

– Daj spokój. Miał raczej o wiele więcej emocji wcześniej. Swoją drogą, skąd wiedziałaś, że on tam będzie?

– Nie wiedziałam. Nawet nie to, że się domyśliłam. Czułam! Po prostu. Jak to ja... Czyli co? Po sprawie? Zamykacie dochodzenie?

Palczyński znowu na dłuższą chwilę zamilkł. Felicja napiła się zimnej herbaty.

– Nie tak szybko – podjął temat. – Jak mówiłem, nic się tutaj nie zgadza. Po pierwsze, Zagórny zmarł znacznie wcześniej, niż wtedy, kiedy pojawiłaś się w kuźni. A także Zgierski. Nie mógł go wówczas zabić.

– Cholera! – Felicja walnęła się dłonią w czoło, aż zaboląło. – Nic wczoraj nie mówiliście! Ale fakt, przecież... racja. Teraz sobie przypominam, że krew przy zwłokach była raczej już... no, zakrzepła. Nie znam się na tym za bardzo, poza tym nie miałam głowy, a raczej on jej prawie nie miał – dokończyła ponuro. – Mógł jednak go załatwić wcześniej, a potem wrócić po coś. Mówi się, że przestępca wraca na miejsce zbrodni. Może zamierzał ukryć ciało albo je przeszukać. Tylko ja go spłoszyłam. Jak sądzisz? – Stefańska trochę grała, żeby sprowokować Pałkę do mówienia, a wtedy zdradzi więcej szczegółów. Znała to z doświadczenia. I chyba się nie myliła.

– Mogło i tak być – przyznał Palczyński. – Ale przy Zgierskim znaleźliśmy jego telefon. Technik już go wstępnie zbadał. Okazało się, że Zgierski wczoraj przed południem otrzymał wiadomość od Zagórnego, że ma natychmiast przyjechać w „umówione miejsce”.

- To dlatego wybiegł z biura jak oparzony!

- Zapewne.

- Czyli musiał go wtedy zabić...

– To nie takie proste – westchnął komisarz. – Bo wtedy Zagórny już raczej na pewno nie żył. Sekcja wykazała, że zgon nastąpił dołą wcześniej. Mniej więcej około południa poprzedniego dnia, po tym, jak wyszedł po spotkaniu z tobą w urzędzie. Nie mógł wysłać tego esemesa do Zgierskiego. Czyli jesteśmy w dupie i zaczynamy od nowa...

## FELICJA

*I to dosłownie. Wyglądało na to, że dotychczasowa koncepcja policji zawaliła się w jednej chwili, tymczasem innej na razie nie mieli. A wszystko już zaczęło się im tak ładnie układać. Zgierski był idealnym kandydatem na mordercę. Niedowartościowany szary urzędnik – być może nawet lekko ześwirowany – odwalający całą brudną robotę za polityka, karierowicza oraz zakochanego w sobie narcyza, jakim był niewątpliwie Zagórny, zastępca wójta, jego szef, a na dodatek protegowany wójta, czyli Grety, o której względy wszyscy w tym urzędzie walczyli. Według tego założenia Zgierski najpierw zabił Kownackiego, radnego z opozycji, który swoimi projektami mógł zniszczyć jego pracę, a potem rywala, ponieważ zebrałby całą śmietankę, podczas gdy Zgierski nadal pozostałby w cieniu. Mogli się też o coś spierać, to już mniejsza. Policjanci zbadali odzyskaną przeze mnie teczkę i nic w niej nie znaleźli. Była tam dokumentacja związana z projektem, czyli te same papiery, które oglądałam wtedy w biurze. Czy wszystkie? Tego, rzecz jasna, nie mogłam być pewna, bo nie wiedziałam, czy wówczas Zgierski pokazał mi całość. Nie było tam jednak niczego, co by kogoś obciążało lub pozwoliłoby choć zbliżyć się do prawdy, do konkretnego motywu. Nic, czego można by się uczeplić. Typowe dokumenty: wnioski o dofinansowanie, korespondencja z architektem, pomysły na adaptację i przyszłą działalność w budynku starej kuźni. Jedno jest pewne: obaj panowie przez dłuższy czas łączyli się (dość regularnie) telefonicznie z tym samym niezidentyfikowanym numerem. Numer ten okazał się niemożliwy do wyśledzenia, bo nie został zarejestrowany w Polsce.*

*Tak czy inaczej, Zgierski jako zabójca umknął glinom na tamten świat. Mało tego, okazał się jedną z ofiar. Było prawdopodobne, że morderca planował załatwić i jego. Może nie zdążył zabić, bo akurat nadeszłam. Jeśli tak, to ostatecznie wszystko ułożyło się po jego myśli, bo biedny Zgierski nie wytrzymał napięcia i sam z siebie zszedł, a chorował na nadciśnienie i od dawna miał kłopoty z sercem. Obwinałam się o to, że pościgiem mogłam przyczynić się do jego śmierci, ale teraz pocieszam się myślą, że Artur miał rację: wystarczyło mu odkrycie zwłok współnika z roztrzaskaną czaszką, żadna gonitwa po lesie nie mogłaby równać się z tym szokiem. W dodatku mógł się spodziewać, że przyłapany na miejscu zbrodni – jak na gorącym uczynku – będzie dla organów ścigania pierwszym podejrzanym o zabicie szefa.*

*Ale wracając do meritum, dla policji było to ewidentnym fiaskiem ich dotychczasowego śledztwa, oznaczającym, że muszą teraz zaczynać od początku, praktycznie od zera. Ale nie dla mnie.*

*Bo jeśli o mnie chodzi, to od samego początku nie koncentrowałam się na motywie polityczno-ekonomicznym. A przynajmniej nie tylko. Fascynowała mnie historia dawnej kuźni i byłam zdecydowana po raz kolejny zaufać intuicji. Pamiętałam lokalne legendy, bajki o diable, skarbach i tajemnicach. A w każdym micie tkwi przecież ziarno prawdy. Co ludzi najsilniej popycha do zbrodni, i to od tysięcy lat? Złoto. Klejnoty. Skarby. Tak umownie. Lub silne emocje... albo jedno i drugie. Oczywiście pieniądze – biznes – to też ta sama kategoria, lecz wcale nie musi chodzić o gminną politykę kulturalną.*

*Przypomniałam sobie, że bibliotekarka, żona Ryby, miała mi znaleźć materiały. Czas do niej zadzwonić, zanotowałam w myślach. A Kaśce trzeba nakazać dalej pogrzebać w życiorysach tych trzech ofiar, bo może tam znajdziemy jakąś odpowiedź.*

## CZĘŚĆ II

Telefon w bibliotece odebrała praktykantka i kiedy Felicja zapytała o Justynę, dziewczyna odparła:

– Tak, już jest, proszę chwileczkę poczekać, zaraz ją zawołam.

Trwało to rzeczywiście krótko, Felicja przełączyła aparat na głośnomówiący i przeszła do aneksu kuchennego, by nalać sobie herbaty, ale nie zdążyła.

– Biblioteka, Justyna Ryba, słucham? – Po kilkunastu sekundach usłyszała głos młodszej z bibliotekarek.

Felicja szybko zawróciła.

– Dzień dobry, pani Justynko, tu Felicja Stefańska.

– Pani Felicjo, dobrze, że pani dzwoni, bo ja właśnie siedzę nad materiałami dla pani. Bardzo przepraszam, że wcześniej się nie odzywałam, ale dziecko mi się pochorowało i nawet całą bibliotekę musiałam zostawić pod opieką praktykantki, która przychodziła na dwie godziny dziennie, by odebrać i wydać książki, bo kierowniczką na urlopie, za granicą, a pech chciał, że i teściowie akurat wyjechali do sanatorium, no i nie miałam z kim zostawić małej... Dopiero dziś wróciłam do pracy. A mąż, sama pani wie, w trakcie tego śledztwa jest zupełnie wyłączony, jakby go nie było... – Justynka prawie się zapowietrzyła, ponieważ całą tę długą przemowę wygłosiła na jednym wydechu.

Dziennikarka przerwała jej, by uspokoić młodą kobietę.

– Pani Justyno, ależ proszę się nie tłumaczyć! Pani przecież robi mi przysługę. Prawdę mówiąc, sama o tym nie myślałam, tyle się działo... Dopiero sobie przypomniałam. Nic nie szkodzi, naprawdę.

– Ale nadal pani potrzebuje tych materiałów? – upewniła się zaniepokojona Justyna.

– Tak, jak najbardziej! Teraz dopiero naprawdę są mi potrzebne. Będę wdzięczna, jeśli mi je pani przygotuje. – Stefańska skinieniem głowy podziękowała Malinowskiej za herbatę, którą współpracownica postawiła przed nią.

Upiła łyk, żeby zwilżyć gardło. To był kolejny telefon od rana: dziś przypadał jej dzień kontaktu z mieszkańcami gminy.

– Och, to super, bo już się zdenerwowałam, że nawaliłam – kontynuowała bibliotekarka. – A ja nie lubię nawalać, taka akuratna jestem z natury...

– Wiem o tym doskonale! – Felicja zaśmiała się życzliwie w odpowiedzi. – To kiedy mogę po to przyjść?

– Och, nawet jutro! Będę gotowa!

– Dobrze, w takim razie najpierw zadzwonię. Proszę się nie śpieszyć, ma pani przecież swoje życie. Jeśli to będzie na pojutrze, też będzie dobrze. Bardzo pani dziękuję, jest pani po prostu niezastąpiona – dokończyła szczerze, z uśmiechem na ustach.

– Nie ma problemu. Zawsze chętnie pomogę!

– A więc do zobaczenia wkrótce.

– Tak! Do widzenia!

Kiedy Felicja skończyła rozmowę, Kasia wstała od komputera i podeszła do niej ze swoją kawą. Usiadły razem w kąciu wypoczynkowym.

– Miła ta żona naszego Zygmunta – zauważyła. – Zawsze chętna do współpracy. Przygotuje ci tę dokumentację?

– Tak, już jesteśmy umówione. A co u ciebie, młoda? Miałaś sprawdzić życiorysy tych trzech ofiar.

– I sprawdziłam! – obruszyła się Malinowska. – Całe dwa dni nad tym siedziałam. Właśnie miałam ci zameldować.

– Coś ciekawego? – Felicja powoli popijała mocny, gorący napój. Miała ochotę zapalić, ale zrezygnowała: Bury spał obok na fotelu.

Kaśka wzruszyła ramionami, lekko się przy tym krzywiąc.

– Nie wiem, moim zdaniem nic specjalnego – odparła. – Marek Kownacki. Jak wiadomo, był zaangażowanym narodowcem, już w szkole średniej udzielał się w młodzieżówce, a później działał w partii, w strukturach lokalnych, tam nawet całkiem wysoko zaszedł, ale w wyborach samorządowych przeszedł jako niezależny. Ludzie go tutaj nie znali, bo on dopiero niedawno zamieszkał na terenie naszej gminy, wcześniej przebywał w Gdańsku. Tam się urodził, uczył się i studiował. Studiów nie ukończył, bo działał w polityce, organizował manifestacje i tak dalej. Wyborcy postawili chyba na jego młody wiek. Dopiero potem wyszło, że z Kryszewa pochodziła jego matka. Dlatego pewnie tu wrócił, może wyczuł karierę, w Gdańsku miał za dużą konkurencję. Dziadkowie pozostawili mu w spadku stary dom, który od

razu sprzedał i kupił sobie dwupokojowe mieszkanie na dużym osiedlu, na granicy gminy. Mieszkał sam, nie miał żony ani narzeczonej, kobiety zmieniał jak rękawiczki, ale z żadną się nie chciał wiązać. Jego matka wybyła z gminy zaraz po wyjściu za mąż za ojca Marczyka, też sympatyka ruchów narodowych. Matka nie żyje, za to ojciec ma się dobrze i za śmierć syna obwinia... wszystkich.

– Uroczy chłoptaş – skomentowała Stefańska.

– Fakt – przytaknęła Kasia. – Następny. Zagórny. Ostatnio zastępcą wójta, wcześniej radny gminy. Liberał. Związany z „obozem” pani Grety. Też jeszcze młody, choć starszy od Kownackiego o dziesięć lat, doświadczony, zawodowy samorządowiec. Życiorys wzorcowy: dobre studia, kariera, rodzina. W gminie osiadł kilka lat temu, gdy kupił działkę i wybudował dom. Pochodzi z Trójmiasta, co najmniej od dwóch pokoleń. Osierocił dwoje dzieci, ale podobno żona ma kochankę, więc dzieci nie zostaną bez ojca, którego i tak rzadko ponoć widywały... Nie patrz tak na mnie, to nie są moje słowa, tylko cytaty! Ona sama tak się niby wyraziła, a wzięłam to z jakiegoś internetowego forum. Ile w tym prawdy, nie mam pojęcia, może pani Greta będzie lepiej się orientować. Mówiłyście, że rozpaczła po śmierci męża, więc może to plotki, jakich wiele w sieci. Aha, pan Zagórny miał opinię cynika i karierowicza, ale to już wiesz...

– Wiem. Wal dalej, Kaśka.

– Zgierski. Zupełnie nieciekawym życiorys! Miejscowy, z tych napływowych, co tu osiedli po wojnie, rodzina przybyła ze wschodu, z kresów. Tutaj mieszkał przez całe swoje życie, studia ekonomiczne ukończył w Gdańsku, po studiach od początku pracował jako urzędnik w administracji gminy. Powolutku piął się po szczeblach kariery urzędniczej, aż doszedł do stanowiska szefa referatu. I na tym zakończył. Żeby zajść wyżej, musiałby chyba mieć inny charakter, odwagę, więcej wyobraźni, rozmach, a on był przeciętnikiem: cichy, szary, ale bardzo pracowity. Najstarszy z tej trójki, pięćdziesiąt lat, stary kawaler. Zgadza się, chorował na serce, sprawdziłam to. Już kiedyś miał stan przedzawałowy, wtedy przyjechało po niego pogotowie. Leczył się od paru lat, regularnie kupował leki na receptę. No i to by było na tyle...

Stefańska dopiła herbatę zamyślona.

– Czyli jeden napływowy, a dwóch miejscowych... – zauważyła, mrucząc pod nosem, bardziej do siebie niż do asystentki.

Kaśka jednak usłyszała i sprostowała:

– Nie do końca. Kownacki też był w zasadzie napływowy. Bo co on w sumie miał wspólnego z Kryszelem? Nic.

– Ale rodzina pochodziła stąd.

– Myślisz, że to ważne?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami Felicja i podniosła się z wersalki. – Okaże się. Warto jednak sobie to zanotować w pamięci. Bo teraz zajmujemy się... Zgadnij, młoda! – Usiadła przed swoim komputerem.

– A co to za zagadka? Nie wiem. Czym?

– Bajkami o diable z kuźni i jego skarbach. Między innymi.

\*\*\*

Biblioteka gminna sprawiała wrażenie opuszczonej. Można było zgubić się między półkami. Cisza aż dzwoniła w uszach. Jakby żyły tutaj tylko książki. Rok szkolny jeszcze się wprawdzie nie skończył, ale dzieciaki miały własną bibliotekę, z kolei maturzyści już zdawali egzaminy, a nie przygotowywali się do nich. Felicja jednak wręcz napawała się tym szczególnym, kojącym spokojem, płynącym z setek historii zamkniętych pomiędzy kartkami. Przez chwilę stała, z nostalgią wchłaniając ich zapach, potem rozejrzała się w poszukiwaniu bibliotekarki.

– Dzień dobry! – rzuciła w przestrzeń, w nadziei, że ktoś ją usłyszy i zauważy. Rzeczywiście, dopiero wtedy dotarł do niej szelest i zza stojącego w głębi regału uniosła się zawstydzona młoda dziewczyna.

– O, dzień dobry, przepraszam... Robiłam porządki na półce i się zaczytałam! – wyznała ze skruchą.

– To najfajniejsze wyjaśnienie, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek usłyszeć. – Zaśmiała się życzliwie Felicja. – Domyślam się, że pani jest praktykantką?

– Tak. Dziękuję. – Zarumieniła się kandydatka na bibliotekarkę. – Pani przyszła wypożyczyć książkę?

– Nie, w zasadzie to nie. Jestem umówiona z zastępczynią kierowniczką. Czyżby jej nie zastała?

– Z panią Justyną? A, to już wiem! Mówiła mi o pani. Niestety, musiała szybko wyjść, bo zatrud-



nili opiekunkę do dziecka, ale ta niania chyba sobie nie poradziła, bo zadzwoniła do pani Justyny, spanikowana, że małą boli brzusek i że płacze, więc pani Justyna wołała nie ryzykować...

– Aha. Trudno, przyjdę jutro. – Felicja zebrała się do opuszczenia biblioteki, ale dziewczyna zatrzymała ją.

– Zostawiła coś dla pani! Pani jest tą dziennikarką, prawda? Na pewno. Wygląda pani na dziennikarkę! – Obrzuciła wzrokiem Felicję odzianą w stare wytarte dżinsy i wysłużone trapery, kamizelkę khaki z licznymi kieszeniami, plecak oraz torbę fotograficzną przerzuconą przez ramię.

– Zgadza się. Felicja Stefańska. – Starła się ukryć rozbawienie.

– O, właśnie! Zapamiętałam. Proszę chwilę poczekać, muszę po to pójść na zaplecze. Przypilnuje pani przez ten czas biblioteki?

– Pewnie. Nie macie tu teraz za dużego ruchu?

– No, nie za bardzo – strapiła się praktykantka. – Dopiero późnym popołudniem przychodzą stałe czytelniczki, ale nie jest ich wiele. Zimą mamy większy ruch, widocznie ludzie wtedy więcej czytają, a teraz siedzą już w ogrodach...

– To możliwe.

– Przynajmniej nie mam za dużo pracy, mniej stresu i mogę poczytać. – Uśmiechnęła się. – Za chwilę wracam.

Felicja przeszła się pomiędzy regałami, zerkając na tytuły i żalując, że ma ostatnio tak mało czasu na czytanie. Życie pędziło jak szalone, ciągle coś się działo, jak nie w wielkim świecie, to w gminie. Pandemia się skończyła, ale wojna za polską granicą wciąż trwała, przyjmując mniej czy bardziej kuriozalne formy. Zbliżały się wybory, radni prześcigali się w pomysłach, by jak najlepiej wypaść w oczach wyborców. To wszystko trzeba było śledzić, relacjonować. A na domiar złego morderstwa.

Takie czasy, że i przestępcy mają pole do popisu, pomyślała z ironią.

– Już jestem! – Usłyszała za plecami głos praktykantki i wróciła do stolika. – W tej teczce pani Justyna przyszykowała dla pani raport. A w tej żółtej są kserokopie i notatki. Wszystko jest tam opisane. – Dziewczyna podała dziennikarce materiały, starannie opakowane w torebkę foliową.

– Wspaniale! To nawet więcej, niż oczekiwałam. Teczki przy okazji oddam.

– Nie trzeba! – Machnęła ręką. – Nam ich nie brakuje, mamy tego dużo. Pani kierowniczka wyraźnie powiedziała, że to wszystko jest dla pani. I kazała powtórzyć, że jakby pani jeszcze czegoś potrzebowała, to będzie pod telefonem i że chętnie pomoże. Od przyszłego tygodnia na pewno już będzie w pracy, bo czeka nas remanent. Nawet jestem go ciekawa, bo to będzie mój pierwszy – dodała zadowolona.

– No tak. Remanenty mogą być zabawne. Bardzo pani dziękuję, życzę spokojnej pracy i miłego czytania. A do pani Justyny zadzwonię i osobiście jej podziękuję. – Felicja włożyła dokumenty do plecaka, pożegnała się i z lekkim uczuciem żalu opuściła biblioteczne mury.

W drodze do domu postanowiła wstąpić do sklepu Teresy Gut, byłej zakonnicy, która uciekła z klasztoru, by wyjść za męża. Felicja lubiła ten sklepik w dawnym stylu „mydło i powidło”. Sentymentalny relikw, nostalgia, ale przynajmniej mogła tutaj wszystko kupić. Chciała uzupełnić zapasy, bo Kaśka wciąż jej wytykała, że ma stale pustą lodówkę, i zносиła swoje słodkie buły drożdżowe, niby na śniadanie, do kawy. Felicja ich nie tolerowała, twierdząc, że tylko zapychają, nic nie dając wartościowego. Teraz jednak przypomniało się jej, że demoniczna sklepikarka już raz jej pomogła w poprzedniej sprawie, naprowadzając na pewien trop. Może i była lekko zwariowana, ale dużo wiedziała. Nie zaszkodzi pociągnąć ją za język.

Sklep znajdował się po drodze, nieopodal jej redakcji, ominęła więc szerokim łukiem duże i gwarne centrum handlowe, podążając prosto do celu. Gdy weszła do niewielkiego mrocznego lokalu, zastała tylko jedną osobę przy ladzie, jakąś starszą kobietę. Teresa pakowała jej zakupy do papierowej torby. Innych siatek nie uznawała. Na widok dziennikarki uniosła porozumiewawczo brwi.

– Co ma być? – zapytała, kiedy poprzednia klientka wyszła.

– Dzień dobry, pani Tereso. Chyba jak zwykle: cztery jogurty naturalne, dwa owocowe, pół kilo jabłek, tych zielonych, cztery banany, chrupkie pieczywo, dwa opakowania, dwa serki wiejskie... – wyliczała Felicja. – I sok! Pomidorowy, poproszę.

– I papierosy – uzupełniła sklepowa kpiąco. – Też na zdrowie. Służę. – Sięgnęła po papierową torbę, do której wrzuciła produkty.

– No, owszem...

– Coś jeszcze?

– Tak. – Felicja obejrzała się, sprawdzając, czy ktoś nie wchodzi, po czym nachyliła się ku ladzie.

– Potrzebuję porady.

Teresa Gut zerknęła na nią bystro, poprawiając staromodny wysoki czepek, w którym wyglądała jakby wyjęta z kart starej bajki dla niegrzecznych dzieci.

– Nieboszczyki w kuźni? – rzuciła domyślnie.

– Śledzi pani tę sprawę?

– Nie.

– Nie?

– Na co mi to? Nie muszę niczego śledzić. I tak swoje wiem.

– A mogłaby pani...

– Co chcesz wiedzieć, dziewczyno? Nie krąż, tylko pytaj. – Kobieta posłała dziennikarce ten swój dziwaczny półuśmiech, w którym nie było krzty wesołości.

Felicja wzruszyła niepewnie ramionami.

– Właściwie to sama nie wiem, o co chcę zapytać – przyznała. – Błądzą we mgle, po omacku. Pojęcia nie mam, kto lub co stoi za tymi morderstwami...

– Historia. – Teresa wyprostowała się, jakby urosła. – Historia, moje dziecko.

– Jaka historia?

– Historia to historia. Czyli nasze wczoraj. To jest jeden ciąg, jedno wynika z drugiego, nic się nie dzieje bez przyczyny, wszystko ma swoje źródła i następstwa. Sami w sobie nic nie znaczymy. Jesteśmy lustrzanym odbiciem. Rozumiesz? – Podała jej tym razem czerwone jabłko. – Skosztuj tego – zaproponowała. – To bardzo stara odmiana. I wciąż ma ten sam smak. Jesteśmy jak te owoce... – zawiesiła głos.

Gdy wpatrywała się w nią intensywnie, z kpiącym uśmiechem na białych ustach, jeszcze bardziej skojarzyła się Felicji z czarownicą z baśni.

– Nie bój się. Nie jest zatrute – zadrwiła sklepowa, jakby słyszała jej myśli.

– Nie myślałam tak. – Reporterka sięgnęła po jabłko. Nadgryzła kawałek, było doskonałe: słodkawe, ale i kwaśne, aromatyczne i orzeźwiające. – Przepyszne! Kupię ich więcej, jeśli można.

– Proszę. – Teresa dorzuciła kilka owoców do jej torby. – Na koszt firmy.

– Dziękuję. Czyli mam zagłębić się w przeszłość, tak? – zapytała zadowolona, że intuicja jednak jej nie zawiodła.

– Nie ma przeszłości – odparła z powagą niedoszła zakonnica. – Czas jest jednością. Szukaj w niej, w tej jedności. Nic nie przemija, wszystko zostawia swój trwały ślad. Szukaj śladów w czasie.

– A dlaczego zginęli ci radni?

– Oni też szukali. Tylko źle. Zgubili się.

– Jak to? Czego szukali?

– Tego nie wiem. Każdy czegoś szuka. Ale patrzyli tylko w jeden wymiar. Nie widzieli nic oprócz niego. I wpadli w otchłań. – Pani Gut pokiwała głową w zadumie.

Felicja poczuła ciarki, zrobiło jej się zimno, jakby powiało chłodem, choć dzień był ciepły. Nieprawdopodobne, jak ta kobieta na nią działa! Coś w niej jest. Coś nie z tej ziemi.

– A legendy o skarbach i diable? – zapytała, by uwolnić się od uczucia dyskomfortu, może nawet lęku. – Grają w tym jakąś rolę? Może szukali skarbów?

Sklepowa zachichotała. Jej śmiech wydał się Felicji upiorny.

– Miła pani redaktor, swojego diabła każdy z nas nosi w sobie. – Usłyszały stuk otwieranych drzwi, do środka wtoczył się nietrzeźwy facet, a za nim dwie nastolatki. – Hola, hola, mości panie! Wynocha mi stąd! – zagrzmiała. – Ale już! Nie sprzedajemy w tym sklepie alkoholu i nie przyjmujemy pijanych.

Pijak zmył się, mamrocząc coś tylko pod nosem.

– Co dla was, dziewczynki?

Dziewczyny poprosiły o lody. Teresa podeszła do chłodziarki, lecz przystanęła i zwróciła się do stojącej jak zaczarowana Felicji:

– Dziękujemy za zakupy. Do widzenia pani. Życzę dobrego dnia. Zapraszamy ponownie do naszego sklepu.

\*\*\*

Felicja musiała przyznać, że Justynka Ryba rzeczywiście świetnie się spisała, zwłaszcza że miała na głowie chore dziecko. Co profesjonalizm to profesjonalizm. Zresztą Ryba kiedyś wspominał, że pasją jego żony, jeszcze na studiach, była bardziej archiwistyka i informacja naukowa niż klasyczne bibliotekoznawstwo. Dziewczyna kompleksowo potraktowała temat i na podstawie różnych źródeł sporządziła

zestawienie kluczowych informacji, które dla uproszczenia nazwała skromnie raportem.

Dziennikarka znalazła go w pierwszej teczce: przejrzysty opis historii budynku, od momentu powstania do czasów współczesnych, wraz z cytatami źródłowymi. Szybko przebiegła wzrokiem tekst napisany na komputerze, z zadowoleniem odnotowując, że bibliotekarka ujęła w nim również podania i legendy. Zapewne wiedziała, że Felicja je lubi.

W drugiej teczce znajdowały się osobno wydrukowane skany ilustracji: rycin i zdjęć wraz z odręcznymi uwagami o ich pierwotnym miejscu publikacji.

– Idealnie! – pochwaliła. – Odwaliła za mnie całą robotę. Nie będę musiała się przez to przekopywać i składać do kupy, mam wszystko chronologicznie i czarno na białym. Spodziewałam się raczej, że tylko zeskanuje mi poszczególne artykuły lub fragmenty opracowań i tyle.

– To ładnie z jej strony – przyznała Kaśka.

– No, zwłaszcza że jej mała się przeziębiła.

– No tak, Zygmunt przecież zaangażowany w śledztwo...

– A teściowa w sanatorium.

– Biedna kobieta z tej Justyny – westchnęła Malinowska. – Na szczęście mnie to nie czeka. Nie zamierzam wychodzić za mąż.

Felicja uśmiechnęła się pod nosem, ale życzliwie zauważyła:

– Nigdy nie mów nigdy, młoda! Tak się tylko gada, dopóki nie spotka się kogoś, z kim chce się dzielić życie i razem się starzeć. Też to przerabiałam. – Wzruszyła ramionami. – I na starość mi się zmieniło...

– Na jaką starość?! Ty zawsze będziesz młoda. Ale okej, zaczekam z decyzją, aż będę w twoim wieku! – Kasia również się roześmiała. – Bo do tej pory kogoś takiego nie spotkałam. I przynajmniej dzieci uniknę.

– Kaśka, ty przecież lubisz dzieci?

– Tak, ale cudze – skwitowała beztrąsko. – Wolę realizować się w pracy, w swoich pasjach, zainteresowaniach. W tym się spełniam. Trudno. Od lat marzyłam, żeby być dobrą dziennikarką. Niech inni płodzą potomstwo.

Stefańska jakby słyszała siebie sprzed lat. A zdawało się jej, że Kaśka jest taka... poprawna, pozytywna! W sensie społecznym.

– No cóż, takich raczej nie zabraknie. Każdy ma prawo żyć tak, jak czuje, że powinien. Choć ty jeszcze jesteś w takim wieku, że może ci się to zmienić – podsumowała. – Zabieram się teraz do czytania raportu, a później napiszę tekst, który wykorzystamy do naszego reportażu. A ty co masz na dziś?

Malinowska przewróciła oczami.

– Ja? Nowy odcinek drogi oddany po remoncie, ścieżkę rowerową i akcję charytatywną – odparła. – Mam wyliczać dalej?

– Młoda, nie marudź. Ktoś musi się zająć prozą życia. Ale jutro będę miała dla ciebie nowe zadanie.

## STARA KUŹNIA W KRYSZEWIE

*Dawniej na terenie Kryszewa działało kilka dużych kuźnic z napędem wodnym, a także mniejsze kuźnie, jednak najstarsza – do dziś zachowana w leśnej dolinie – powstała w XVII wieku. Dokładnie 14 kwietnia 1642 w Warszawie ówczesny król Polski Władysław IV Waza wystawił dokument: *Feria Secunda post Dominicam Ramis Palmarum Quadragesimale* (staropolskie datowanie urzędowe). Podano w nim, że król zezwala wpisać do ksiąg kancelarii mniejszej koronnej dokument oblatowany w urzędzie przez Arnolda von Holtena, podpisany przez samego monarchę oraz przez Jana Gembickiego, sekretarza jego królewskiej mości. W akcie tym król nadał mieszczaninowi Janowi Borckmanowi, rajcy gdańskiemu, prawo do zbudowania na terenie należącym do Gdańska, w Kristkau (obecnie Kryszewo), specjalistycznej kuźnicy do wyrobu blach, jakiej do tej pory nie było w całym królestwie. Prawo to zostało nadane rajcy na wyłączność przez okres dwunastu lat: „Nikomiu innemu nie wolno będzie przez dwanaście lat budować podobnego urzędnictwa w królestwie, zwłaszcza w ziemiach pruskich, kara ustanowiona zostaje w takim przypadku na tysiąc złotych węgierskich” (przekład z łaciny).*

*Dalsze losy kuźni nie są dokładnie znane, zapewne prosperowała bez zakłóceń, przechodząc przez różne ręce, aż do końca wieku XIX, kiedy zakupiła ją pochodząca z Gdańska bogata kupiecka rodzina Holzrichterów, do których należała wówczas większość ziem i dóbr na tych terenach. Już jednak około roku 1912 pojawiła się konkurencja, aż w końcu Holzrichterowie – zagrożeni bankructwem – zdecydowali się na sprzedaż kuźnicy. Nabył ją wówczas okazynie pewien lokalny niemiecki przedsiębiorca, któ-*

remu jednak interes nie szedł i który po kilku latach również sprzedał posiadłość wraz z budynkiem kuźni. Nowym właścicielem został Markus Davidsohn, dobrze prosperujący kupiec pochodzenia żydowskiego. Nie zamierzał on jednak zajmować się kuźnictwem. W tamtych czasach funkcjonowały już w tej okolicy nowoczesne zakłady, tymczasem historyczna stara kuźnia należała do upadających: przez lata stała nieczynna, a nieużytkowana powoli niszczała. Davidsohn przebudował ją, po czym otworzył w jej murach elegancki pensjonat wraz z restauracją, kawiarnią oraz salą bankietową lub też taneczną (dancingową) dla licznych tutaj wtedy turystów i kuracjuszy. Obiekt szybko stał się modny i zaczął przyciągać gości...

Również w tamtym okresie rozpowszechniły się związane z budynkiem starej kuźni legendy, a może też zwyczajne plotki. Bardzo prawdopodobne, że miały one swoje źródła w dawnych podaniach ludowych, jednak nowy właściciel obiektu celowo je rozpropagował, bo wiadomo że historyczne miejsce potrzebuje lokalnego kolorytu. Dreszczyku emocji dostarczała odwiedzającym szczególnie postać diabła. Z tego też czasu prawdopodobnie wywodzi się popularny do dziś mit o diable szlachcicu, który kazał podkuć siebie oraz swojego rumaka, a w zamian pozostawił kowalom ślad swego kopyta, ale także bogaty skarb złożony z mnóstwa złotych monet, który podobno nadal istnieje ukryty w tych starych murach. Został jednak obłożony klątwą. Każdy śmiałek, który pokusi się o nielegalne jego zdobycie, zginie i zostanie porwany do piekła.

*Diabeł bowiem upodobał sobie grzech chciwości.*

Żeby bajka zapadła wszystkim w pamięć, Davidsohn nazwał swój pensjonat Pod Czarcim Kopytem. Z pewnością był to chwyt marketingowy świadczący zresztą o poczuciu humoru, Markus Davidsohn bowiem uchodził za światłego, wykształconego, postępowego człowieka, nowoczesnego biznesmena należącego do elity społecznej i intelektualnej. Nie pasował do stereotypu typowego prowincjonalnego Żyda. Był podobno niewierzący, ale ożenił się z katoliczką, gdańszczanką polskiego pochodzenia, i miał z nią dzieci. Lubiany i szanowany w okolicy, przyjaźnił się zarówno z Żydami, jak i z Polakami oraz Kaszubami, nawet z pomorskimi Niemcami. Był zamożny, popularny, działał charytatywnie na rzecz mieszkańców, prowadził różne fundacje i wspierał inicjatywy społeczne.

Wszystko uległo zmianie, kiedy władzę w Wolnym Mieście Gdańsku przejęli zwolennicy Hitlera. Już w latach trzydziestych dochodziło do prowokacji, jednak za Davidsohnem murem stali lokalni notable, a że rodzina – poprzez praktykującą żonę – dość powszechnie uchodziła za chrześcijańską, więc cieszył się względnym spokojem. Podobno nie wszyscy zdawali sobie nawet sprawę z semickich korzeni hotelarza. Niestety, gdy wybuchła wojna, Davidsohnowie podzielili los innych obywateli pochodzenia żydowskiego: prawdopodobnie na początku lat czterdziestych zostali pozbawieni majątku, wysiedleni i deportowani najpierw do gdańskiego getta na Wyspie Spichrzów, a stamtąd do któregoś z wielu obozów zagłady w Generalnym Gubernatorstwie. Cała rodzina zginęła, nie oszczędzono polskiej żony, a nawet małoletnich dzieci.

Pensjonat w starej kuźni przejęli stacjonujący w Kryszewie niemieccy oficerowie, którzy urządzili tam archiwum przeniesione częściowo z budynku uzdrowskiego (później starej szkoły, obecnie w rozbiórce). Plotki głoszą, że wśród zabezpieczonych dokumentów znajdowały się tajne materiały niemieckiej marynarki wojennej, dotyczące nowej broni oraz okrętów podwodnych. Inna pogłoska mówi, że Niemcy prawie rozebrali budynek, ponieważ szukali majątku, który ukrył gdzieś Markus Davidsohn, spodziewający się w każdej chwili deportacji. A może i przy okazji szukali diabelskich skarbów? Czy coś znaleźli? Tego nikt nie wie.

Diabeł ich w każdym razie ukarał rękami sowieckiej armii. Musieli w popłochu opuszczać Kryszewo, wielu po drodze zginęło, budynek kuźni również ucierpiał w walkach. Rosjanie zamienili go w swój tymczasowy sztab. Oni również przekopali teren wzdłuż i wszerz, tak przynajmniej twierdzili mieszkańcy. Być może nawet coś stamtąd wywieźli. Tego też nikt do końca nie wie.

Po wojnie stara kuźnia ponownie opustoszała. Owiana złą sławą, stała niezagospodarowana, nieremontowana i powoli niszczała. Dopiero w latach sześćdziesiątych zaczęły powstawać pierwsze odgórne projekty przystosowania budynku do jakiejś działalności, jednak żaden z nich ostatecznie nie doczekał się realizacji. Ludzie bali się sił nieczystych, a zdarzające się na terenie budynku wypadki (w tym prawdopodobnie też morderstwo, o które obwiniano diabła) pogłębiały zabobonny lęk.

\*\*\*

– Bardzo ciekawe – skwitowała Malinowska następnego dnia rano po przeczytaniu tekstu naszkicowanego przez Felicję. – Ale ja już mniej więcej znam tę historię. U nas wszyscy chyba słyszeli o tym diable i o tym, że przed wojną w starej kuźni był hotel czy coś w tym rodzaju. Oczywiście o szczegółach nie wiedziałam. Ale co my mamy z tym zrobić? Chcesz się teraz skoncentrować na wątku domniemanych

skarbów? – Wzruszyła ramionami i podmuchała na swoją kawę, by ją choć trochę przestudzić. – Myślisz, że oni zginęli, bo szukali skarbów?

– Niedosłownie – odparła Felicja. – Ale czuję, że przeszłość tego budynku ma tu znaczenie. Trzeba przyznać, że mieliście tu naprawdę ciekawą historię. Z jakiegoś powodu chcieli przejąć tę kuźnię do tego stopnia, że wpakowali się w kłopoty. To nie jest przecież aż tak atrakcyjny obiekt sam w sobie...

– Czyli bierzemy łopaty i idziemy tam kopać? – ironizowała Kaśka.

Stefańska wiedziała, że dziewczyna czuła się rozczarowana brakiem wyników i perspektywą żmudnego grzebania w archiwaliach. Wolałaby pewnie śledzić gangsterów, choć już raz dostała po głowie i spędziła kilka miesięcy w szpitalu.

– Cóż za dowcip! – Też zakpiła. – Nie zniechęcaj się, młoda. Od czegoś trzeba zacząć. Będziemy kopać, ale nie łopatą. Będziemy się przekopywać przez to! – Postukała palcem w stertę wydruków.

Malinowska nadal nie wydawała się przekonana.

– Czyli co? – Przewróciła oczami. – Tam nawet nie ma konkretów. Gdyby choć było więcej danych, coś, czego się można chwycić...

– I właśnie o to chodzi. – Stefańska spoważniała. – Od tego zaczniemy. Tych danych musimy same poszukać. Mamy tu zarys historii. Teraz trzeba poznać szczegóły, dowiedzieć się, jak naprawdę było. O co chodziło z tymi skarbami. Nie kpij sobie. W czasie wojny dochodziło do różnych rzeczy.

– Nie zaprzeczam, ale...

– Wiem. – Felicja podniosła rękę. – To brzmi mętnie. Rozumiem. Ale nie pierwszy raz szukamy po omacku. Nie widzę w tej chwili innego wyjścia, możemy co najwyżej nic nie robić i resztę zostawić policji. Tylko że wtedy nie będziemy miały dobrego tekstu do wakacyjnego numeru.

– Czyli co robimy?

– Szukamy ludzi, którzy mogą coś jeszcze pamiętać.

– Takich raczej nie zostało już tutaj wielu – zauważyła z powątpiewaniem Malinowska.

– Ale każdy miał przecież rodziców czy dziadków, nie? Musimy dotrzeć do tubylców, czyli ludzi, których rodziny przeżyły wojnę na tych terenach. Nie masz kogoś takiego?

– Nie, my jesteśmy napływowi. Wiem, że część rodziny pani wójt to autochtoni – westchnęła Kaśka. – Ale wątpię, czy pani Greta zna tę historię. Raczej mało kto będzie znał. To już dosyć odległe czasy.

– Więc musimy znaleźć takich, którzy znają lub przynajmniej coś więcej o tamtych czasach słyszeli i zapamiętali.

– Okej. – Dziewczyna odzyskała wreszcie błysk w oku. – Fakt, że lepiej robić cokolwiek niż nic. Bałam się, że będziemy musiały dać sobie z tym spokój, ale cieszę się, że działamy dalej. Pomyślę, od kogo by zacząć.

– Świetnie. – Stefańska skinęła głową z aprobatą. – Mimo wszystko lepiej znasz środowisko ode mnie. A ja zadzwonię do sołtyski. O ile sobie dobrze przypominam, zaproponowała, że nas oprowadzi po starej kuźni.

\*\*\*

– Oczywiście, że chętnie panie oprowadzę! – zadeklarowała Teresa Mruk. – I tak miałam tam zajrzeć, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku po tym... po tym wszystkim. Ale czy policja na to pozwoli?

– W tym już moja głowa – odparła Felicja. – Dowiem się tylko, czy technicy skończyli tam pracować. A jeśli tak, to na kiedy możemy się umówić?

– To może na pojutrze? Przy okazji zajrzę do pani Bagińskiej i do moich dzieci.

– Pojutrze, świetnie. To pani syn z żoną mieszkają u nich na stałe?

– Tylko wtedy, kiedy pan Krystian wyjeżdża. Żeby nie zostawiać starszej pani samej na tym odludziu, zwłaszcza teraz.

– Rozumiem, to bardzo dobrze, pani Tereso. W takim razie...

– Ale co tam się wyprawia, pani redaktor, to mi się już w głowie nie mieści! – przerwała jej sołtyska. – Czemu bandziory upodobały sobie naszą kuźnię?! Tyle czasu był tam spokój, co najwyżej diabeł straszył. Ale on niegroźny. A teraz? Straszne, co się dzieje! Słyszałam, że to pani znalazła ciało i tego... tego mordercę. To prawda?

– Znalazłam ciało, to fakt, choć tamten człowiek, czyli ten podejrzany, był tam przede mną – przyznała Stefańska. – Nie wiem, czy to morderca. Może tylko natknął się na zwłoki tak jak ja. Policja dopiero bada sprawę.

– Ale ściagała go pani?  
– Próbowałam, nie udało mi się. Facet też już nie żyje, zostawmy go w spokoju. Zaczekajmy na wynik śledztwa.

Usłyszała, że pani sołtys wzdycha.

– Tak, tak, ma pani rację. Zaczekajmy. A co panie chcą robić w kuźni? – zapytała nieufnie.

– W zasadzie nic, tylko obejrzyć. To teraz takie sławne miejsce...

– Czyli pozwiedzać?

– No właśnie. Jeśli można, chciałabym zrobić także kilka zdjęć na potrzeby redakcji – uprzedziła.

– Ależ nic nie stoi na przeszkodzie. Oczywiście. Będziecie pisać o naszej kuźni artykuł do gazety?

– Artykuł albo reportaż.

– No tak, no tak. Chętnie przeczytam. Więc umawiamy się wstępnie na pojutrze? Koło południa może być?

– Jak najbardziej. Zadzwoń wcześniej.

– Tak, tak, niech się pani dowie, czy policja pozwala. No i żebyśmy się tam znowu na jakie zwłoki nie natknęły...

Felicja podziękowała i rozłączyła się z myślą, że na zwłoki może nie, ale plamy krwi pewnie zostały. Bo kto by je zmył, gliny? Oni zazwyczaj tego nie robią. Też nie miała ochoty po raz kolejny oglądać makabry.

Kaśka tymczasem już od rana wisiała na telefonie, a teraz z roziskrzonym wzrokiem, nucąc coś pod nosem, parzyła herbatę. Zieloną, kurczę, zauważyła Stefańska niechętnie.

– Ej, młoda, dla mnie zrób czarną!

Asystentka zerknęła na nią przez ramię z dezaprobatą.

– Przecież wiem – rzuciła w odpowiedzi. – Zielona jest dla mnie. Zamiast kawy, bo już wypilałam cztery w czasie tych poszukiwań.

– I co, masz kogoś, od kogo mogłybyśmy zacząć?

– A mam. – Malinowska uśmiechnęła się z satysfakcją, zalewając wrzątkiem napar w drugim czajniczku.

– No to gadaj, smarkata, nie drocz się ze mną. I dawaj tę herbatę, bo zanim ty odstawisz tę całą swoją celebry, to mi gardło do końca wyschnie. – Wzięła od niej dzbanek i zaniósła go do stolika. – No i? – zaatakowała dziewczynę, gdy tylko ta przysiadła się do niej ze swoim kubkiem.

– Mama mi doradziła. – Uśmiechnęła się przekornie Kaśka. – Patrz, a ja zupełnie zapomniałam o tym gościu! Choć dawno temu robiłam z nim wywiad. Jeszcze w szkole...

– Możesz do rzeczy? – warknęła Stefańska.

– Jest taki facet w Adamowie. Starszawy. Prowadzi prywatne muzeum, które udostępnia co łaska zwiedzającym. Wystawia tam różne starocie z regionu, no wiesz... maszyny rolnicze, sprzęty, rękodzieło, jakieś figurki ludowe i tak dalej. To pasjonat. Podobno wie wszystko o historii Kryszewa.

– Starszawy, czyli?

– Nie znam się na tym. – Wzruszyła ramionami dziewczyna. – Starszy od ciebie, no...

– Dzięki wielkie! To wojny raczej nie pamięta?

– Raczej nie. Ty przecież nie pamiętasz. – Zachichotała. – Ale on zbiera różne historie. I jest autochtonem, szczyci się, że jego rodzina mieszka tu od dawien dawna. Ponoć nawet książkę napisał, ale nie znalazł wydawcy, więc tylko rozdawał kserokopie gościom w tym swoim muzeum za parę groszy.

– Okej, więc nawet jeśli sam czegoś nie będzie wiedział, to może nam podpowie, do kogo warto iść. – Felicja z zadowoleniem pokiwała głową. – W Adamowie? To niedaleko. Jeden przystanek. Przejeżdżasz się tam i wybadasz?

– Jasne. – Kasia wypila łyk zielonej herbaty. – Żaden problem. A kiedy jedziemy do starej kuźni?

– Najprawdopodobniej pojutrze. Jutro zamierzam jeszcze przemaglować Gretę. Ona dużo wie, jej ojciec siedział we władzach powiatowych. Nasłuchiwała się od dziecka. Tylko czasem woli nie pamiętać.

– Biedna pani Greta – westchnęła Kasia.

– Też jej współczuję, ale musi pomóc. Aha, zapytaj przy okazji tego muzealnika, czy ma jeszcze kopie swojej książki. Jeśli ma, to weź jedną.

\*\*\*

– Proszę. Dla ciebie herbata, a dla mnie kawka. – Greta wniosła tacę do pokoju dziennego, zwanego przez Felicję salonem, ponieważ w kuchni (gdzie zazwyczaj siadały) rządziła akurat dochodząca pomoc domowa Pazików.

– Byle nie „kawusia” – odparła Felicja z grymasem. – Mam ciarki na to słowo. Serio, rośnie we mnie agresja, jak je słyszę.

Greta Pazik popukała się znacząco w czoło.

– Ty weź się uspokój, bo jeszcze kogoś zabijesz za „kawusie” i pójdziesz siedzieć. Nigdy nie używam tego określenia, więc mi tu nie truj. Nie mam dziś żadnego ciasta, tylko ptasie mleczko. – Rozpakała bombonierkę i położyła ją na stole. – Ale za to cytrynowe, takie, jakie lubisz.

– O, nawet z galaretką, okej. – Felicja wzięła jedną kostkę i spróbowała. – Nie przepadam za słodyczami, ale cytrynowe stanowią wyjątek. – Wzięła drugą i poczuła, że się przesłodziła. Popiła gorzką herbatą, głaszcząc śpiącą obok na kanapie kocicę.

– Wiedziałam. To teraz mów, czym zamierzasz mnie dzisiaj zdręzczać. – Greta westchnęła z rezygnacją. – Chodzi o kuźnię?

– Tak. Wiesz, na czym stoimy?

– W ogóle nie stoicie! Zdaje się, że wszystko się posypało? Tyle przynajmniej wyciągnęłam z Ryby. Coś się w ogóle dzieje w tej sprawie? – Greta napiła się kawy i z gracją sięgnęła po czekoladkę. Kochała słodycze. Felicja od lat zastanawiała się, jak ona to robi, że pomimo ciastek, ciasteczek, torcików wciąż zachowuje świetną figurę.

– No bo ci twoi radni nieźle namieszali – odparła. – Zanim zginęli. Musieli wdepnąć w nieźle gównu. Główny podejrzany odpadł, zresztą najpierw jeden, a potem drugi, więc trzeba szukać od początku. I to robi teraz policja. Badają wszystkie ślady, analizują dane, próbują dojść do numeru telefonu, którego prawdopodobnie używał sprawca. Czyli idą utartą ścieżką, na którą my już nie mamy wpływu.

– To wiem. Zrobili nam kipsisz w urzędzie. Zarekwirowali papiery, wszystko sprawdzają. Sparaliżowało nam to pracę, a i tak mam problem z ludźmi. Radni i urzędnicy boją się teraz własnego cienia. Myślą, że grasuje seryjny morderca, który zabija osoby związane z gminą. Możesz sobie wyobrazić, w jakich warunkach kończę kadencję. – Greta skrzywiła się i dla osłody sięgnęła po kolejne ptasie mleczko.

– Tego jeszcze nie grali! – Zaśmiała się Stefańska. – Muszę to podpowiedzieć Pałce. Takiej hipotezy raczej nie brali pod uwagę.

– Śmieć się, śmieć... – Przyjaciółka łypnęła na nią ponuro. – Dla mnie to mało zabawne. Mam wszystkiego dość.

– Gretka, nie marudź. Muszą to robić, przecież to rozumiesz. Mnie też nie jest lekko, Artura prawie nie widuję. Tęsknię za nim.

– Spokojna głowa. Niedługo będziesz go miała na co dzień.

Felicja pominęła tę uwagę milczeniem. Przez cały czas nie była pewna słuszności swojej decyzji. Przywykła do niezależności, do własnego stylu życia. Teraz jednak nie miała wyjścia, za późno na odwrót. Nie mogłaby skrzywdzić Artura, który już miał za sobą traumatyczne przejścia. Zresztą... Greta wyjedzie, a przynajmniej rzadko tutaj będzie bywać, wszystko się zmieni. Zrozumiała, że ten etap i tak się kończy.

– Bądź cierpliwa – powiedziała ugodowo. – Gliny zrobią swoje i wrócicie do normalnego trybu.

Pazikowa przyjrzała się jej z zainteresowaniem, żując następną czekoladkę. Felicję już by zemdlilo.

– A wy z Kaśką co robicie w sprawie kuźni? – zapytała w końcu Greta. – Bo w życiu nie uwierzę, żeście sobie odpuścili.

– My nigdy nie odpuszczamy, wiesz o tym. Dlatego tu jestem. Chcemy się skupić na przeszłości. Na historii.

– Jak zwykle...

– Tak. I zwykle się nie mylę. Chcę, żebyś się dobrze zastanowiła i spróbowała sobie przypomnieć wszystko, co wiesz o przeszłości starej kuźni. Musiałaś coś słyszeć, choćby jako dziecko.

– Ale ja nic więcej nie wiem oprócz tego, co już ci powiedziałam! – Broniła się Greta. – Niby skąd? Mnie to w dzieciństwie kompletnie nie interesowało. Jakaś kuźnia? Daj spokój! Nawet jeśli gdzieś coś usłyszałam, to...

– Przypomnij sobie! Wszystko może być ważne. Nawet zwykłe ploty. Nie chodzi mi o bardzo odległe czasy. Raczej wojenne i powojenne. O byłym właścicielu, o szkopach, o ruskich, którzy tam stacjonowali, może czegoś szukali, może coś wywieźli? Aha, to chyba ty mówiłaś, że jacyś spadkobiercy z Izraela przepisali własność na gminę. Nie mogłabyś dowiedzieć się czegoś więcej? Co to byli za ludzie, skoro cała rodzina tego hotelarza zginęła? Jacyś dalsi krewni? Żyją jeszcze? Jak się nazywają? I skąd

wzięła się ta nazwa „kuźnia przeklętych”? Dlaczego przeklętych?

Greta Pazik złapała się za głowę.

– Już, to wszystko? – zapytała z ironią. – Skończyłaś tę wyliczankę? Dobrze. Poszperam. Obiecuje. Dokumenty w sprawie darowizny musiały się zachować, znajdę je. Ale co do pamięci, nie ludź się. Na temat starej kuźni wiem tyle, co wszyscy.

W tym samym czasie Kasia Malinowska wysiadła z autobusu w centrum Adamowa i dalej poszła „z buta” w górę ulicy. Muzeum dojrzała już z daleka, rozrosło się w ostatnim czasie i zajmowało teraz większy fragment podwórka: poza właściwym pawilonem wystawowym na wolnym powietrzu zgromadzono stare maszyny i dawne pojazdy rolnicze, wszystkie opatrzone własnoręcznie wykonanymi tabliczkami informacyjnymi. Brama stała otworem, żaden pies nie biegał po obejściu, więc weszła, rozglądając się za gospodarzem. Po chwili z garażu na tyłach skromnej willi w stylu gierkowskim wyszedł młody człowiek.

– Do muzeum?! – zawołał z oddali, wycierając ręce w brudną szmatę, a gdy skinęła głową, dodał: – Pani chwilę zaczeka, zawołam ojca!

Stała, przyglądając się maszynom, ale już po chwili chłopak wrócił ze starszym mężczyzną. Starszy podszedł do niej, młodszy tymczasem wrócił do swojego zajęcia.

– Witam w naszych skromnych progach, Kowalski jestem. Słyszałem, że panienka chce zwiedzić nasze muzeum? – Ucisnęła jej rękę.

– Dzień dobry. Nazywam się Katarzyna Malinowska, jestem z gazety, to ja wczoraj do pana dzwoniłam.

– O! – Mężczyźnie zaświeciły się oczy. – To pani? Nie myślałem, że panienka taka młoda. Z prasy? Tej naszej gminnej?

– Tak. Przygotowujemy reportaż...

– A ja panią chyba, moje dziecko, rozpoznaję! – Starszy pan nie dał jej dojść do słowa. – Nie przychodziła pani do nas dawniej?

– Wiele razy! – Uśmiechnęła się. – Bardzo lubiłam tu przychodzić. Ale byłam wtedy dużo młodszą.

– No! – Klasnęła w dłoń. – Dla mnie starego to nie tak dawno. To miło, że wróciłaś, dziecko. Coraz mniej mamy zwiedzających, teraz społeczeństwo inne, każdy myśli tylko o sobie, nie o historii.

– To smutne – przyznała.

– E, tam! – Machnęła ręką. – Może następne pokolenie będzie mądrzejsze. Razem z synami jakoś sobie radzimy. Mam czterech dorosłych synów i wszyscy mi pomagają. Zaraziłem ich tą pasją. Te maszyny to ich wkład, wyszukiwali je, odnawiali. Teraz najmłodszy robi przy starej zgrabiarence konnej. A żona z kolei bierze na siebie rękodzieło. Te wszystkie hafty i robótki ludowe, nawet dawne stroje, odtworzyła sama na maszynie! Bo ona krawcowa z zawodu.

– To piękne, że całą rodziną się tym państwo zajmujecie – odparła szczerze. – Chętnie obejrzę zbiory, ale w zasadzie przyszedłam, żeby zadać panu kilka pytań. Moglibyśmy gdzieś przysiąść na chwilę?

– O muzeum? To ja dam pani naszą ulotkę.

– Super, bardzo się przyda. Ale nie tylko. Zaraz wyjaśnię. – Poszła za gospodarzem, który poprowadził ją w stronę drewnianego ogrodowego stołu z ławą. – Piszemy artykuł na temat historii Kryszewa od czasów międzywojennych do pierwszych dekad po wojnie. Potrzebujemy informacji. A słyszałam, że pan wie wszystko o przeszłości naszego regionu.

– Wszystkiego to pewnie nie, ale zgadza się, dużo wiem. – Pokiwał głową. – Jestem, jak to się mówi, patriotą lokalnym. Od chłopaka się tym interesowałem.

Usiedli, a gospodarz zaproponował wodę z sokiem.

– Domowej roboty, z naszych malin zeszłorocznych – pochwalił się i zapukał w szybę, jak się okazało, kuchennego okna, za którym krzątała się gospodyni.

– Chętnie się napiję. – Zaczekała, aż Kowalski odbierze z rąk żony dzbanek z napojem. – To już się panu przyznam, że chodzi nam przede wszystkim o historię starej kuźni.

– Tej w dolinie, w lesie? – Kowalski wlał sok do kamionkowych kubków i podał jej jeden.

Potwierdziła ruchem głowy i spróbowała soku.

– Pyszny! – pochwaliła.

– Żona zawsze robi pyszny. To tam, gdzie zostali zamordowani... – zauważył mężczyzna. –

O tym piszecie?

– Też. Chcemy napisać o kuźni, ale z szerszym tłem – wyjaśniła.

– A już złapali tych morderców?



– Nie, jeszcze nie. Policja prowadzi śledztwo.

– Mnie ta sprawa też interesuje. Bo to nie pierwszy raz, jak się tam z jej powodu zabijają. Co chcecie konkretnie wiedzieć? – zapytał.

– No właśnie – podchwyciła. – Słyszałam, że tam już kiedyś, dawno temu, ale po wojnie, ktoś został zamordowany.

– Jo – odparł. – To było za komuny. Lata, kiedy ciebie, dziecko, nie było jeszcze na świecie, więc pamiętać nie możesz. Ja młody byłem. Znaleźli tam truposza z poderżniętym gardłem, ale że to był jakiś partyjniak, to komuchy szybko sprawę zatuszowały. Oczywiście mordercy nigdy nie znaleźli, pewnie go nawet nie szukali, bo wszyscy gadali, że też od nich był. Musiały to być jakieś porachunki pomiędzy nimi. Oni się wtedy straszliwie żarli o tę kuźnicę. Jakby tam nie wiem co było.

– Może skarby?

– Tak gadają. Ale to się zawsze tak gada! – Machnął lekceważąco ręką. – Jakie tam skarby? Stare bajdy i tyle.

– A co się tam stało w czasie wojny?

– Dam pani moją pracę, tam opisałem wszystko, czego się dowiedziałem od starszych. Tak z grubsza, no to Niemcy zamordowali rodzinę właściciela. On Żyd był, restaurator. Potem tam szkopy siedziały aż do końca wojny, a po nich przez jakiś czas ruskie. Po nich już pusta stała, nieużytkowana.

Kaśka dopiła sok i poprosiła o dolewkę.

– A czy jeszcze żyją jacyś ludzie, miejscowi, którzy mogą coś z tamtych czasów pamiętać? – zapytała.

Kowalski pomyślał, marszcząc czoło.

– No... wielu to już ich nie zostało. Tyle lat po wojnie. Któż by tu... O, stara Bagińska na przykład – zasugerował. – Obok kuźni mieszka.

– Tak, już z nią rozmawialiśmy. Ale ona była wtedy dzieckiem, a nam by chodziło o kogoś, kto żył wtedy i rozumiał te wszystkie okoliczności...

– No to starszych od niej raczej nie znajdziecie. Chyba że... – ożywił się. – Leon Konke! Ma chyba ze sto lat, staruszek. Ale żyje i mieszka w Wyżnej Hucie. On mógłby pamiętać, wtedy już był dorosłym chłopakiem, partyzantem, nawet w Gryfie działał, a potem siedział w ruskim łagrze. Dopiero po śmierci Stalina go wypuścili i wrócił, ożenił się. Z tym że raczej niewiele wam pomoże, bo dziadzio od dawna ma sklerozę. Całkiem ponoć zdziecinniał i wszystko mu się już miesza.

– Szkoda... – Zasmuciła się Malinowska.

– Ale ma dzieci. – Wzruszył ramionami. – Synowie, córka. Wnuki, prawnuki. Może im co opowiadał, kiedy jeszcze głowa pracowała, jak należy.

– Oczywiście pojedziemy do niego. Ostatnia deska ratunku!

– Póki żyje, warto – przyznał. – I z sołtysową z Kryszewa koniecznie pogadajcie.

– Z panią sołtys? – poprawiła subtelnie.

– Jo. Ona młódka, ale zna ludzi, od lat chodzi po chałupach, nie tylko w samym Kryszewie, bo wcześniej pracowała w gminnej szkole, była kierowniczką albo i dyrektorką, więc musiała znać rodziny uczniów. A była znana z działalności społecznej. No i to ona trzyma pieczę nad kuźnią.

– To wiemy, dziękuję panu – odparła Kasia z wdzięcznością.

– Chodźmy teraz, panienko, obejrzyć zbiory. Tam mam moją książkę i dam pani egzemplarz. Uprzedzam tylko, że nasze muzeum działa pro bono, ale dla zwiedzających mamy skarbonkę, inaczej bym tego nie utrzymał.

– To zrozumiałe. A ile kosztuje pana książka?

– Wrzuci pani, ile zechce. Nie ma ceny. Niech wam służy. Kubeczek proszę tutaj zostawić, żona zabierze. Chodźmy.

Zbiory okazały się bogate. Czego tam nie było! Począwszy od haftowanych makatek, poprzez proste grafiki, obrazy, pocztówki, wyblakłe fotografie, rzeźby ludowe, malowane kafle, stare zabawki – na przykład szmaciane lalki albo koniki na biegunach – korale, wstążki, koronki, sprzęty kuchenne, ceramikę, elementy strojów... Wszystko autentyczne, dobrze zachowane, pozbierane ze strychów przez dziesiątki lat, własnoręcznie wyczyszczone, opisane. Kaśka Malinowska nie interesowała się specjalnie rękodziełem ludowym, ale niektóre rzeczy jej się spodobały, zwłaszcza dziewiętnastowieczne oleodruki przedstawiające pogańskie obrzędy, zachowane na Pomorzu, zgodnie z wyobrażeniem artystów sprzed co najmniej stu lat. Zapytała nawet gospodarza, czy nie zechciałby sprzedać jednego obrazka, ale się nie zgodził.

– Zbiorów nie wyprzedajemy – oznajmił. – Może to i nic cennego, ale dla nas ważne. Tyle lat

zbierania, proszenia, odkupywania od ludzi. Dawniej takie rzeczy wisiały prawie w każdej chałupie, obok świętych obrazów, ale dziś to już rzadkość. A który się pani tak spodobał?

– Same skarby pan tu ma. Ale mnie urzekły te nimfy tańczące we mgle...

– To nie nimfy, jeno rusałki – wyjaśnił z uśmiechem. – W naszych wierzeniach były rusałki. Inaczej boginki. Zamieszkiwały lasy i łąki, a także rzeki, stawy i jeziora. Wierzono, że panny, które zmarły śmiercią tragiczną, zanim poszły za mąż, stawały się boginkami. Bywało też, że porywały młode dziewczęta i zmuszały je, by zostały z nimi. Boginki zawsze nosiły wianek, a raczej wieniec spleciony z polnych ziół i kwiatów, miały przezroczyste, złote i srebrne szaty. Lubiły tańczyć w korowodach na łące. Podczas nowiu swoim śpiewem wabiły młodzieńców, których potrafiły zatańcować na śmierć, lub wyciągały ich na głębiny, skąd nie wracali. Takie to szelmy były! – Zaśmiał się.

– Piękne podanie! – zachwyciła się. – Poetyckie.

– To nasza słowiańska mitologia. Ale i germańska, bo one się tutaj, na tych ziemiach, przenikały. Nordycy też mieli swoje rusałki, zwane ondynamami.

– Dużo pan wie.

– Ano, naczytał się człowiek za młodu. – Pokiwał głową z sentymentem. – Warto w pamięci zachować. Jak młodszy byłem, to nawet wycieczki oprowadzałem po naszej gminie, głównie szkolne.

– Teraz już nie?

– Sił i ochoty by mi nie brakowało, ale chętnych nie ma. Czasy się zmieniły.

– Szkoda. Skoro nie chce pan mi sprzedać ani jednego z tych obrazków, to czy przynajmniej mogłabym je sfotografować?

– Można. Niech panienka fotografuje, ile dusza zapagnie. Ale jak w gazecie ma być, to z podpisem, że od nas.

– To jasne!

Z zapalem zabrała się do pracy. Zrobiła zdjęcia całej kolekcji z myślą, że warto by skrobnąć osobny artykuł o muzeum i zareklamować je. Kowalski przyglądał się uważnie, podejrzewała zresztą, że patrzy jej na ręce, czy przypadkiem nie da się skusić tym urodziwym, podstępny rusałkom.

Na koniec wrzuciła banknot do skarbonki.

– Jeszcze pana książka! – przypomniała sobie.

– A, już daję... – Z szuflady rzeźbionej w ludowe wzory komody wyjął gruby, zbindowany plik kartek w foliowej koszulce. Przez przezroczysty materiał zauważyła, że praca została napisana na maszynie, nie na komputerze, i odbita na kserokopiarce. – I jeszcze nasza ulotka o muzeum, proszę.

– Ile płacę?

– Za to? Nic. Już panienka dosyć do skarbonki wrzuciła. Ludzie zwykle tylko drobniaki wrzucają, a też im daję, jeśli zechcą, niechaj wiedza idzie w świat...

\*\*\*

Z głową opartą na piersi Palczyńskiego opowiedziała mu o wszystkim, co w ostatnim czasie udało im się z Kaśką ustalić. Komisarz wpadł do niej tylko na chwilę, jak po ogień. Zaledwie zdążyła zaparzyć kawę – Artur kochał kawę – którą wypili przytuleni do siebie na kanapie, z Buryem na trzeciego.

– To dobrze że zajmiecie się wątkiem historycznym. – Miała wrażenie, że odetchnęła z ulgą, i domyślała się dlaczego. – Bo nigdy nie wiadomo, być może coś w tym jest. Teraz już ufam twojej intuicji, Feli. – Schrupał krakersa do kawy.

– Lepiej późno niż wcale. – Uśmiechnęła się z lekką kpina. – A co u was? Jak efekty? Stale jesteś zajęty. Wyglądasz na zmęczonego.

– Jestem zmęczony, padam na pysk, dosłownie. Chyba się już starzeję – westchnął. – Ale co robić, kiedy ci młodzi są w jeszcze gorszej kondycji ode mnie. Ech...

– Nie gadaj mi tu o starzeniu się! Każdy by padł, gdyby nie jadł, nie spał, tylko non stop harował. Nie wychodzę za zgrzybiałego starca, mam nadzieję.

– Też mam taką nadzieję. – Przytulił ją. – Jest dużo żmudnej roboty, nie cierpię tego. Trzeba szczegółowo sprawdzać dosłownie wszystko, każdy ślad, każdą informację, odciski palców, dokumenty, telefony, maile. Przez cały czas mieć na oku niedoszłych inwestorów, którzy się wycofali. Powtórzyć przesłuchania świadków, przynajmniej niektórych, oględziny miejsc. Dziś mogłem wpaść do ciebie tylko dlatego, że musiałem jeszcze raz zajrzeć do kuźni i zrobić tam kilka pomiarów.

– Wciąż mam wyrzuty sumienia przez tego biednego Zgierskiego. Cholera. Może gdybym go nie goniła po tym lesie, toby żył – wyznała zamyślona. – I byłby cennym świadkiem. Ale nie rozumiem... Skoro nie zabił Zagórnego, to po jaką cholere uciekał? Przede mną?

Pałka wzruszył ramionami.

– Był w szoku, może w panice nawet nie zauważył, że to ty. Usłyszał kroki i odruchowo rzucił się do ucieczki. Albo... nie obraż się... zwyczajnie nie ufał ci.

– Że niby wziął mnie za morderczynię? – Zaśmiała się.

– Czemu nie, przecież właściwie cię nie znał. Natomiast ty nie masz powodów, żeby sobie robić jakiegokolwiek wyrzuty. Oni obaj z Zagórnym byli w coś umoczeni. Razem pracowali nad tym projektem i to musiało być z tym związane. Obaj łączyli się wielokrotnie z tym samym nieznanym numerem.

– Nadal nie udało się go zidentyfikować?

– Nie, i raczej się nie uda. Ewidentnie lewy numer, nie do wyśledzenia. Nierejestrowany w Polsce, tylko gdzieś na antypodach anonimowo. Zapewne posługiwał się nim zabójca albo zabójcy. Gdybyś wtedy nie nakryła Zgierskiego w kuźni nad zwłokami kumpla, to też by go zabili. Bo po co ktoś go wzywał, podszywając się pod Zagórnego, który już wtedy nie żył? Całe szczęście, że i ty nie zginęłaś przy okazji. I może on miał szczęście w nieszczęściu, że wykitował na zawał. Lepsze chyba to niż rozwalony łeb lub poderżnięte gardło.

– Może...

– Muszę lecieć, kochanie. – Pocałował ją i wytarł jej policzki. – Czekają na mnie w komendzie. A jeszcze trzeba raport napisać. Przed nami pewnie kolejna nieprzespana noc. Daj znać, jak wam pójdzie z tą historią. Może będę mógł w czymś pomóc. Uważaj na siebie. Dzwon.

\*\*\*

Kilka minut przed południem obie z Kaśką Malinowską zapakowały się do kampera Felicji i – zgodnie z umową – pojechały po panią sołtys.

– Czytałaś już książkę Kowalskiego? – zapytała Malinowska po drodze.

Felicja zaprzeczyła ruchem głowy, objeżdżając rondo, by skręcić w uliczkę prowadzącą na osiedle leśne.

– Jeszcze nie, nie miałam czasu, wczoraj wieczorem pertraktowałam z Pałką – wyjaśniła. – Nie rób takiej głupiej miny. To nie była randka. A wracając do rzeczy, tylko obejrzałam ulotkę i część twoich zdjęć. Ciekawe te jego zbiory.

– Bardzo się rozrosły! Kiedy byłam mała, jeździłam tam często na rowerze razem z innymi dziećmi. Choć bardziej, żeby oglądać konie, nie zabytki. Oni wtedy mieli konie, małą stadninę. A potem z naszą młodzieżową telewizją. Robiłam z nim wywiad o jego muzeum, pewnie z dziesięć lat temu, wtedy jeszcze było skromne. Widać, że facet cały czas nad nim pracuje.

– Dobrze, że ma następców – zauważyła Felicja, zwalniając, by nie przegapić zakrętu w las prowadzącego do posesji Teresy Mruk.

– Tak, ma kilku synów, pociągną to kiedyś... Tutaj! Skręcaj!

Podjechały pod samo ogrodzenie. Sołtyska już na nie czekała przed swoją willą gotowa do drogi.

– Witajcie, panie... – wysapała, wspinając się do samochodu. – Ojej, to cały dom na kółkach! To wewnątrz trochę mi przypomina stare przyczepy kempingowe. Pamiętam z dziecięcych lat, bo moi rodzice mieli taką, jeździliśmy z nią na wczasy do Bułgarii.

– Zgadza się, idea była podobna. Proszę usiąść tutaj, a te gazety niech pani po prostu zrzuci na podłogę. – Stefańska wskazała jej drugie siedzenie dla pasażera. – Zapomniałam o nich. Potem uprzątnę.

– Czy policja wie, że tam dziś jedziemy? Zapytały panie? Wyrazili zgodę? – upewniła się urzędniczka, zapinając pasy.

– Nie ma żadnego problemu. Możemy spokojnie wchodzić – zapewniła ją Felicja. – Podobno nawet zmyli krew! Co im się nieczęsto zdarza.

Kaśka zachichotała nerwowo.

– O matko! – Teresa wykonała ruch, jakby chciała się przeżegnać, ale zrezygnowała i tylko przymknęła na chwilę oczy. – To jedźmy.

Felicja kierowała się jak zwykle na parking leśny przy szosie. Kawałek dalej znajdowało się już ogrodzenie posesji Bagińskich. Sołtyska ją jednak powstrzymała.

– Pani chce stanąć przy drodze? Bez sensu! – powiedziała. – Stamtąd miałybyśmy jeszcze kawał drogi do przejścia po wertepach...

– Zawsze tu zostawialiśmy samochód – wyjaśniła Felicja. – Nie znam innego dojazdu.

– Skręci pani w prawo przy granicy lasu, o tutaj, widzi pani? – Teresa Mruk wskazała wąską gruntową drogę, odchodzącą nieopodal od szosy. – Tamtędy dojedziemy prawie pod samą kuźnię.

Felicja gwałtownie zahamowała, żeby w ostatniej chwili wziąć zakręt.

– Nie miałam pojęcia, że można tu wjeżdżać.

– Zakazu nie ma. Wszyscy tędy jeżdżą, jeśli chcą się dostać do kuźni. Ta dróżka nie jest taka zła, tylko wąska, za chwilę skręci pani jeszcze raz, tym razem w lewo, i prawie będziemy na miejscu.

Rzeczywiście, gałęzie drzew lekko uderzały o karoserię, ale poza tym jechało się całkiem wygodnie. Gdy Stefańska zakręciła zgodnie ze wskazówkami, dróżka zrobiła się szersza. Już po chwili ujrzała wylot i wjechała na polanę tuż przed budynkiem kuźni. To na niej wcześniej stały samochody policyjne.

Stała w cieniu drzew.

– To ja nie załapałam, że nawet gliny tędy tutaj docierały! – Uderzyła się w czoło. – Myślałam, że z drugiej strony, przez las.

– No przecież jechałyśmy przez las! – wtrąciła Kaśka.

– Ale ja myślałam, że przez ten duży las, od innej miejscowości, nie pamiętam nazwy, tam, gdzie znaleźli Zgierskiego. Nieważne, wysiadka, moje panie!

Wyszły z auta i skierowały się do kuźni, każda z duszą na ramieniu, choć żadna nie chciała się do tego przyznać.

A jeśli zastaniemy tam następnego trupa, zastanawiała się Felicja. Głupi ma szczęście, więc wszystko możliwe...

Teresa Mruk jako pierwsza pchnęła zardzewiałą furtkę, która otworzyła się powoli, wydając skrzypliwy jęk. Przystanąły, by najpierw zajrzeć do środka. Dziedziniec był pusty, wokół panował spokój. Przynajmniej z pozoru.

– To co, wchodzimy? – zapytała rażno sołtyska.

– Idźmy. – Felicja ruszyła, za nią Teresa, Kaśka Malinowska zamykała pochód. – Nie ma śladu po krwi, Artur nie skłamał – dodała z ulgą, kiedy dotarły do wejścia.

Cisza wokół, zamiast uspokajając, przerażała.

– Gdzie była ta krew? – wzdrygnęła się Teresa.

– Tu, zaraz przed wejściem, pod okapem, no i wewnątrz, ale... – Felicja zajrzała do środka, przyświecając sobie latarką w smartfonie – ...jest czysto – dokończyła. – Możemy wchodzić.

– Czyli tutaj leżał któryś z nieboszczyków?

– Jeden w progu, drugi wewnątrz.

– Straszne. Że też muszę po trupach chodzić...

– Nie ma już trupów, pani Tereso – uspokoiła ją Felicja. – Mam nadzieję...

– Niech pani nie wywołuje wilka z lasu!

Sołtyska przekroczyła próg i rozejrzała się niespokojnie.

– Na szczęście wszystko wygląda normalnie – odetchnęła. – Ale tutaj panie już były?

– Tak. Tylko tutaj.

– No to tak... Na górę nie wejdziemy, bo już jej nie ma. Kiedyś znajdowało się tam dobudowane drewniane piętro pensjonatu, ale spłonęło pod koniec wojny. Zostały po nim resztki, jednak wejść się tam nie da, zresztą nie byłoby po co, bo teraz to tylko ptaki tam, za przeproszeniem, kupy robią – wyjaśniła i wyjęła z kieszeni pęk kluczy. – Chodźmy więc do dalszej części budynku. Na wszelki wypadek wołę uprzedzić: proszę uważać, żeby nam co na głowy nie spadło. Tam naprawdę bywa niebezpiecznie. Nikt tego nie remontował od dziesiątków lat.

– A w ogóle kiedyś tu coś remontowano? – zapytała Malinowska i pospiesznie, nie patrząc, minęła miejsce, gdzie znaleziono zwłoki.

– Z tego, co wiem, nigdy, przynajmniej od czasów wojny. Kilka razy robili jakąś kosmetykę, coś tam niby umacniali, coś zabezpieczali, ale nic poza tym, to zresztą też było dawno temu, jeszcze za władzy ludowej. Teraz woleli zamknąć i kłopot z głowy – podsumowała cynicznie pani Mruk, po czym energicznym krokiem podeszła, by otworzyć drzwi. Najpierw zdjęła solidną kłódkę i zawiesiła ją na haku, następnie wsunęła klucz do zamka. Stare drzwi wydały jeszcze bardziej upiorny jęk niż zardzewiała furtka, ze środka wionęło wilgocią.

Pomieszczenie było kwadratowe, duże i puste, z dokładnie zamurowanymi oknami. Od niego odchodziło kilka mniejszych, ciemnych i pustych, niezidentyfikowanych przestrzeni. Weszły ostrożnie, wodząc wzrokiem po ścianach i dość tutaj niskich sufitach w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia. Teresa obawiała się, że ich ruch może spowodować osuwiska. Wszystko się jednak trzymało, choć gdzieś tam widać było kupki gruzu, a także miejsca na styku ścian z sufitem wzmocnione deskami i stalowymi podporami.

– Co tutaj było? – zapytała Felicja, podczas gdy Kaśka, przemieszczając się czujnie, robiła zdjęcia.

– Za czasów czynnej kuźni to nie wiem. Ale przed wojną było to prawdopodobnie zaplecze pensjonatu: kuchnia, magazyny, być może także jadalnia, a w zasadzie restauracja, bo służyła tu nie tylko gościom hotelowym, ale także z zewnątrz. W głównym pomieszczeniu, tym ogólnie dostępnym, znajdowały się salonik z portiernią oraz kawiarenka, która latem przenosiła się na dziedziniec. To akurat wiemy z zachowanych zdjęć...

– Zachowały się zdjęcia?!

– Niewiele, ale owszem, istniały nawet pocztówki z fotografiami pensjonatu. Wrzuciłam je do sieci, łatwo pani je znajdzie. Mam kilka u siebie w albumie, te same powinny być też w archiwach urzędu gminy.

– Skąd tam się wzięły?

– Dokładnie nie wiem. – Teresa wzruszyła ramionami. – Ludzie przynosili po wojnie. Część podobno była tutaj, w opuszczonym budynku, razem z różnymi śmieciami, większość zniszczona, nadpalona, nieliczne cudem ocalały. A parę sztuk wypatrzyłam na aukcjach w Internecie i kupiłam za grosze.

Felicji zaiskrzyły się oczy.

– Czy te pocztówki zostały przez kogoś wysłane? Coś jest na nich napisane? Sprawdzała to pani?

– Niestety, są czyste. Jedynie z pieczęcią uzdrowiska.

– Szkoda. Ale i tak chętnie je obejrzę. Wysłałaby mi pani link?

– Znajdują się na mojej prywatnej stronie pod tytułem „Obrazki z Kryszewa”, bez problemu ją pani znajdzie.

W tym momencie podeszła do nich Kasia.

– To może i pan Kowalski ma je w swoim muzeum – zasugerowała. – Były tam stare pocztówki z Kryszewa. Sfotografowałam je.

– O, na pewno ma! – Energicznie pokiwała głową pani Mruk. – Zgromadził chyba wszystko, co się ostało z historii gminy.

Felicja ruszyła oglądać pomieszczenia. Przyświecała sobie smartfonem, jednak nic ciekawego nie znalazła – stare zapuszczone mury, betonowe podłogi ze śladami dawnych desek podłogowych, wszędzie zamurowane okna i drzwi. Raptem coś zaszeleściło, tuż obok jej stóp spadły drobne kawałki tynku.

Wreszcie w skrajnym „pokoju”, z tyłu, dziennikarka zauważyła dużą żelazną klapę w posadzce.

– Pani Tereso! – zawołała.

– Ciszej, nie podnośmy głosu, żeby nam się te sufity nie zwały na głowy! – pouczyła ją Teresa Mruk, podchodząc do niej. – Co się stało?

– Co jest pod podłogą? – Stefańska wskazała pokrywę.

– Zejście do piwnicy. W kuźni jej nie było, ale właściciele pensjonatu potrzebowali miejsca na skład węgla, więc wykopali piwnicę i dobudowali nad nią to pomieszczenie. Spiżarnię chyba. Bo ono jest ewidentnie nowsze od reszty.

– Możemy zajrzeć?

– Niestety, wejście jest zasypane. Nikt tego gruzu do tej pory nie usunął, dlatego zasłonili to przykrywą. Tu pod koniec wojny trwały walki. Niemcy się stąd bronili przed partyzantami i przed Rosjanami... Co to, słyszałyście?! – Wzdrygnęła się nagle, nasłuchując z uwagą.

Obie dziennikarki zastygły: rzeczywiście, z zewnątrz, od strony wejścia do kuźni dało się słyszeć jakieś kroki. Zbliżyły się...

– Kto tu jest?! – Usłyszały tubalny głos i po chwili ktoś zasłonił otwór wejściowy do pomieszczenia, świecąc im w oczy latarką.

Kasia Malinowska kurczowo chwyciła ramię Felicji. Zabolało. Zaskoczone, oślepienie, dezorientowane, poczuły się jak w potrzasku. Nawet Felicję zaczęła ogarniać panika. Nagle rozległ się lekko drżący od emocji, lecz silny i zdecydowany głos Teresy Mruk:

– Marcelina, przestań się wygłupiać i zgaś tę latarkę!

– Mama? To ty? – Odpowiedź nadeszła dopiero po chwili. – A skąd ty się tu wzięłaś? Co tutaj robisz?

Latarka zgasła, ich oczom ukazała się potężna postać gospodyni Bagińskich. Marcelina Mruk wydawała się z lekka zakłopotana.

– Pytanie raczej, co ty tutaj robisz?! – odparowała zdenerwowana sołtyska. – Bo ja akurat mam pełne prawo tu być.

Felicja z Kaśką Malinowską stały jak zaczarowane, napięcie powoli zaczynało z nich schodzić. Choć w obecności tej ogromnej kobiety wciąż czuły się niepewnie.

– No już dobrze, nie gniewaj się, mamo. – Marcelina spuściła z tonu. – Zobaczyłyśmy z panią

Wikta jakiś samochód i otwartą bramę do kuźni. No to przyszedłam sprawdzić, czy ktoś się nie włamał albo... no wiesz.

– A nie można było najpierw zajrzeć, posłuchać? Tylko od razu napadać? – Teresa wciąż była zła.

– No już, przepraszam, mam...

– Przestraszyła nas pani, pani Marcelino. – Stefańska wreszcie doszła do siebie. – Ale w sumie ma pani rację. Dobrze, że pilnuje pani tego miejsca.

– Raczej pani Wikta, ja tylko...

– Dobrze, że panie pilnujecie. Ale dlaczego akurat pani tu przybiegła? I to sama. A nie któryś z panów? Przecież nie było wiadomo, na co się pani mogła natknąć. Tutaj popełniono ostatnio dwa morderstwa.

Gospościa wzruszyła szerokimi, umięśnionymi ramionami.

– Oni słabsi ode mnie! – prychnęła lekceważąco. – Poza tym my tylko we dwie jesteśmy.

– To gdzie Genek? Nie w pracy? – zapytała Teresa.

– W pracy, ale musiał pojechać po sadzonki.

– A pan Bagiński? – wtrąciła Felicja.

– Pan jest, ale jakby go nie było. W swoim świecie żyje. Nic go nie obchodzi, tylko ta jego muzyka i muzyka. Od rana ćwiczy zamknięty w swoim pokoju do gry. Dopiero co wrócił z koncertów, a niedługo znowu jedzie na te występy – skwitowała Marcelina. – Dlatego teraz ćwiczy całymi dniami i każe sobie nie przeszkadzać. Wściekłyby się, gdybym mu zawracała głowę.

– Ty mi tu na pracodawców nie wybrzydź – upomniała ją surowo sołtyska. – Doceniaj, co masz. Kto ci robotę załatwił?

– Nie wybrzydź! Tylko mówię. Ja wiem, że państwo z innej gliny ulepieni. Więc wolałam sama przyjść. A wy co tu robiłyście? – zwróciła się do dziennikarek.

– Nie twój interes – utemperowała ją Teresa. – Panie są ze mną służbowo.

Marcelina spojrzała na nie spod oka. Felicja szturchnęła oniemiałą wciąż Malinowską.

– Pani Tereso – zwróciła się do sołtyski. – My w zasadzie już skończyłyśmy. Dziękujemy za pomoc. Czy wróci pani z nami?

Teresa się zawahała.

– Mama przyjdzie na kawusię. Placki upiekłam. Jakie lubi. Z truskawkami – odezwała się szybko zaniepokojona Marcelina.

– Obiecałam, że wpadnę, Wikta też pewnie czeka, więc panie niech jada – zdecydowała sołtyska.

– Będzie pani miała jak wrócić? – upewniła się reporterka.

– Syn z synową mnie zawiozą. Po drodze mają. Kiedy pan Krystian jest w domu, to oni u nich nie nocują. Tylko kiedy starsza pani zostaje sama.

Pożegnały się szybko, ale serdecznie. Tylko Marcelina zrobiła unik, jakby brzydziła się podać im rękę.

– Do widzenia! Traficie? – zatroszczyła się sołtyska.

– Trafimy bez problemu. Dziękujemy.

– To jeszcze na moją stronkę zapraszam. Łatwo znaleźć. A ty chodź i pomóż mi tu wszystko pozamykać! – poleciła synowej Teresa. – Nie stój mi tutaj jak kat nad dobrą duszą!

Z ulgą opuściły ciemny budynek. Nie myślały już o zwłokach i plamach krwi, byle tylko jak najszybciej znaleźć się w kamperze i opuścić to przeklęte miejsce.

– Jezu Chryste! – jęknęła Malinowska, gdy znalazły się w aucie i Felicja włączyła silnik.

– Nie jęcz, tylko zapnij pasy. I trzymaj się. Spieprzamy stąd – mruknęła szefowa. – Mam dość wrażeń na dziś.

Ruszyła z wizgiem, prawie grzęznąc w błocie. Kiedy znalazły się na leśnym trakcie, dodała gazu, nie zwracając uwagi na wściekle atakujące karoserię gałęzie.

Kaśka chwyciła się poręczy.

– Nie szalej! Gnasz jak na jakimś rajdzie Safari! – pisnęła.

– Już. Oddalmy się od tego piekielnego miejsca. – Stefańska zwolniła w końcu i nawet zapaliła papierosa.

Malinowska uchyliła okno.

– Boże, to było straszne! Ja pierdzielę! Jeszcze mi serce wali – poskarżyła się i wyjęła ze schowka miętową gumę do żucia. Twierdziła, że mięta ją uspokaja.

– Straszne i śmieszne – stwierdziła podenerwowana Felicja.

Dziewczyna poczuła się urażona, bo wzruszyła ramionami i zaoponowała dość, jak na nią, sta-

nowczo.

– Niczego śmiesznego w tym nie widzę. Nie mogę się doczekać, kiedy nareszcie znajdziemy się z powrotem w biurze. Muszę napić się kawy.

Skręciły w prawo i po chwili wjechały na szosę.

– Napić, tak. – Pokiwała głową Stefańska. – To dobra myśl, młoda. Ale nie kawy. Ogłaszam na dziś fajrant. Jedziemy się napić czegoś mocniejszego. Należy nam się po takich przeżyciach.

– Ale...

– Bez gadania. Odstawię tylko samochód pod dom, a ty zajmij miejsce w knajpie i zamów kolejkę. Pub jest tuż za rogiem.

– Przecież ty nie pijesz wódki.

– No to zamów piwo! Piwo piję. I jakieś krakersy do niego. Jak szaleć, to szaleć...

Usiadły w rogu, skąd miały widok na całą salę. Było jeszcze dość wcześnie, pub jeszcze nie zdążył się zapełnić, dopiero późnym popołudniem – przed wieczorem – zrobi się tłok. Teraz panował tutaj spokój, atmosfera niemal senna, za barem przy cichej muzyce krzątała się tęga blondynka. Oprócz nich jedynie dwa połączone ze sobą stoły pośrodku sali okupowała grupa młodzieży, chyba maturzystów albo studentów. Trwały matury, więc zapewne to pierwsze. Ale nawet oni nie byli zbyt głośni, tylko od czasu do czasu dobiegały z tamtej strony śmiech i przytłumione słowa.

Celowo wybrały miejsce w pewnym oddaleniu, by móc swobodnie rozmawiać. Kaśka przyniosła z baru dwa duże portery w kuflach i miseczkę słonych orzeszków.

– Nie mieli krakersów – wyjaśniła.

Felicja machnęła ręką.

– Nieważne! Orzeszki czy krakersy... byle było co do gęby wrzucić. – Pociągnęła łyk z kufla. – Grunt, że piwo schłodzone. Odeagowałaś już?

– Co? Tę koszmarną babę?

– No a co? O to pytam.

– Jeszcze co najmniej z tydzień albo i dwa będzie mi się śniła po nocach! – Wbrew swoim słowom dziewczyna się uśmiechnęła. – Matko, jak mnie wystraszyła! Mało co nie zesłałam. Ta kobieta jest chyba nienormalna...

– No, zdecydowanie ma coś z dekle. Od początku wydawała mi się dziwaczna – zgodziła się Stefańska.

– Myślisz, że... – Kasia upiła łyk piwa i przegryzła orzeszkiem, jakby nieco zmieszana. – Wiesz...

– Że to ona może być morderczynią? – Felicja zaczęła chwilę na odpowiedź, ale Kaśka tylko skinęła głową. – Mnie też to przeszło przez myśl – przyznała. – Cholera ją wie, może ona tak każdego zaskakiwała w tej kuźni, a jak zobaczyła, że obcy, a do tego jeszcze się na przykład stawiał, to... bum go kamlotem w łeb?

– Przekonuje mnie ta wizja. Moim zdaniem powinni ją jak najszybciej zamknąć – stwierdziła ponuro Kaśka.

– Ale dałaby radę dorosłemu facetowi? – powątpiewała reporterka.

– To wielka baba! Nie zauważyłaś, jakie ona ma muskuły? Jeśli ktoś się nie spodziewał, to nawet nie zdążyłby się obronić! Zwłaszcza urzędnicy spędzający całe życie za biurkiem.

– Po coś tam jednak przyszli. Przecież nie zwiedzać.

Asystentka wrzuciła ramionami.

– Może chcieli pomyśleć w spokojnym miejscu albo pogadać bez świadków? Może chodzili tam na spacer? Nie wiem. Ale to okropne babsko pasuje mi do scenariusza – upierała się.

– Niby możliwe – przyznała Felicja. – A może ona razem z mężusiem, tym ogrodnikiem? Wiesz, kiedyś się mówiło, że mordercą jest zawsze ogrodnik. Tak przynajmniej bywało w starych kryminałach. I mamy go!

– Nie, w to nie wierzę. Syn Mrukowej?

– Każdy morderca jest czyimś synem! Nie bądź naiwna, młoda. Ale to wszystko są bzdury – dodała stanowczo. – Jaki motyw miałyby ta prosta kobieta? Zabija rozrywkowo, dla sportu? Czysty absurd. Poza tym ona nie mogła nikogo zamordować w latach, o ile dobrze pamiętam, sześćdziesiątych. Prawdopodobnie jeszcze nie było jej nawet na świecie. A przypominam ci, że już wtedy w kuźni znaleziono pierwszego trupa. W zbliżonych okolicznościach, więc to raczej nie przypadek.

Malinowskiej zrzęda mina.

– Faktycznie. Zapomniałam o tym...

– Myślę, że Marcelina jest walnięta, ale nic więcej. Może to nawet dobrze, że czuwa. Mnie bardziej zastanawia, kim są spadkobiercy właściciela kuźni sprzed wojny. Hotelarza. Dlaczego tak ochoczo scedowali prawa na gminę?

– Oni byli z Izraela. Pewnie jacyś dalsi krewni, którym udało się ocaleć z Holocaustu. – Kasia ponownie wzruszyła ramionami. – Myślę, że można ich będzie znaleźć i zapytać. O ile żyją, oczywiście.

– Greta obiecała, że da mi ten zapis. Chyba muszę się upomnieć. Przypomnij mi, żebym do niej zadzwoniła.

– Postaram się. O ile sama nie zapomnę. Ale tu przecież ostatnio nikt z Izraela nie przyjeżdżał...

– Skąd wiesz? Raczej nie ogłaszałyby tego publicznie. To może być jakiś potomek. Ktoś nowy, napływowy. Dlatego teraz trzeba dowiedzieć się wszystkiego o tych sukcesorach. I połączyć z nazwiskami radnych.

– O rany, szefowo, to jest myśl! Sztos! Teraz rozumiem, po co mi kazałaś badać życiorysy tych polityków! – Malinowskiej aż oczy zabłyśły z podniecenia.

– Spokojnie, młoda. – Uśmiechnęła się Felicja. – Nie ekscytuj się tak. To nadal wszystkiego nie wyjaśnia. Pytanie, co takiego jest w tej cholernej kuźni. Może na serio jakiś skarb? Trup za trupem – ściżyła głos, kiedy młodzi ludzie odwrócili się jak na komendę w ich stronę – bez powodu nie pada.

– Ta zawalona piwnica! – westchnęła Kaśka.

– Nie zawalona. Zasypana. Może nawet celowo. Jakim sposobem przekonać radę gminy, żeby zlecieli odgruzowanie tego podziemia?

Rozstały się przed pubem, Stefańska wysłała młodą asystentkę nieco wcześniej do domu.

– I tak masz w czubie – wyjaśniła dobitnie w odpowiedzi na jej gorące protesty. – Czyli nie byłoby z ciebie żadnego pożytku. To było mocne piwo.

– Wcale nie!

– Wcale tak. Zasuway na chatę, zjedz coś i się prześpij.

– No już dobrze, skoro to polecenie służbowe. Tylko miałam ci jeszcze przypomnieć, żebyś zadzwoniła do pani Greta w sprawie spadkobierców.

– Dzięki, młoda. Zaraz to zrobię. Do jutra.

W drodze zapaliła papierosa, klnąc pod nosem „idiotyczne przepisy” ustanowione przez „naprawiaczy społeczeństwa” na siłę. No bo kto to słyszał, żeby w knajpie z alkoholem nie było miejsca dla palacza!

Po powrocie na poddasze Felicja wypuściła psa do ogrodu, a potem nakarmiła go, sobie zrobiła grzankę z serem. Zaparzyła herbatę, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Greta. Kiedy Pazikowa usłyszała, o co chodzi, od razu weszła jej w słowo.

– Pamiętam o tym! – zapewniła. – Znalazłam ten zapis i już miałam w tej sprawie wysłać do ciebie maila. Powiem więcej. Żeby wam pomóc, próbowałam sama dobić się do tych ludzi, jednak to nie takie proste. Mamy nazwisko i imię, to jakaś dziesiąta woda po kisielu, boczna linia. Ale zgodnie z prawem spadkowym jedyna żyjąca krewna. Wpis pochodzi z początków lat dziewięćdziesiątych, krótko po wznowieniu stosunków dyplomatycznych z Izraelem, więc ta potencjalna spadkobierczyni może już nie żyć, nie była młoda. Pewnie miała dzieci, tyle że nie mieszkają pod podanym adresem, a numer telefonu też nie jest aktywny. Poczty elektronicznej wtedy jeszcze nie było. Więc pojęcia nie mam, jak do tych ludzi dotrzeć...

– Moja w tym głowa. Jeśli jest nazwisko, to jakoś się dotrze – uspokoiła ją Stefańska. – Wyślij mi te dane, dobrze?

– Jasne. Ale jak zamierzasz się do tego zabrać?

– Na razie nie wiem! – Felicja przełączyła aparat na głośnomówiący i przeszła do aneksu kuchennego nalać sobie herbaty. – Może przez ambasadę albo konsulata?

– To chyba dobry pomysł! – pochwaliła. – Powołuj się na urząd. A jak wam dzisiaj poszło?

Felicja parsknęła śmiechem.

– Nawet nie pytaj...

– No weź! Opowiadaj!

Dziennikarka spełniła jej prośbę i ze szczegółami opisała historyjkę z wielką Marceliną w roli głównej. Greta zaśmiewała się do łez.

– O kurczę, przynajmniej poprawiłaś mi humor – wyznała. – Wiesz co, znam trochę tę kobietę, niezbyt blisko, ale znam, w końcu to rodzina naszej sołtyśki. Jest niegroźna. Chyba lekko ociężała umysłowo, ale poza tym wzorowa obywatelka.

– Chyba że gra taką rolę – odparła przekornie Stefańska.



- Nie, zapomnij. To nie ten przypadek. Nie podejrzewałaabym jej o to.
- Ale ja muszę. W tym akurat nie różnię się od glin.
- Okej. Rozumiem. Nawet mnie możesz podejrzewać, choć cała ta sprawa wydaje mi się coraz bardziej surrealistyczna. Cieszę się, że uwolnię się od lokalnych intryg.
- Felicja napiła się herbaty i wymacała w kieszeni paczkę fajek.
- Nie ciesz się na wyrost, bo jak dostaniesz się do senatu...
- Do sejmu.
- Jeden diabeł. Więc jeśli się tam dostaniesz, to wejdiesz w jeszcze większe szambo. O wiele większe.
- Mogłabyś mnie nie dołować? Większe, ale nie tak duszne. Dobra, zaraz wysyłam ci te namiary i działaj. A co poza tym zamierzacie?
- Mamy do obskoczenia parę osób, między innymi stuletniego dziadka, który może pamiętać czasy przedwojenne.
- Jak się nazywa?
- Felicja zerknęła do notesu.
- Leon Konke z Wyżnej Huty.
- Jego też znam, i to dobrze. Kiedy chcesz z nim gadać?
- Choćby jutro.
- Jadę z tobą. Mam jutro wolne. Staruszek ma alzheimera, ale miewa lepsze i gorsze dni. Zwykle nie pamięta, co się działo godzinę czy dwie temu, za to stare dzieje kojarzy. Przed obcą osobą mógłby się nie otworzyć, ale mnie zna od urodzenia i mi ufa. Mieszka z córką i dorosłym wnukiem. Mili ludzie.
- To jesteśmy umówione. Zadzwoń w kwestii godziny. A dziś jeszcze czekam na maila, nie zapomnij.
- Okej, nie zapomnę. Zaraz wyślę. No to na razie.
- Pa! – Felicja rozłączyła się i z ulgą zapaliła, włączając jednocześnie komputer.

\*\*\*

Darczyni nazywała się Samara Segal. Ponieważ było już dosyć późno, Felicja rozpoczęła poszukiwania od mediów społecznościowych, przede wszystkim od Facebooka i Instagrama, jednak bez efektów. Owszem, osób o tym samym imieniu i nazwisku było dużo, zbyt dużo, żeby wytypować konkretną. Większość nawet nie mieszkała w Izraelu. Owszem, mogli wyemigrować, na przykład do Ameryki Południowej, ale to jej i tak w niczym nie pomagało. W dodatku większość stanowiły młode kobiety, wręcz dziewczyny. Żadna nie pasowała do spadkobierczyni, która na początku lat dziewięćdziesiątych przekazała swój spadek samorządowi lokalnemu.

Zniechęcona napisała w końcu maila do Ambasady Izraela w Warszawie z prośbą o informację, gdzie powinna szukać. Drugą podobną wiadomość wystosowała do Ambasady Polskiej w Tel Awiwie. W obu powoływała się na urząd gminy, a jako powód poszukiwań podała mniej więcej prawdę: próbę odnalezienia ofiarodawczyni w celu ustalenia szczegółów zapisu. Nieśmiało dodała, że sprawa jest pilna, a dostępne dane adresowe nieaktualne. W razie gdyby nie otrzymała odpowiedzi, postanowiła w najbliższych dniach tam zadzwonić. Teraz trzeba było uzbroić się w cierpliwość, która nie należała do mocnych stron dziennikarki. Usiłowała w jakiś sposób połączyć nazwisko Segal z nazwiskami zamordowanych w Kryszewie radnych, ale nie znalazła żadnego punktu oparcia.

Wyszła z Burym na spacer, wciąż intensywnie myśląc, jednak miała tylko jeszcze większy mętlik w głowie. W ogrodzie zapaliła papierosa, żeby potem mniej dymić na poddaszu. Po powrocie zburzyła ciche nadzieje kundelka na wspólne wieczorne leżakowanie, ponieważ ponownie włączyła komputer. Tym razem zaparzyła sobie mocną kawę i wówczas przypomniała jej się „książka” Kowalskiego, założyciela muzeum w Adamowie. Postanowiła przynajmniej ją przejrzeć, lecz najpierw – metodą skojarzeń – pomyślała o fotografiach jego zbiorów, które wykonała Kasia Malinowska. Miała je w plikach. Popijając kawę, otworzyła folder i poszukała tych przedstawiających kolekcję dawnych pocztówek w nadziei, że znajdzie tam przedwojenne fotografie starej kuźni, a konkretnie hotelu czy też pensjonatu wówczas w niej się mieszczącego. Zdjęć miejsc tego typu było tam sporo, ale trudno z nich odczytać, czy któreś przedstawiało właśnie ten ośrodek. Utrwalone na kliszy fragmenty uroczych kawiarnianych ogródków, tarasów i stolików z parasolami – wraz z siedzącymi przy nich damami w kapeluszach z woalkami oraz dżentelmenami w melonikach – nie pozwalały na prostą identyfikację.

Wyszukała więc w sieci stronę Obrazki z Kryszewa prowadzoną przez sołtys Teresę Mruk. Witryna ją zachwyciła, teraz jednak nie miała czasu – ani też cierpliwości – by się w nią zagłębiać. Zrobi

to kiedy indziej, w wolnym czasie, w tej chwili skrolowała pospiesznie zawartość ekranu w poszukiwaniu zdjęć kuźnicy. Wreszcie je znalazła. Nie były liczne, lecz na jednym od razu rozpoznała budynek po charakterystycznym kształcie. Wyglądał na przytulny, elegancki pensjonacik, z kawiarenką na dziedzińcu oraz dobudowanym piętrem z wykuszami w stylu pruskim. Dookoła rosły drzewa, które obecnie przypuszczalnie pochłoniął las docierający do budynku. Nad rzeczką spacerujące pary z dziećmi w marynarskich mundurkach, a także panie w kwiecistych letnich sukienkach, wypoczywające na leżakach. Kolejne ujęcia tego samego hotelu z różnych perspektyw. Ładnie się prezentował wpisany w dziką przyrodę. Były też widoczki rodzajowe: z tarasu kawiarni, bankietu wewnątrz pensjonatu, gdzie rozbawione eleganckie towarzystwo uśmiechało się do aparatu. Zdjęcie już dawno wyblakło, rysy twarzy stały się nieczytelne, fotografia zachowała jednak beztroski, kurortowy, sielankowy nastrój. Podobny do tych z kolekcji Kowalskiego. Dziwnie było na nie patrzeć: na nieistniejący już zapomniany świat.

Takie mamy rodzime Atlantydy, westchnęła ogarnięta sentymentem. „Żywa” historia często budziła w niej nostalgię, dlatego się nią pasjonowała. Nie dla ideałów czy wielkich czynów, nie dla chwalebnych powstań i bitew, tylko dla nich: dla ludzi, którzy żyli i odeszli po cichu.

Podbudowana nieoczekiwanymi emocjami sięgnęła po zapiski muzealnika amatora...

Kowalski sumiennie przystąpił do dzieła, zaczynając od rysu historycznego minionych epok. Dało się zauważyć nie tylko wkład pracy, ale także sporą wiedzę zebraną z różnych źródeł. Ku satysfakcji dziennikarki wiele ustępów zilustrował obrazami, fotografiami i starą grafiką. Reprodukcje były słabo czytelne, lecz i tak wzbogacały treść. Felicja pobieżnie czytała poszczególne rozdziały, zatrzymując się nieco dłużej na niektórych fragmentach, które ją wciągnęły. Tym razem chciała dotrzeć do celu, czyli do czasów przedwojennych i wojennych. Książka – postanowiła umownie tak nazywać ten szkic – okazała się obszerna. I przemyślana: informacje zostały pogrupowane na konkretne tematy. Jednym z nich był obszerny rozdział poświęcony zabytkom Kryszewa i okolic. Znalazła się wśród nich także „kuźnia przeklętych”. Niecierpliwie przebiegała wzrokiem treść, aż dotarła do miejsca, w którym zaczynała się jej współczesna historia, czyli do początków dwudziestego wieku. Kuźnica była wówczas własnością niejakiego Kralla, przypuszczalnie gdańszczanina z mieszczańskiej niemieckiej rodziny, który przez jakiś czas usiłował użytkować ją zgodnie z przeznaczeniem. Niestety, wiodło mu się coraz gorzej, zagrażała mu nowoczesna i znacznie zamożniejsza konkurencja. Aż w końcu w początkach lat dwudziestych zdecydował się spieniężyć majątek. Kowalski tak o tym pisał:

*Kiedy Krall zbankrutował, kuźnię nabył w 1919 Żyd Markus Davidsohn, kupiec i restaurator, człowiek wykształcony i obyty w świecie, który miał żonę Polkę nazwiskiem Maciejewska. Małżeństwo to postanowiło otworzyć tam pensjonat dla eleganckich gości z Danzigu i innych stron świata. Przebudowali budynek i dostosowali go do tego rodzaju działalności. Pensjonat został wyposażony w części: hotelową, restauracyjną i bankietową, a ponieważ był przepięknie położony, szybko stał się modny w kurorcie, jakim było wtedy Kryszewo. Davidsohnowi się wiodło, jego majątek rósł, aż do tragicznych czasów, kiedy do głosu doszedł Hitler. Gdy rozpoczęły się prześladowania Żydów, Markus Davidsohn przeszedł na katolicyzm, ochrzcił się i przyjął nazwisko małżonki. Zaczął funkcjonować jako Polak Marek Maciejewski. Przez jakiś czas to wystarczyło, by mógł się czuć bezpieczny. Potem jednak wybuchła wojna i już nie tak łatwo było uchronić się przed hitlerowcami. Jemu się to jednak udawało, może dlatego, że jego hotel gościł wiele niemieckich rodzin, które mu były życzliwe. Może też ze względu na żonę, która wprawdzie Polka po mieczu i katoliczka, jednakowoż z niemieckiej matki. Nie trwało to długo. W roku bodajże 1943 oboje zostali aresztowani i wywiezieni w nieznaną, a hotel przejęło nazistowskie wojsko z marynarki wojennej, które zajęło wcześniej sanatorium-uzdrowisko w samym centrum Kryszewa, w budynku dawnego młyna (po wojnie tak zwanej starej szkoły). Aresztowania dokonano pod osłoną nocy, by nie widzieli tego mieszkańcy Kryszewa, życzliwi Maciejewskim (choć większość to też byli Niemcy). Wiadomo jednak, że było brutalne, z łóżek wyciągnięto nawet małe dzieci hotelarzy, przy tym bito ich i gnano na bosaka pod karabinami. Nikt ich już nigdy potem na oczy nie widział, a pensjonat niszczał najpierw pod Niemcami, potem pod Sowietami. A po wojnie została z niego już tylko ruina. Ludzie mówili, że Davidsohn-Maciejewski ukrył w budynku swój majątek. To się jednak nie zgadza z tym, że ponoć nie spodziewał się on aresztowania. Jak to było naprawdę, tego nie wiadomo, ale jedno jest pewne: Davidsohna ktoś zdradził. Ktoś doniósł na niego Niemcom. Kto? Tego się pewnie nigdy nie dowiemy.*

Felicja oderwała oczy od kartki. Poczwała na policzkach wypieki. Na to wcześniej nikt z nich nie wpadł. A może właśnie tu należało szukać motywu obecnych zbrodni? Krwawa zemsta? Dawne krzywdy są jak zakażone rany: nie znikają, lecz przechodzą z pokolenia na pokolenie, jątrzą się, krwawią i ropieją, bolą tak długo, dopóki nie doczekają się zadośćuczynienia. Uświadomiła sobie, że tym bardziej trzeba jak

najszybciej odszukać spadkobierców i zbadać konotacje rodzinne!

Nie mniej od tekstu zelektryzowały dziennikarkę zamieszczone obok zdjęcia. Tutaj dopiero znalazły się reprodukcje pocztówek z kolekcji gminnej, tych samych, które na swojej stronie zamieściła sołtyśka. Lecz nie tylko. Felicja po raz pierwszy mogła spojrzeć w oczy bohaterom dramatu. Byli tu wszyscy, jeszcze młodzi, wytworni, uśmiechnięci. Pewnie przez myśl im nie przeszło, jaki ich czeka koniec...

Nowy właściciel pensjonatu Markus Davidsohn, przystojny brunet z wąsikiem, o bystrych oczach, najwyżej trzydziestokilkuletni, starannie odziany w tak modny w dwudziestolecie międzywojennym sportowy garnitur. Felicja próbowała doszukać się w jego twarzy semickich rysów, ale się poddała. Z wyglądu mógłby być Francuzem, Włochem, nawet Niemcem czy Polakiem.

Pewnie się nie znam – pomyślała.

Nigdy nie oceniała ludzi przez pryzmat rasy. Nawet na zwierzęta nie patrzyła w ten sposób. Nie znosiła bezdusznego szufladkowania, tak jak nienawidziła wszelkich nacjonalizmów i segregacji.

Oprócz zdjęcia portretowego w książce było kilka podobizn Davidsohna: Markus upozowany na tle fasady swojego hotelu, Markus z żoną – filigranową piękną blondynką, ubraną i uczesaną w typowym stylu lat trzydziestych – oraz z dziećmi i małym pieskiem. Troje dzieci, dwie uśmiechnięte dziewczynki, na oko w wieku przedszkolnym, a także chłopczyk w krótkich spodenkach, z loczkami, podobny do matki. Wyglądał tu na dwa, może trzy lata, a zdjęcie datowano na połowę tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Stefańskiej wydawało się, że jest twarda i nie przepada za dziećmi, a jednak na widok tej szczęśliwej rodziny ścisnęło jej się serce.

Najbardziej zainteresowała ją fotografia przedstawiająca poprzedniego gospodarza kuźni, owego Kralla (imię zapewne nie zachowało się w pamięci potomnych, gdyż Kowalski podpisał zdjęcie po prostu: *Były właściciel kuźni, pan Krall*). Był to poważny mężczyzna w średnim wieku, odziany bardziej formalnie, w kamizelkę, marynarkę i z muchą, jasnowłosy i chyba z niewielką nadwagą. Wyglądał wręcz nobliwie, lecz nie to przyciągnęło uwagę Felicji. Długo przypatrywała się fotografii, gdyż rysy twarzy mężczyzny (a może jej wyraz?) wydały jej się znajome...

Usiłowała dopasować do nich twarze współczesnych mężczyzn związanych ze sprawą kuźni. Nie była jednak w stanie pochwycić przelotnego wrażenia i po pewnym czasie zrezygnowała.

Pewnie to myślenie życzeniowe, wkręciłam się po prostu, westchnęła, odkładając broszurę. Zrobiło się późno, a na jutro była umówiona z Gretą. Czas do łóżka.

## *Nazajutrz. Kryszewo, czerwiec*

– Kasiu, proszę cię! Nie dąsaj się, tylko zrób szybko swoją robotę, a potem zabierz się za te powiązania, o ile jakieś są. Może coś znajdziesz – zniecierpliwiła się Felicja. – Jadę z Gretą, bo sama to zaproponowała. Ona zna tego dziadka. Nie będziemy przecież we trzy go napastować! Wystraszyłyby się tylko i byłoby pozamiatane.

– Myślałam, że jesteśmy duetem...

– Bo jesteśmy. Ale trzeba to rozgrywać z sensem. Musimy dzielić się pracą. Masz tutaj wszystkie materiały i postaraj się jakoś dokopać do przodków tych radnych, Zgierskiego też. Skąd pochodzą, nazwiska dziadków, pradziadków, konotacje. Cokolwiek. Będiesz musiała dzwonić po urzędach, to zajmie ci dużo czasu. Sama chciałaś, a teraz to się zrobiło jeszcze ważniejsze! Wiemy już, czego szukamy. Poza tym pilnuj redakcyjnego maila. Może przyjdzie odpowiedź z ambasad. Jeśli tak, to od razu do mnie dzwoń. Liczę na ciebie, młoda.

– W porządku. – Malinowska wreszcie ustąpiła. – Ale potem musisz mi dokładnie wszystko opowiedzieć.

– Pewnie! Zdam ci szczegółową relację. Lecę już, nie chcę, żeby Greta czekała, a jedziemy dzisiaj jej samochodem. Mój karawan mógłby tam podobno wzbudzić sensację. Wyprowadzisz Buraska?

– Oczywiście. Aha, jest ciepło, nie musisz brać kurtki.

– Dzięki. Teraz nigdy nie wiadomo, w co się ubrać!

– Taki mamy klimat...

Rozstały się pogodzone. Pogoda rzeczywiście dopisywała, zapowiadał się słoneczny dzień. Najwyższy czas, w końcu już czerwiec. Felicja popędziła na osiedle na górcie, gdzie przed domem czekała już na nią Pazikowa.

– Coś taka zadyszana? – zażartowała na widok przyjaciółki, sama jak zwykle kwitnąca, wymuska i piękna w bladoróżowym wiosennym kostiumie.

– Głupie pytanie! – prychnęła dziennikarka. – Tu jest stromo! Prawie zawsze tędy jeżdżę, a nie chodzę, więc nie przywykłam.

– No, aklimatyzacja potrzebna...

– Żebyś wiedziała.

– Wsiadaj, jedziemy. – Greta zsunęła na nos okulary przeciwsłoneczne, otworzyła drzwi po stronie pasażera i włączyła silnik. – Szkoda czasu. To kawałek drogi stąd.

– Kaśka mówiła, że za dzieciaka jeździła tam rowerem.

– Na pewno. Każdy tam jeździł, ja też jeździłam. To bardzo ładne okolice, choć wioska zadupie. Ale rowerem jeździ się skrótami, przez pola i lasy. A my musimy jechać szosą, dookoła.

Wyjechały z Kryszewa na główną drogę, minęły kryszewskie lasy i podążyły wzdłuż łąk, torfowisk i zagajników. Felicja nie знаła tych terenów, więc rozglądała się ciekawie. Dopiero tutaj gdzieś rozciągały się pola uprawne, lecz nadal przeważały nieużytki, dzika roślinność, pomiędzy której od czasu do czasu pobłyskiwały oczka wodne, stawy, jeziora, a także strumyki, a może rzeczki. Zdecydowanie rolnictwo nie stanowiło podstawy gospodarki tej gminy. Od szosy odchodziły piaszczyste ścieżki, z rzadka ktoś się na nich pojawiał. Częściej do lotu podrywały się spłoszone warkotem silnika stada ptaków. Ruch na szosie też nie był duży, minęło je zaledwie kilka ciężarówek oraz jakiś młody chłopak na motocyklu. Okolica romantycznie pofałdowana – choć mniej „górzysta” niż koło Kryszewa – nastrajała refleksyjnie, nawet nieco usypiająco. Aż po horyzont ciągnęły się tutaj połacie zieleni, co dawało poczucie przestrzenności, szerokiego oddechu. Greta otworzyła okno i zapaliły.

– Daleko jeszcze? – zapytała od niechcienia Stefańska, bo droga rzeczywiście zdawała się dłużyć.

Greta zerknęła na nią spod oka.

– A co? Tylko nie mów, że chcesz sikać!

– Nie chcę sikać – zaprzeczyła Felicja. – Po prostu pytam. Z ciekawości. Zapomniałam zerknąć na mapę. Mam szukać w sieci?

– A kto ci każe! Uprzedzałam, że to kawałek drogi. Ale już niedaleko. Za chwilę dojedziemy do lasu, za nim skręcamy w Wyżną Hutę. Znalazłaś tych spadkobierców? – przypomniała sobie Greta.

– Jeszcze nie, czekam na odpowiedź z ambasady. Słuchaj, Gretka, czy gmina nie mogłaby doprowadzić do jakichś prac remontowych w starej kuźni? Chodzi mi o to, żeby dostać się do niedostępnych w tej chwili miejsc, na przykład do piwnicy. Jest zawałona gruzem. Może Niemcy celowo zasypali wejście? Albo ruscy? Naprawdę warto by to zbadać. Nie sądzisz?

Greta Pazik starannie zgasila papierosa.

– Czyli jednak chcesz szukać tych skarbów? – rzuciła kpiąco.

Dziennikarka wzruszyła ramionami.

– Upraszczasz, ale coś tam jednak może się kryć. Nie jesteście ciekawi, co tutaj macie?

Pazikowa przez chwilę milczała. Dotarli do ściany lasu ciągnącej się po obu stronach szosy, która nie była zbyt szeroka. Jak gdyby nagle znalazły się w tunelu... Zrobiło się mroczniej, cieniściej i chłodniej. Po chwili jednak drzewa się przerzedziły i wyjechały na otwartą przestrzeń, gdzie znów przygrzewało czerwcowe słońce. Greta zwolniła, skręciła w prawo, w gruntową drogę, prowadzącą dość ostro pod górę, pomiędzy polami uprawnymi a świerkowym zagajnikiem.

– Nasz wniosek o rozpoczęcie prac renowacyjnych w starej kuźni jest już w gminie, będzie rozpatrywany na najbliższej sesji rady – oznajmiła w końcu. – Teraz, po tych wydarzeniach, ma szansę przejść, choć oczywiście wszystko będzie zależało od funduszy.

– Jak zwykle – skwitowała Stefańska.

– Jak zwykle – przyznała Greta. – Za chwilę dojeżdżamy.

I rzeczywiście, gdy pokonały wzgórze, ich oczom ukazał się widok na małą, wtuloną w płytka kotlinę wioskę. Z jednej strony otaczał ją las, z drugiej pola, a dalej kolejna ściana lasu. Zaledwie parę niedużych gospodarstw wzdłuż piaszczystej drogi, ze trzy, może cztery. Zjechały ze wzgórza i już przed pierwszymi zabudowaniami ustawiła się gromadka biednie odzianych dzieciaków, wpatrująca się w samochód niczym w statek kosmiczny.

Inny świat, pomyślała Felicja, poruszona.

– Zauważyłaś? Te maluchy biegają na bosaka! Jak w dziewiętnastym wieku – powiedziała do Greta.

– Tak, tutaj widzisz problemy, z którymi musimy się mierzyć. I to nie jest żadna „patologia po dawnych pegeerach”, jak to się mówi, to po prostu bieda. Trudno się już tutaj utrzymać z rolnictwa – stwierdziła Greta i uchyliła okno. – Cześć, dzieciaki, może wiecie, czy u Konków ktoś jest w domu?

– No, chyba jo... – Wzruszył ramionami najodważniejszy zasmarkany sześciolatek, może siedmiolatek, podczas gdy reszta dzieci milczała z otwartymi ustami. Jedna z dziewczynek, może trzyletnia, z umorusaną buzią, dłużyła w nosie. Wszystkie sprawiały wrażenie wystraszonych jak dzikie zwierzątka.

– To super. Czekajcie, mam coś dla was. – Pazikowa sięgnęła do tyłu i wyjęła spod siedzenia dwie duże papierowe torby. Wręczyła je najstarszemu chłopcu. – Są tu owoce i cukierki. Podzielcie się. Tylko rozdaj wszystkim po równo! – poleciła z uśmiechem. – Bo inaczej zrobią się niesmaczne.

Dzieci nie podziękowały, ale Greta nie czekała na to, od razu ruszyła dalej. Felicja obejrzała się: malec rozdawał reszcie grupy jabłka i banany.

– Wiem, że to nie rozwiązanie, ale zawsze, kiedy tu przyjeżdżam, nawet służbowo, zabieram torbę słodczy – wyjaśniła pani wójt.

– Mają jakąś opiekę społeczną?

– Tak. Jako gmina mamy też różne programy wsparcia dla takich rodzin, dla dzieciaków w szkole, poza sezonem zatrudniamy ich ojców do prac porządkowych. Ale wiesz, to wszystko i tak nie wystarcza. – Zatrzymała się przy ostatniej zagrodzie. – Jesteśmy. To tutaj.

– Czekaj, zanim wejdziemy: czy ten Leon to rolnik? – Felicja się zawahała. – Zawsze tutaj mieszkał? Jest autochtonem?

– Nie, to znaczy tak, jest autochtonem. Jego rodzina pochodzi z Kryszewa, on sam też, tutaj przeniósł się po wojnie, jak wrócił z zesłania, i ożenił z dziewczyną z Huty – wyjaśniła. – Teraz gospodarstwo prowadzą syn z żoną, mają też dorosłe dzieci, a one też już mają dzieci. To co, idziemy?

– Tak.

Wysiadły. Zanim skierowały się do otwartej furtki w rozpadającym się płotku, obszczał je chudy kundelek, dla którego Greta też miała smakołyki. Tymczasem grupka dzieciaków zbliżyła się i nadal obserwowała je bacznie z bezpiecznej odległości. Maluchy jadły owoce.

– One teraz będą pilnowały nam auta. – Uśmiechnęła się Greta. – Nie wiem, co prawda, przed kim, ale niech się poczują ważne. Dostaną potem za to parę groszy na lody.

– Nie wiem, czy to jest wychowawcze.

– W ich przypadku tak. Nie jestem zwolenniczką dawania dzieciom pieniędzy w prezencie, bo w ten sposób uczy je się interesowności. Ale tutaj... sama widzisz. Lepiej, żeby nauczyły się, że pieniądze dostaje się za wykonaną pracę, a nie żebrząc pod sklepem.

– Albo licząc w dorosłym życiu wyłącznie na zasiłki – zgodziła się w końcu Felicja. – Może i masz rację. – Greta pchnęła uchyloną furtkę i weszły na podwórze, po którym rozbiegły się spłoszone

ich obecnością kury i kaczki. Dziennikarka rozejrzała się: było tu biednie, ale czysto, inaczej niż w sąsiednich obejściach, które mignęły jej przelotnie za szybą samochodu. Żadnego gruzu, śmieci, porzucanych narzędzi, tylko przystrzyżona trawa, rabatka bratków pod oknem niskiej, bielonej chałupy oraz mała, sklecona z desek ławeczka obok ganku. – Całkiem tu ładnie! – zauważyła.

– Tak, to porządni ludzie. – Skinęła głową Pazikowa. – Myślałam, że zastaniemy pana Leona tutaj, na ławce, bo zazwyczaj tu przesiaduje, ale zdaje się, że trafiliśmy akurat na ich porę obiadową...

– O dwunastej?!

– A co ty myślisz? Oni od rana zasuważą na polu. – Greta zastukała w okienko przy ganku. – Najwyżej zaczekamy.

Po chwili drzwi chaty uchyliły się i wyjrzała z nich dość młoda jeszcze kobieta w swetrze narzucanym na sukienkę mimo prawie już letniej pogody.

– Dzień dobry, mama w domu? – zagaiła Pazikowa.

– Jo. Mamo! – Kobieta się cofnęła. – Panie wejdą. Mamo!

– Zaczekamy. A jak tam dziadek, zdrowy?

– A zdrowy, zdrowy. Dobrze się trzyma, Bogu dziękować. Dzisiaj nawet kumaty. Mamo! – zawołała ponownie zniecierpliwiona, aż z sieni za jej plecami wynurzyła się druga kobieta, niemal identyczna, choć starsza. – Gości masz!

– A, pani wójt! – Starsza pani podeszła do drzwi, gdy młodsza się wycofała. – A my akuratnie przy stole. Właśnie kończymy obiadować, bo stary z synem spieszą zara z powrotem do roboty, no a dzieciaki rwą się na dwór. Wejdą panie...

– Piękna pogoda, zaczekamy tutaj, zjedzcie spokojnie. Z panem Leonem chcielibyśmy porozmawiać.

– Z ojcem? Ano, dobrze. O ile nie zaśnie, bo z nim to tera różnie bywa. Starość nie radość. Tato dziewięćdziesiąt osiem lat skończył w lutym, to już wiek. A o czym to chcecie z nim gadać?

– O dawnych czasach – włączyła się Felicja i się przedstawiła.

– A, jak o dawnych czasach, to jemu się gęba nie zamknie! – Zaśmiała się kobieta. – To wy se siadźcie na tej ławeczce, a ja kawy naparzę, ale zbożówki, z mleczkiem od naszej krowy, i za chwilę tatę wam przyprowadzę.

– Pani Heniu, naprawdę nie ma potrzeby, niech pani nie robi sobie kłopotu, za gorąco dziś na kawę! – wtrąciła szybko Greta.

– To może być kompot? Z własnych truskaweczek?

– Kompot? Świetnie!

– Tylko chłopów wyprawię i zara podam. – Gospodyni zniknęła w sieni, nie zamykając za sobą drzwi.

Przysiadły na ławce i czekały w milczeniu, wystawiając twarze do słońca. Po mniej więcej kwadransie na podwórko wyszła pani Henryka, prowadząc pod ramię zgarbionego staruszka. Za nimi podążała jej młodsza kopia – zapewne któraś z córek – z dzbankiem i drewnianym zydlem w ręku, a tuż za nią około dziesięcioletnia dziewczynka, która niosła tacę ze szklankami. Greta z Felicją wstały na powitanie starszego pana.

– Tatuś, panie chciały z tobą rozmawiać o starych czasach. O twoich wspomnieniach, pewnie z czasów wojny – wyjaśniła Henia zachęcająco, podczas gdy jej córka ustawiała na taborecie naczynia, a wnuczka pobiegła do szopy po krzesła ogrodowe. – Siadaj na swojej ławeczce, a goście niech się rozsiądą w fotelach. Masz, załóż kapelusz, jak jesteś na słońcu. – Podała ojcu słomkowe nakrycie głowy w stylu panamy.

– Usiądźcie panie z nami – poprosiła Stefańska.

– Córka musi wracać do prasowania, ale ja z wami chętnie chwilę posiedzę, odsapnę. U nas każdy ma swoje obowiązki, ja tu gotuję, tera fajrant. Potem znów do kuchni, bo kolację trza będzie szykować. A ty, Dżesika, bierz maluchy i idź z nimi nad rzeczkę, tylko pilnuj ich jak oka w głowie! – zwróciła się do dziesięcioletki, która przyniosła dwa niegdyś białe plastikowe krzesła.

– Do widzenia. – Młodsza kobieta uśmiechnęła się półgębkiem. – Dżesika, słyszałaś, co się do ciebie gada? Zasuważ po resztę i się nie gap! Znikajcie, tylko przed zmierzchem macie być z powrotem!

– Tak, tak, wypraw ich, Jadźka. Ale dej im też kompotu!

– Dostały. Niech się mama nie martwi. – Kobieta weszła do domu razem z dziewczynką.

Henryka usiadła obok ojca. Gdy napełniała szklanki aromatycznym płynem, Felicja przyjrzała jej się ukradkiem: miała gładką, rumianą twarz, bez zmarszczek, choć pewnie przekroczyła siedemdziesiątkę. Kiedyś była ładna, jak zresztą jej córka. I wnuczka Dżesika.

– Panie Leonie... – zaczęła Greta, ale staruszek przerwał jej, uśmiechając się i prezentując kilka własnych jeszcze zębów:

– Ty jesteś ta mała Marylka, co? – Miał miły, cichy głos, jedynie z lekka z wiekiem drżący.

– Nie, ja jestem Greta. Nie pamięta mnie pan? Maryla to była moja mama. Maria, ale wołali na nią Maryla.

– A nie Inga?

– Inga to moja babcia. Mama taty.

– Aaa... jo. Pamiętam, pamiętam. Jo wszystko pamiętam. Ale ciebie, dziecko, nie poznaję – zwrócił się do Felicji.

– Bo ona nie stąd. To moja przyjaciółka, panie Leonie.

– Tato, daj se spokój, pani Greta jest wójtową naszej gminy, przecież wiesz, a ta druga pani jest z gazety! – wtrąciła córka. – Chcą z tobą rozmawiać, więc im nie przerywaj, tylko słuchaj!

– Dobra, już dobra – zawstydził się starszy pan Konke. – Jo tak ino z rozpędu. To co chcecie, żeby wam opowiedział?

– Panie Leonie, o starej kuźni. Tej w dolinie, od diabła. Jak to z nią było przed wojną i w czasie wojny. Pan to na pewno pamięta – odezwała się Greta.

– O kuźni, powiadasz? A pamięta, pamięta. Niech ino pomyślę. To ty, dziecko, masz wójta za męża?

Greta zarumieniła się – to był dla niej drażliwy temat – a Felicja nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Co ty, tatko, gadasz?! – odezwała się zawstydzona Henia. – Jakiego męża? Toć ona sama jest tu tym... wójtem!

– Jakże to tak? – zdziwił się dziadek. – Mówiłaś, że ona wójtowa.

– Greta jest wójtem gminy. Już od paru lat pełni ten urząd, i robi to znakomicie! – usiłowała zagadać temat Stefańska.

– To tera babom dają rządy?

– Tak. Teraz to bez znaczenia chłop czy baba. A ma pan coś przeciwko temu? – Felicja nie dała za wygraną.

– Jo nie! Skąd! Sam bym im już dawno dał. Przynajmniej porządek potrafią zaprowadzić te kobitki. – Zachichotał Konke. – A z kuźnią to były dopiero hocki-klocki. Ją Żyd jeden kupił, po Niemcu, i zaprowadził tam swoje porządki. Galant taki, miglanc. Dom gościnny w niej urządził, z knajpą razem. I tłumy się tam miastowych zjeżdżały. Dobrze mu się wiodło, nie powiem. Ale wszystko do czasu... – Staruszek zawiesił głos i się zamyślił.

– Gdy nastąpiła Trzecia Rzesza?

– Jo. Hitler, skurczybyk, bandyta. Już zanim wojna wybuchła, prześladować zaczęli i nas, Kaszubów, i Polaków, ale najbardziej Żydów.

– Tutaj u nas też? W Kryszewie?

– Tak samo jak wszędzie. – Starszy pan wzruszył ramionami i napił się kompotu, który podała mu córka. – Ale najpierw się wzięli za biedaków, wiecie, takich w chałatach i myckach. Ten był bogaty, to go na razie nie tykali, ino szykany robili różne. Ty to pamiętasz, nie? – zwrócił się nagle do córki.

– Nie, tato, nie pamiętam. – Zaśmiała się. – Jak mogę pamiętać, skoro urodziłam się długo po wojnie, dopiero jak cię ruscy wypuścili z łagru?

Konke machnął ręką.

– Jo, jo – zmieszał się. – Nie pomyślał jo. Wy młode jesteście.

– Jakie szykany? – zapytała Felicja.

– Ano różne. Naloty, kontrole, przesłuchania, dzieciakom ich w szkole urządzali nagonki, jo wtenczas też chodził do powszechnej. To wiem.

– A jak na to reagowali inni? Miejscowi, ale nie Żydzi? Bo słyszałam, że ten hotelarz był tu lubiany i szanowany – wtrąciła się Greta.

– Bo on tu dużo pomagał, różne dobra fundował. Miły człek z niego był, to go i lubieli. Ale wiecie jak to z ludźmi. Kiedy przyzwolenie jest na krzywdę od władzy, to zawsze się znajdą tacy, co skrzywdzą. Wynajdą gorszych od siebie, tak im się zdaje. My święci nie byli. – Spoważniał i nagle wydał im się mędrce, a nie zdziwionym staruszką. – Niszczyło się Żydom kramy, sklepy, stragany. Ot, dla głupiej zabawy. Bo było wolno. Wstyd mi tera, bom nie był lepszy. Nawet jeśli sam w tym udziału nie brałem, to nic nie zrobił. Śmiali mi się z tego, jakby nie wiem, jaki kawał zrobili. Chłopaki durne. Temu od tej kuźni też się takie paskudne psikusy robiło. A to Gwiazdę Dawida ktoś mu wymalował na tym

hotelu, a to farbą oblał...

– Czyli antysemityzm już wtedy tu był?

– Jo. To tak jak jad się sęczyło. Od góry szło, a tępe ludzie jak barany łykali.

– Wiadomo. „Ciemny lud wszystko kupi” – zacytowała Felicja.

– Jo.

– Nie tylko ciemny lud – sprzeciwiła się Pazikowa. – Tak samo „mądrzy”, wykształceni, ilu takich było? I jest? Z innych pobudek to robią: dla zysku, ze strachu, żeby się przypodobać, swój tyłek chronić. Tacy są jeszcze gorsi.

– Pełna zgoda – przytaknęła dziennikarka. – Gorszi, bo świadomi.

Henryka wstała z ławki.

– Doniosę więcej kompotu – oznajmiła, być może znudzona rozmową. Po chwili dobiegły ich podniesione głosy z chałupy: najwyraźniej Henia kogoś obsztorcowała. Zapewne córkę albo synową. Widać było, kto tu rządzi.

– I co było dalej, panie Leonie? – zachęciła rozmówcę Greta.

– Ano, było jak było – podjął Konke. – Wojna wybuchła i piekło się zaczęło. Aresztowania, bicie, rozstrzeliwania po lasach, obozy, co ja tam wam będę mówić. Piekło. Śni mi się ciągle. Ja do lasu poszedłem, ledwie trochę podrosł. A Żydów hitlerowcy wymordowali. Tego z tej kuźni galanta też nie oszczędzili. Całą rodzinę zabrali nocną porą. Razem z jego kobietą, z dziećmi. To straszne czasy były!

– Ale niektórym udało się uciec?

– Ale to wcześniej, przed wojną – wyjaśnił. – Potem już nikt nie zdołał uciec. Chyba że ktoś się dobrze ukrywał. Choć jo nie znam takich przypadków. Nie tutaj. Tu my same gniazdo os mieli. *Freie Stadt Danzig*.

– A co działo się z kuźnią? – zapytała Felicja.

– Szkopy ją zajęli. A później czerwoni. Dalej jo nie wiem, bo mnie zesłali, ale jak powrócił, to ona już pusta stała, jak i stoi. Ponoć diabeł tam straszy, trupy zostawia. Wszystko możliwe, bo dużo złego tam się działo. Przeklęta ona. A tego Żyda ktoś zakablował. On się ukrywał przez pewien czas, że on niby nie-Żyd. Bo on taki trochę farbowany był. Nie do końca Żyd. Ludzie też go kryli. Ale się znalazł Judasz.

Greta się pochyliła.

– Kto, panie Leonie?

Starzec wzruszył ramionami.

– A tego to nie wiem. Gadali o tem ludziska wtenczas, ale jo już zapomniał wiele rzeczy. To zresztą tylko gadanie było, prawdy nikt nie znał.

– A czy przypomina pan sobie jakieś nazwiska związane z tą historią? Kto jeszcze mógłby coś wiedzieć na ten temat?

Konke zastanawiał się przez chwilę. Zdawało się, że kiedy błędził myślami w przeszłości, ubywało mu lat.

– Król – odezwał się w końcu.

– Jaki król? – zdziwiła się Greta.

– Nazwisko takie, dziecko. – Zarechotał. – Nie że taki w koronie!

– Król? Może Krall? – podchwyciła Felicja.

– A może i Krall, nie pamiętam.

– Kto jeszcze mógłby pamiętać? Żyje ktoś z tamtych czasów? A może pani Bagińska, matka tego artysty? Jak pan myśli?

– Ta Wikta? Ona za młoda! – Machnął ręką z lekceważeniem. – Toć z niej mała dziewczynka jeszcze.

– Wtedy. Teraz to już starsza pani. Ale mówiła, że pamięta, jak ich zabierali. Tę żydowską rodzinę z kuźni...

– Oni tam mieszkali po sąsiedzku. To mogła widzieć. Ale żeby coś z tego rozumiała, to nie wierzę. Mała dziewczynka, dziecko jeszcze. Wielu widziało, bo to pokazówka była. Szkopy chcieli, żebyśmy w strachu żyli.

– No tak, ale już chyba nikt więcej z tamtych czasów tutaj nie został. Dawni mieszkańcy albo wyemigrowali lub zostali wypędzeni, albo zginęli, albo już pomarli – westchnęła z rezygnacją dziennikarka.

– Trudno. – Greta wstała. – Może z ambasady się czegoś dowiemy. Będziemy się zbierać, pan pewnie zmęczony, panie Leonie. Pójdę po panią Henię...

– Ja już idę, idę! – odezwała się Henryka, wychodząc akurat z domu. – O, tatuś zaczyna przysy-



piąc. Dobrze, bo to w sam raz czas jego poobiedniej drzemki. Chodź, tato, zaprowadzę cię do chałupy. Pomógł wam? – Uśmiechnęła się do gości. – Do rzeczy choć gadał?

– Bardzo. Sporo nam pan Leon wyjaśnił.

– To dobrze. A kompocik smakował?

– Jakżeby nie? Był pyszny. Pani Heniu, to my już uciekamy. Pod płótem zostawię siatki dla państwa. Trochę różności. Kawa, herbata, puszki, słodycze, puszki dla psa i kotów.

– A nie trza było! – Kobieta machnęła ręką, ale widać było, że się ucieszyła. W tym domu nie było nędzy, ale też się nie przelewało.

Tymczasem stary pan Konke, wsparty na jej ramieniu, przestał reagować. Oczy znów mu się zamglily, jakby zapadł się w siebie.

– Trzeba, trzeba. Coś za coś – uparła się Pazikowa. – Do widzenia, jeszcze raz dziękujemy za wszystko. – Poszły w stronę furtki i już prawie wychodziły na drogę, gdzie zostawiły auto, gdy usłyszały jakieś zamieszanie za plecami.

– Tatu! – wołała zdenerwowana Henryka. – Na litość boską, daj już spokój! Wracamy do domu!

Odwróciły się. Staruszek niemal szarpał się z córką, a gdy zobaczył, że przystanęły, drżącym starczym głosem zawołał:

– Jo sobie przypomniał tego kapusia! Tak ludzie gadali. On się nazywał... jakoś... Schlamm albo Schleim...

Wianuszek dzieci otaczał auto. Gdy do nich podeszły, dzieciaki cofnęły się, ale już były śmielsze. Greta wyjęła z kieszeni przygotowane drobniki.

– Dobrze pilnowaliście? – zapytała z poważną miną.

– Jo! – odezwał się umorusany siedmiolatek, a inne mu zawtórowały.

– Żaden Gargamel się nie zbliżał?

– Nieee! – odparły ze śmiechem, tym razem był to już chór rozbawionych dziecięcych głosów.

– To w nagrodę kupcie sobie cukierki. – Rozdała monety, po czym wsiadły do samochodu i ruszyły w drogę powrotną odprowadzane czujnym wzrokiem maluchów i gdakaniem spłoszonych kur.

Felicja zapaliła dwa papierosy, jeden podała przyjaciółce. Greta uchyliła okno.

– Ciekawe, co to za... jak? Schlem? – zastanawiała się Stefańska.

– Jakoś tak. Albo Schlam.

– Zapisałam, ale nie chce mi się teraz wyciągać notesu. Jakoś tak. Kojarzysz takie nazwisko?

– Kompletnie nie. – Greta wzruszyła ramionami. – Nikt taki już tu raczej nie mieszka. Nazwisko brzmi z niemiecka. A jak wiesz, większość Niemców stąd wypędzono albo sami uciekli pod koniec wojny, niektórzy po wojnie. To musiał być ktoś z dawnych mieszkańców. Zachowały się jakieś przedwojenne spisy ludności, nawet w sieci takie widziałam, możemy poszukać.

– Możemy, ale niewiele nam to pomoże. – Felicja zmarkotniała. – Sprawa i tak pewnie bez związku. Nie będziemy szukać jakiegoś cholernego Niemca po całym świecie, w sumie po co? Żeby dać mu w ryj?

– Mógł być Żydem – zauważyła Pazikowa.

– Myślisz?

– Nie wiem, ale tego typu nazwiska mogły też być żydowskie. – Greta wyjechała z polnej drogi na szosę. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Albo kaszubskie?

– Nie, kaszubskie raczej nie, inaczej brzmi.

– Trudno. Wątpię, żeby nam to coś dało, ale muszę pomyśleć. A co sądzisz o opowieści dziadka? – zapytała Felicja, zsuwając na oczy okulary przeciwsłoneczne.

– Przejmująca. Straszna. Bardzo przytomnie opowiadał. Widać, że te wspomnienia są w nim wciąż żywe.

– Przerażający był ten antysemityzm, ta bezmyślna nienawiść. – Ze smutkiem pokiwała głową dziennikarka. – Nawet w takiej małej społeczności. I najgorsze, że to się nigdy nie skończy. Przeciwnie, zatacza coraz szersze kręgi, dotyczy wszelkiej odmienności, różnych kultur i nacji. Nienawidzę nacjonalistów, wszelkich fobii, to choroba... A ten pierwszy zabity radny, jak mu było? – przypomniała sobie.

– Marek Kownacki.

– Był nacjonalistą?

– Tak się mówiło. Zdecydowanie należał do skrajnej prawicy. Myślisz, że coś z tego wynika? – zainteresowała się Greta.

– Tak mi się skojarzyło. Nie pytaj. Na razie mam mętlik w głowie... – Umilkła, gdy w kieszeni

rozdzwoniła się komórka. Wyjęła telefon i zerknęła na wyświetlacz. – To moja matka – mruknęła i po chwili wahania odebrała.

– Felu, miałaś zadzwonić, pamiętasz? Ale nie, ty tylko czekasz, aż stara matka pierwsza się do ciebie odezwie, bo się zamartwia! – W słuchawce rozległ się pełen pretensji głos. – Co się z tobą dzieje, dziecko, na litość boską?

– Mamo, jestem w pracy, w terenie, nie mogę teraz rozmawiać.

– A co ty masz tam za pracę na tym zadupiu? W terenie, dobre sobie, chyba w lesie, a może w polu, chciałaś powiedzieć!

– Oddzwonię wieczorem, mamo, przepraszam. – Rozłączyła się pospiesznie i zerknęła na Gretę, która prowadziła w milczeniu. – Cholera, a myślałam, że to Kaśka dzwoni z jakimiś wiadomościami...

– Nie powinnaś jej tak zbywać – powiedziała Greta. – Chodzi mi o twoją mamę.

– Może i nie powinnam, ale nie mam do niej cierpliwości. – Felicja liczyła, że przyjaciółka nie usłyszała snobistycznych uwag matki na temat jej pracy w Kryszewie i samego Kryszewa. Matka od lat nienawidziła Grety, obarczając ją winą za „złe postawy” córki. – Naprawdę do niej oddzwonię, tylko muszę się przygotować.

– Nie chcę ci truć, to są wasze rodzinne sprawy. Ale pamiętaj, że matkę ma się tylko jedną. Przekonasz się, jak jej kiedyś zabraknie. Nikt nie jest doskonały. Moi rodzice też nie byli. A teraz tęsknię za nimi każdego dnia.

– Wiem, Gretka, wiem – westchnęła. – Staram się... – W tym momencie telefon zadzwonił ponownie. Tym razem na ekranie pojawił się wyczekiwany awatar Malinowskiej. Felicja odetchnęła z ulgą: przynajmniej nie będzie musiała kontynuować rozmowy z Gretą na temat matki.

– Cześć, Kaśka, masz coś ciekawego? – podjęła ochoczo.

– Odpisali z ambasady!

– Z której?

– Z izraelskiej. Ale podobno polska przesłała prośbę do nich.

– I co?!

– Podali namiar na kogoś z rodziny tej spadkobierczynie. Za zgodą tej osoby. Bo ona sama, to znaczy tamta kobieta, nie żyje już od dwudziestu lat.

– Super, młoda, dzięki!

– Kiedy będziesz w biurze?

– Już wracamy. Za chwilę będę. Zaczekaj na mnie, dobrze?

– Czekam.

Felicja się rozłączyła. Temat matki wyleciał jej z głowy.

– No, to mamy zamiary na byłych spadkobierców z Izraela! – oznajmiła z przyływem energii.

Właśnie dojeżdżały do miasteczka.

– Świetnie. – Uśmiechnęła się Greta. – Podwożę cię, a sama zajrzę jeszcze na chwilę do urzędu.

Kaśka czekała ze świeżo zaparzoną kawą w dzbanku oraz esencją w czajniczku. Przygotowała nawet talerz kanapek z serem i humusem z oliwkami.

– Pomyślałam, że zgłodniałaś – powiedziała, zanosząc posiłek do stołu w części wypoczynkowej biura, gdy Felicja zaliczyła już ceremonię witania się z psem i odczytała na stojąco wiadomość z ambasady. – Mam jeszcze kawałek sernika, ale wiem, że nie przepadasz za słodyczami...

– Niezbyt. Kanapki wystarczą. Jesteś kochana! – Wciąż jeszcze zaaferowana i rozkojarzona dziennikarka padła wreszcie na fotel.

– Co chcesz: kawę czy herbatę?

– Tym razem może być kawa. – Zawahała się. – Szybciej zadziała. Trochę zmęczyła mnie ta rozmowa.

Malinowska nalała kawy do kubków i zabrały się do jedzenia, dzieląc się z Buryem, który nie odpuszczał, kiedy w grę wchodziła „ludzka karma”: musiał wszystkiego skosztować. Tym razem humusem wzgardził, ale serek mu smakował.

– Kiedy zamierzasz skontaktować się z tymi ludźmi? – zapytała Kasia, przetykając kęs kanapki z serem.

– Jeszcze dziś napiszę, spróbuję się umówić na rozmowę, tak będzie łatwiej niż pisanie maili. Jest trochę rzeczy do ustalenia...

– Przez Skype'a?

Felicja wzruszyła ramionami.

– Albo przez Messengera – odparła. – Na pewno przez Internet, o ile tylko oni będą mieli taką

możliwość.

– Sprawdziłam. Ta kobieta, Tamar Peretz, jest na Fejsie. Chyba, bo dane się zgadzają. Czyli to musi być raczej otwarta osoba. Bo ortodoksi mają tam podobno własne portale. Osobne dla kobiet i dla mężczyzn. Kurczę. Trochę mnie zaskoczyli... Taka segregacja w dwudziestym pierwszym wieku?

– Mam to gdzieś, ich sprawa. Różne są obyczaje. Byle nie narzucać swoich innym. Młoda? Stara? Ta kobieta?

– Raczej niestara. W średnim wieku.

– Oby tylko zechciała rozmawiać.

– Dzwonisz z urzędu. Dlaczego ma nie chcieć? Co by jej szkodziło?

– Oj, młoda, życia nie znasz. To są zaszłości... W grę mogą wchodzić uprzedzenia. Ale i tak wyciągnę z niej, ile się da. Byle odpisała. Dolej mi jeszcze kawy, dobrze? – Felicja włączyła Facebooka w smartfonie w poszukiwaniu profilu Tamar. – Cholera, oczywiście jest więcej osób o tym imieniu i nazwisku. Która to? Albo nie, siedź! – Wyszła z aplikacji. – Później ją znajdę na komputerze. Muszę zapalić. Przeżyjesz?

– Oj, daj spokój! Już sto razy mówiłam ci, że mi to nie przeszkadza. Lubię zapach tytoniu. A jak wam poszło z tym staruszkim?

– Ech, to była ciężka rozmowa. Smutna. Ale ciekawa. – Streściła asystentce jej przebieg, zaciągając się dymem. – Trzeba by poszukać tego nazwiska w archiwach. Schlem albo Schlam. Coś się kojarzy?

Malinowska pokręciła głową.

– Nie, ale zajmę się tym. Ty masz już dość na głowie.

– Dzięki, Kaśka. Może znajdziesz jakieś powiązania. Zaczynaj jutro. A teraz, jeśli chcesz, możesz się już zwijać na chatę.

– Serio? – Ucieszyła się dziewczyna.

– Serio. Odsapnę chwilę i potem napiszę do tej Tamar. – Felicja przypomniała sobie, że ma jeszcze zadzwonić do matki. Postanowiła zrobić to od razu po wyjściu Kaśki z biura. Żeby jak najszybciej mieć tę rozmowę za sobą.

– No proszę, zadzwoniła jednak! – sarknęła matka na powitanie. – Cóż za zaszczyt! – dodała zgryźliwie.

– Mamo...

– Co „mamo”, co tak jęczysz?

– Nie dałaś mi skończyć, mamo. Obiecałam, że oddzwonię, więc oddzwaniam. Dopiero przed chwilą wróciłam.

– I znalazłaś łaskawie czas dla starej matki? Cud się stał. A czym ty się tam teraz zajmujesz w tej swojej pipidówce? Co to za ważne sprawy w tym terenie?

– Normalne sprawy. Reporterskie – skwitowała Felicja.

– Pewnie znowu jakieś truposze.

– Jakbyś zgadła! – fuknęła. Wiedziała, że matkę tak naprawdę to nie interesuje. Chciała jej dogryźć.

I się nie pomyliła.

– Znaleźli frajerkę, to ją wykorzystują, żeby się dla nich narażała i guza szukała. Ta cała Greta... Swoją drogą, skąd takie germańskie imię?

– Bo to pewnie opcja niemiecka, mamuś. – Nie wytrzymała.

– Wypraszam sobie takie porównania.

– Jakie porównania?

– Wiem, do czego pijesz. Myślisz, że nie oglądam telewizji, że nie wiem, co się dzieje w polityce?

– Mamo, ja nie pytam, na kogo głosujesz. Co u was słychać? Jak się miewasz? A tata zdrowy?

Usłyszała prychnięcie.

– Nagle się zainteresowała! Jak ja się mogę miewać w moim wieku? A twój ojciec to przez całe życie narzeka, choć wszystkich przeżyje. Powiedz lepiej, co u ciebie. Zdaje się, że już się powinnaś szykować do ślubu?

– Szykuję się – westchnęła Felicja. – I pewnie ucieszy cię, że nie będę już pracowała w Kryszewie. Tylko do końca roku. Zaproponowali mi pracę w zespole prasowym policji w Gdańsku.

– Zamierzasz zamieszkać u... tego?

– Tak, u tego. W końcu będzie moim mężem.

– Dopiero się doigrasz, głupia dziewczyno. Ty wiesz, co to znaczy być żoną policjanta? Na dodatek takiego od morderców i innych bandytów? Jeszcze będziesz płakać...

– Mamo, wiem, co to znaczy. Jesteśmy razem nie od dziś, ten ślub to tylko pro forma. Ale mam nadzieję, że na nim będziecie.

– Nie otrzymałam zaproszenia.

– Bo nikt jeszcze nie otrzymał. To dopiero za parę miesięcy.

– No nie wiem. – W tonie matki dał się słyszeć foch. – Jeszcze to przemyślę. Jesteśmy przeciwni temu związkowi, ale...

– Tata też jest przeciwny? Poważnie? Zdawało mi się, że się ucieszył. – Felicja usłyszała w tle podniesione, choć zduszone głosy, widocznie ojciec znowu się wtrącił.

– On nigdy nie ma swojego zdania – odparła matka pogardliwie. – Swoją drogą szybko się pocieszyłaś po Sebastianie. Czym ci zawrócił w głowie ten milicjant?

Felicji zachciało się śmiać. Zwykle tak było: matka najpierw wyprowadzała ją z równowagi, a potem zaczynała już tylko bawić. Ewidentnie złośliwie, a nie przez przejęzyczenie, użyła słowa „milicjant”.

– Policjant, nie milicjant, mamo. Już od kilkudziesięciu lat nie ma w Polsce milicjantów. Sebastiana zostawmy w spokoju. Nie żyje od kilku lat, a żałobę noszę w sercu. Natomiast Artur to porządny facet, przekonasz się, kiedy go wreszcie poznasz.

– Jeśli porządny, to z tobą długo nie wytrzyma.

– O to się nie martw, dobrze? To już wyłącznie nasza sprawa.

– Skoro tak...

– Właśnie tak. Nie mam dwudziestu lat, mamuś, ani nawet trzydziestu. Radzę sobie.

– No dobrze. – Matka westchnęła ugodowo. – To szykuj się do tego ślubu, tylko w kwestii sukienki zwróć się do mnie, pomogę ci wybrać coś gustownego.

– Nie będzie żadnej sukienki, tylko kostium. Prosty, w kolorze kości słoniowej. Już go mam, wisi w szafie. Bierzemy ślub cywilny, nie kościelny, więc w zupełności wystarczy. – Wolą nie dodawać, że kostium dostała od Grety.

– Ty wszystko wiesz lepiej!

– Niekoniecznie. Ale wiem, czego chcę.

– Zawsze byłaś pyskata i niepokorna. Skaranie boskie z tobą. Wracaj do tej swojej pracy, bo pewnie nie możesz się doczekać, żeby się uwolnić od matki. Tylko uważaj na siebie i porządnie się odżywiaj, bo cię żaden chłop nie zechce, nawet ten twój... policjant.

– Dobrze. Będę się odżywiać. Do usłyszenia, mamo. Uściskaj tatę.

– Mówi, że też cię ściska. Coś tam jeszcze mamrocze... że czym ona się ma nie przejmować? A siedź ty tam lepiej cicho! To nie do ciebie, tylko do twojego ojca – dodała. – Sam już nie wie, co głądzi.

– Przekaż tacie, że się nie przejmuję. Zadzwoń, mamo, jak tylko będę miała więcej czasu. Pa! – Felicja rozłączyła się z ulgą.

Po tej rozmowie długo czuła niesmak, jednocześnie siebie przez to – i o to – obwiniając. Jak zwykle. Tak układały się jej relacje z matką już od wczesnego dzieciństwa: zawsze czuła się jednocześnie skrzywdzona i winna. Bardziej winna, zwłaszcza w młodości. Matka była wampirem energetycznym i taka pozostała. Co nie zmieniało faktu, że Felicja mimo wszystko ją kochała. W końcu matkę ma się jedną, jak zauważyła Greta, a miłość na linii rodzic–dziecko jest chyba zapisana w genach. Biologiczna. Organiczna. Nawet jeśli czasem miesza się z nienawiścią, żalem, a przynajmniej z brakiem wzajemnej akceptacji.

Usiłując wyrzucić wspomnienia wywołane rozmową z matką, Felicja zaparzyła sobie herbatę i napisała maila do Tamar Peretz. Zakładając, że kobieta – wyrażając przeciwieństwo zgodę na podanie kontaktu – spodziewa się wiadomości, z grubsza naszkicowała problem i poprosiła o rozmowę przez telefonię internetową. Nie miała pojęcia, czego może się po niej spodziewać, ale czuła, że warto. Zidentyfikowała i dokładnie przejrzała profile Tamar w sieci. Na podstawie zdjęć w social mediach uznała, że pani Peretz wygląda sympatycznie. Z pewnością nie na osobę ortodoksyjną czy choćby religijną. Na oko najwyżej około czterdziestki, całkiem ładna rudawka blondynka ubierająca się na sportowo. Z postów wynikało też, że niezłe zna angielski, dlatego pisząc wiadomość, Felicja posłużyła się właśnie tym językiem.

Teraz mogła już tylko czekać na odpowiedź.

\*\*\*

A ta nadeszła szybko. Kiedy Felicja nazajutrz po śniadaniu włączyła komputer i weszła na redakcyjną pocztę, mail od Tamar Peretz już czekał na nią w skrzynce. I o dziwo, napisano go po polsku, bez

błądu.

Dzień dobry,

jeśli to pani nie przeszkadza, możemy przejść na polski. Znam język z domu rodzinnego, choć rzadko się nim posługuję. Dla mnie to okazja, by poćwiczyć. Jeśli będę robiła błędy, wrócimy do angielskiego. Z ochotą porozmawiam z panią na Messengerze, możemy przez Facebooka, chyba tak będzie najłatwiej. Proponuję, żebyśmy połączyły się dziś o godzinie 18 waszego czasu. Czy to pani odpowiada? Mam nadzieję, że będę mogła pomóc. Samara Segal była moją ciotką, niestety już nie żyje. Jestem jej najbliższą rodziną.

Do usłyszenia

Tamar

Dziennikarka się ucieszyła. Lubiła takich konkretnych ludzi. Odpisała od razu, potwierdzając godzinę rozmowy.

Były więc umówione.

Od razu zakomunikowała to Malinowskiej, kiedy lekko spóźniona i zdyszana pojawiła się w biurze.

– No proszę! No to super! A ja też coś mam. Przyszłam dziś później, bo byłam już w parafii, przeglądałam z księdzem archiwalne księgi parafialne, przedwojenne, katolickie i protestanckie. Te protestanckie po wojnie trafiły do nich po przejęciu kościołów, to znaczy w sensie budynków z wyposażeniem. Znalazłam w nich jakiegoś Schlamma. Hubert Schlamm, daty by się zgadzały, innych podobnie brzmiących nazwisk nie ma, więc to chyba musi być ten. Zapisy są niepełne, niezbyt czytelne, nie dojdiesz szczegółów, ale ten facet na pewno mieszkał w Kryszewie. Jest też w przedwojennym spisie mieszkańców, który znalazłam w bibliotece cyfrowej. O kurczę, ale się zmachałam! Biegłam...

– Młoda jesteś, to biegaj. Czyli mamy potwierdzenie, że facet istniał, a stary Konke nie bredził. Trzeba by ustalić, kim był. I czy żyją tu jego potomkowie.

Kaśka wrzuciła ramionami.

– Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Może poszukam w gazetach z tamtego okresu, czyli z lat trzydziestych i czterdziestych.

– To dobry pomysł. – Z aprobatą skinęła głową Felicja. – Wtedy nie istniała ochrona danych osobowych, w plotkarskich rubrykach bez oporów walili pełnymi imionami i nazwiskami. Jest szansa, że natrafisz na choćby jakąś małą wzmiankę. Pojedziesz do Narodowej w Gdańsku?

– Tak, jeśli będzie trzeba. Ale może zostały zdigitalizowane – odparła Malinowska. Usiadła przy swoim biurku i włączyła komputer.

– Najważniejsze, że posuwamy się do przodu. Coś mi świta, ale nie mogę złapać tej myśli. – Felicja westchnęła. – Tak jakbym już gdzieś... Nic z tego, znowu mi uciekło. Pustka, cholera.

– Tak niekiedy bywa – pocieszyła ją asystentka. – Może z czasem cię olśni. Idę zrobić sobie kawę, a potem odwalę newsy i zajrzę do biblioteki cyfrowej. Chcesz też? Kawy?

– Nie, dzięki.

– Zjesz drożdżówkę?

– Nie, nie, nie jestem głodna, muszę się przygotować do tej rozmowy. Przejdę się jeszcze z Burym. Na spacerze najlepiej mi się myśli.

\*\*\*

– Możemy sobie mówić po imieniu, jeśli się pani... jeśli się zgodzisz. Będzie nam łatwiej rozmawiać. Jestem Tamar. – Kobieta na wizji się uśmiechnęła i atmosfera od razu stała się swobodniejsza. Mówiła doskonale po polsku, z lekkim, prawie niezauważalnym akcentem.

– Oczywiście! Z przyjemnością – odparła Stefańska, odwzajemniając uśmiech. – A ja Felicja.

Wybrały opcję rozmowy z kamerą i dziennikarka mogła się teraz lepiej przyjrzeć interlokutorce. Tamar Peretz mogłaby być mniej więcej w jej wieku, choć na fotografiach wyglądała na młodszą. Kamera na żywo zniekształca rysy twarzy, wyostza je, postarza. Nie miała semickiej urody, ale też Felicja nie za bardzo wiedziała, na czym ma ona polegać. Najważniejsze, że okazała się sympatyczna.

– Felicja. Piękne imię! – skomentowała z entuzjazmem Peretz.

– Dziękuję. Nie przepadam za nim, ale cieszę się, że ci się podoba. Tamar brzmi o wiele lepiej. Wyjaśnię, o co chodzi. To trochę skomplikowane... – Felicja postanowiła nie wspominać pani Peretz o morderstwach, nie chciała jej przerazić. – Nasza gmina nosi się z zamiarem restauracji budynku starej kuźni, która przed wojną należała do waszego przodka, i...

– Restauracji? – zdziwiła się Tamar.  
– Remontu. Renowacji. Chcą tam urządzić muzeum.  
– Tak, już rozumiem! Mów dalej, proszę.  
– Zlecono mi opracowanie zarysu jej historii. Jak już ci wspominałam, jestem rzeczniczką prasową urzędu gminy i redaktorką gminnych mediów. Dzieje budynku aż do dwudziestego wieku są jasne i nie budzą wątpliwości. Dopiero najnowsza historia...

– Najnowsza historia cała była trudna. – Spoważniała Tamar.

– Zgadza się. Niestety. Ale mam nadzieję, że pomożesz mi rozwiązać niektóre niejasności dotyczące kuźni. Pisałaś w mailu, że Samara Segal była twoją ciotką. Była też spadkobierczynią przedwojennego właściciela budynku, który nazywał się Markus Davidsohn. To ona w latach dziewięćdziesiątych przekazała posesję wraz z zabudowaniami samorządowi, czyli władzom lokalnym. Wiedziałas o tym?

– Tak, znam tę sprawę. Markus był jej krewnym z bocznej linii, kuzynem jej ojca. Dokładnie tego nie wiem, nie interesowałam się aż tak bardzo przeszłością rodziny. Rozumiesz, u nas to drażliwy temat. Ten okres zazwyczaj łączy się z traumą. A teraz już nie mam kogo zapytać. Z tego pnia zostałam tylko ja. Ciotka uznała, że najprościej będzie scedować prawa do zabytkowego budynku na nowe polskie władze. Bo co my mielibyśmy z nim zrobić? Nie byliśmy zamożną rodziną. Ciocia otrzymała jakąś rekompensatę, niewielką, jednak wtedy potrzebowała pieniędzy na leczenie. Kilka lat później zmarła na raka.

– Przykro mi.

– Nie musi być ci przykro. – Tamar machnęła ręką. – To było dawno. Ponad dwadzieścia lat temu. Byłam wtedy młoda. – Uśmiechnęła się z nostalgią. – Młoda dziewczyna. Studiowałam filologię polską.

– To już rozumiem, dlaczego tak świetnie mówisz po polsku!

– Nie tylko dlatego. Wychowywała mnie ciocia, bo moi rodzice wcześniej umarli. Zginęli w wypadku. Samara była młodszą siostrą mojej babki. Obie czuły się i Żydówkami, i Polkami. Zanim ich rodzice, a moi pradiadkowie, przenieśli się do Danzigu, mieszkali w Łodzi, stamtąd pochodziła nasza rodzina od pokoleń. Ciotka dbała, żeby nie zapomnieć języka polskiego oraz jidysz, naszych korzeni. Choć sama była dzieckiem, kiedy... – urwała, jakby te wspomnienia ją zabolowały.

– Możemy o tym nie mówić, jeśli nie chcesz – zareagowała szybko Felicja.

– Nie, nie! Dam radę. Była dzieckiem, kiedy musieli uciekać ze starego kraju. Dzięki temu przeżyli i dzięki temu ja jestem na świecie i mogę z tobą teraz rozmawiać.

– No właśnie. A Markus Davidsohn pozostał w Gdańsku, mimo że do władzy doszedł Hitler i przewidywano, że może wybuchnąć wojna. Dlaczego został? Przez to zginął, on sam oraz jego bliscy...

Tamar Peretz posmutniała. Może i nie żyła historią, jak twierdziła, lecz najwyraźniej nie mogła o niej zapomnieć.

– Tak. Markus był królem życia, jak mawiała ciocia. W tej kuźni zrobił restaurację i hotel, był z tego dumny. Cały jego dorobek. Dlatego się zdziwiłam, że na początku użyłaś słowa „restauracja”. Opacznie cię zrozumiałam. Rodzina mu klarowała, że trzeba uciekać, bo będzie coraz gorzej. Ale on nie chciał. Miał dużo do stracenia. Może i nie wierzył, że to się tak skończy. Wielu wtedy nie przyjmowało tego do wiadomości...

– Racja. Trudno uwierzyć w najgorsze, choć ludzkość już nieraz dowiodła, do czego jest zdolna – zauważyła gorzko Stefańska.

– Tak. I wciąż to udowadnia. Nie lubię martyrologii, ale...

– Nie musisz kończyć. Wiem. Rozumiem. Tamar, czy znasz dalsze losy Davidsohna? Jak to wszystko się potoczyło? Słyszałam, że długo udawało mu się ukrywać swoje pochodzenie. Co mogło się wydarzyć potem?

Kobieta się zawahała.

– Nie wiem za wiele. Tylko to, co ciocia nam opowiadała. Nie wszystko pamiętam, żałuję, że nie słuchałam jej wtedy dość uważnie. Ale jedno sobie przypominam. Samara uważała, że ktoś go zdradził. Doniósł na niego. Ktoś, kto z nim pracował.

– W pensjonacie?

– W hotelu. Tak. Chyba wspólnik.

– O, to bardzo ważne!

– Ale nie jestem pewna, czy prawdziwe. Choć dość prawdopodobne. Markus był jak na tamte czasy nowoczesnym człowiekiem. Lubił korzystać z życia. Był jeszcze młody, niewierzący, miał trochę lewicowe poglądy. On nawet nie wyglądał na Żyda!

– Ty też nie wyglądasz. Przepraszam, jeśli cię uraziłam.

– Nie szkodzi, wiem o tym. Cała nasza rodzina nie wygląda. Blondyni. Nie byliśmy ortodoksyjni.

Chyba dlatego Markusowi długo się udawało zachować swoją tożsamość. Aż ten drań doniósł na niego Niemcom.

– Był Niemcem? Polakiem? Żydem? Znasz nazwisko tego kapusia?

– Nie. – Tamar pokręciła głową. – I nie przypominam sobie, żeby ciocia kiedykolwiek je wymieniła.

– A jakiegokolwiek nazwiska z tamtych czasów?

– Nie. Nie pamiętam. Przykro mi.

– Posłuchaj... – Felicja nie wiedziała, jak sformułować pytanie, ale musiała je zadać. – Czy twoim zdaniem może być ktoś, kto szukałby zemsty po latach?

– Chodzi ci o to, że chciałby się mścić za Markusa?

– Tak. Wiem, że to dziwnie brzmi. Mimo wszystko zastanów się nad tym, proszę cię. Bardzo mi zależy na twojej odpowiedzi. Albo czy Davidsohn mógł coś ukryć w kuźni. Jakiś majątek, może dzieła sztuki, biżuterię?

– Czemu o to pytasz? – zareagowała czujnie Peretz.

– Bo... Miałam ci tego nie mówić, ale będę szczerą. W ostatnim czasie dokonano zabójstw, które wiążą się z budynkiem dawnej kuźni, czyli hotelu Markusa Davidsohna. Zginęli ludzie, którzy interesowali się nieruchomością albo czegoś tam szukali.

– To straszne! Ale zupełnie tego nie rozumiem... Z tego, co mi wiadomo, Markus nie miał już wtedy majątku. Stracił go, chroniąc siebie i swoją rodzinę. Musiał opłacać się Niemcom i nie tylko... Nieważne. Są różni ludzie. A jeśli nawet coś po nim zostało, to przecież gestapowcy zajęli hotel. Myślisz, że go nie przeszukali?

– Myślę, że tak. A w zasadzie jestem o tym przekonana. Dlatego pomyślałam, że to zemsta.

– Nie sądzisz chyba, że to ja się mszczę?! – Tamar wyglądała jednocześnie na rozbawioną i zdenerwowaną. – Bo jestem jego jedyną żyjącą krewną? Jest jeszcze mój syn, ale on ma piętnaście lat. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy. To absurdalne. Chyba że... – Jej twarz stężała.

– Chyba że co? Mów, Tamar, mów! – niecierpliwiła się Felicja.

– Markus miał żonę. Była Polką z Danzig. Ona też zginęła, ich dzieci również. Wszystkich wymordowali hitlerowcy. Nie pamiętam jej rodzowego nazwiska...

– Maciejewska?

Peretz wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Możliwe. Z tym że ja nic nie wiem o jej rodzinie. Nawet tego, czy ktoś z niej pozostał. Nie mieliśmy żadnych kontaktów. Przykro mi, że nie jestem w stanie ci pomóc. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Choć bardzo bym chciała!

– Pomogłaś, i to bardzo – pocieszyła ją Stefańska. – Teraz już wiem, czego się chwycić!

– Jak to „chwycić”?

– No... wiem czego, a raczej kogo szukać.

– Zaciekawiłaś mnie. Wróciły wspomnienia. Muszę koniecznie poszukać starych albumów cioci ze zdjęciami. Dasz mi znać, kiedy ta sprawa się wyjaśni?

– Obiecuję. Będziemy w kontakcie. Ja też mam do ciebie jeszcze jedną prośbę: jeśli znajdziesz jakies zdjęcia z Markusem Davidsohmem, jego rodziną, otoczeniem, z hotelem, pokażesz mi je?

– Oczywiście! Wiem, że ciotka je miała. Kiedy moi pradziadkowie wyjechali do Palestyny, jeszcze przed wybuchem wojny, zabrali rodzinne pamiątki, właśnie albumy. Od dawna nosiłam się z zamiarem zrobienia kopii cyfrowych tych starych fotografii, tylko jakoś się nie składało. Ciągle to odkładałam, wiesz, jak to jest. Ale teraz na pewno do tego się zabiorę!

\*\*\*

– Mam go! – rzuciła Kaśka z satysfakcją, nie odrywając oczu od komputera. – Jest! To on. Znalazłam dziada!

Felicja uśmiechnęła się, rejestrując w duchu to, że młodsza współpracownica przejęła z czasem jej zwroty i powiedzonka. Zdecydowanie młoda bardzo się przy niej zmieniała, przeobrażając niepostrzeżenie z brzydkiego kaczątka w śmiałą, rasową, drapieżną dziennikarkę.

Wyrobiła się dziewczyna, skonstatowała z zadowoleniem. Byle tylko nie szarżowała, jak ona sama w jej wieku.

– Co masz?

Malinowska odkleiła się od ekranu i popatrzyła na szefową roziskrzonym wzrokiem.

– Karl Schlamm, ochmistrz pensjonatu Pod Czarcim Kopytem, pierwszy zastępca i prawa ręka

pryncypała – wydeklamowała z namaszczeniem. – Dwa dni go szukałam! Przejrzałam chyba ze sto numerów przedwojennych gazet polskich i niemieckich. Oczy mi już wychodzą z orbit. Ale znalazłam. Jedna jedyna wzmianka pod artykułem o uroczystym otwarciu nowego sezonu z czerwca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Jest tu nawet zdjęcie, dość kiepskie co prawda...

– Pokaż! – Felicja zerwała się z miejsca.

Kaśka powiększyła obraz na ekranie komputera. Fotografia była szara, wyblakła, nieostra, słabo czytelna, ale dało się dojrzeć trzech uśmiechniętych, dumnie wyprężonych facetów w smokingach, jeden z nich palił cygaro.

– Ten z cygarem to Davidsohn, szef, właściciel pensjonatu – odczytała Malinowska z podpisu pod zdjęciem. – Po jego prawej stronie stoi Schlamm, w fularze. A trzeci, ten niski, to szef kuchni, jakiś Miotke.

Felicja pochyliła się w stronę ekranu, wpatrując się w podobizny. Piksele psuły trochę jakość obrazu, jednak bez trudu rozpoznała Markusa Davidsohna, smukłego eleganta o ciemnych włosach, z charakterystycznym, modnym wówczas wąsikiem. W przeciwieństwie do niego Schlamm był postawnym ciemnym blondynem o bujnej fryzurze. Wyglądał na młodszego od Davidsohna. Ostatni, niejaki Miotke, w meloniku, ustawił się skromnie w ich cieniu, nieco z tyłu, jakby swoją postawą chciał podkreślić niższą rangę.

– Tak, to musi być ten – powiedziała Stefańska. – Cudów nie ma. Pasuje do tego, co powiedziała Tamar. Czekaj, niech mu się lepiej przyjrzę... Niczego sobie, choć wygląda na chama.

– Czemu? – Kaśka zerknęła na nią z zaciekawieniem.

– Taki pewny siebie, zobacz, jak stoi! W rozkroku, a pierś wypina jak po medal. Burak. Nie przypomina ci kogoś?

– Nie. – Asystentka uważnie przyjrzała się zdjęciu. – A tobie?

– Chyba też nie, ale nie wiem. Za słabo go widać. Mogłabyś mi to wydrukować?

– Myślę, że tak. Zaraz spróbuję. Ale jakości ci nie poprawię.

– Trudno. Drukuj, młoda, a ja pójdę po kawę. – Podekscytowana Felicja skierowała się do aneksu kuchennego, odprowadzana radośnie przez Burego, któremu ten kierunek kojarzył się tylko z jednym.

– Zaczekaj! To jeszcze nie wszystko...

– Jest coś więcej? – Felicja zatrzymała się na progu.

– Dziś rano zadzwonił do mnie ksiądz.

– Co?!

– Robiłam u niego kwerendę. Zostawiłam wizytówkę, więc zadzwonił. Przypomniał sobie, że jakieś parę miesięcy temu był u niego ktoś z urzędu gminy, mężczyzna, i też wypytywał o to samo, czyli o nazwiska powiązane z historią kuźni.

– Serio? Kto to był?

– Ksiądz twierdzi, że nie zna nazwiska, ale mi go opisał – odparła Kasia. – To nie mógł być ten młody, Kownacki, ani nie zastępca wójta, bo jego proboszcz by rozpoznał. Z opisu wynika, że był to Zgierski.

– A to ciekawostka! To by znaczyło, że idziemy dobrym tropem. – Ucieszyła się Stefańska. – Przyniosę kawę.



– Artur, mam do ciebie ogromną prośbę... – Felicja zdobyła się na taki ton, by nie było w nim słycać żadnych fałszywych nut: ani przymilności, ani patosu. Musiało jednak zabrzmieć poważnie, bo Palczyński chrząknął.

– Zamieniam się w słuch – odparł po chwili.

Zawahala się, nie była pewna, jakich użyć słów czy argumentów, a w tym momencie wołała uniknąć jego pytań.

Wreszcie strzeliła prosto z mostu.

– Teraz wszędzie jest ochrona danych osobowych, sama tego nie ugryzę. Czy mógłbyś zdobyć dla mnie informacje dotyczące pochodzenia, rodziny, przodków... Chodzi mi o nazwiska rodowe czy też panieńskie, nie wiem, jak to się teraz określa, kilku osób powiązanych z naszą sprawą. Zaraz ci podam, których konkretnie. Oczywiście, jeśli się zgodzisz.

– Felicja, co wy znowu kombinujecie? Miałaś się dzielić z nami wszelkimi ustaleniami, jeśli masz jakieś dowody czy podejrzenia, inaczej może to zostać uznane za utrudnianie śledztwa. – Pałka się zde nerwował. – Do czego ci to potrzebne?

– Proszę cię, jeszcze raz mi zaufaj i nie zadawaj pytań. Nie utrudniamy śledztwa, po prostu za wcześniej na wnioski. Kiedy je będę miała, na pewno się nimi z wami jak zawsze podzielę. Na razie błędę po omacku. Nie mamy żadnych dowodów, a podejrzenia? Bez przesady, od początku tej sprawy są ich setki! Naprawdę życzysz sobie, żebym zawracała ci głowę każdym swoim pomysłem?

– Kochanie, jak ja się cieszę, że niedługo kończysz ten etap swojego życia! W naszym zespole prasowym będziesz bezpieczniejsza. Nic nie mów. Kupuję to. Ale ja też mam do ciebie prośbę.

– No? Słucham. – Ulżyło jej, bo z głosu Palczyńskiego zniknęło napięcie.

– To samo, co zawsze. Uważaj na siebie. Rozumiesz chyba, że działasz w środowisku, w którym może ukrywać się morderca. Jeśli już musisz gdzieś jeździć, nadstawiać karku, to tylko z Rybą. Zostanie poinstruowany. Obiecujesz?

– Dobrze – westchnęła. – Zgadzam się na Rybę.

– Dbaj też o bezpieczeństwo swojej asystentki. Jest młoda i ambitna...

– Przez cały czas o nią dbam! – Felicja się zachnęła. – Jest na mnie z tego powodu non stop wściekła.

– Trudno. Jeszcze jedno. Greta Pazik. Na nią też zwróć uwagę.

– Co? Dlaczego?! Chyba jej nie podejrzewacie? Reprezentuje urząd gminy, to fakt, ale...

– Nie zadajemy pytań – upomniał ją. – Pamiętasz? To działa w obie strony.

– Okej – skapitulowała. – Będę zwracać uwagę na wszystko i wszystkich. To zdobędziesz dla mnie te cholerne dane?

Tym razem westchnął Palczyński.

– Podyktuj mi listę osób, które cię interesują. Zrobię, co w mojej mocy. Mam nadzieję, że nie będzie zbyt długa.

\*\*\*

Felicja jechała do Teresy Mruk w towarzystwie Ryby, zresztą radiowozem, bo aspirant za skarby nie chciał wsiąść do kampera. Wolałaby z Kaśką, jednak Pałka uparł się, że tylko z Rybą, i nie odpuszczał. W związku z tym Malinowska poczuła się obrażona i Felicja z trudem przekonała ją, że tym razem muszą zadowolić komisarza, zwłaszcza że stanął na wysokości zadania i dostarczył im potrzebne dane osobowe.

– I tak niedługo zostaniesz tu naczelną i rzeczniczką prasową, będziesz się rządzić sama – przypomniała asystentce. – Na razie możesz ustąpić, prawda? Znalazłaś powiązania, to twoja zasługa. Masz powody do dumy. Teraz pozwól mi się wykazać, to i tak mój łabędzi śpiew w Kryszewie.

Dziewczyna dała w końcu za wygraną. Może ją to ostatecznie przekonało. Stefańska była pewna, że doskonale poradzi sobie na tym stanowisku, oby tylko znowu nie szukała guza.

– Felicja! Hej! Jesteś tu? – Usłyszała rozbawiony głos Ryby.

– Jestem, a co? – Ocknęła się z zamyślenia.

– Obudź się. Dojeżdżamy do sołtyski.

– Tylko nie podjeżdżaj pod bramę! Stańmy gdzieś przy ulicy – poprosiła.

– Czemu?

– Czemu, czemu! – gderwała. – Bo uparłeś się, żeby tu jechać tą cholerną radiolą. Po co ją straszyć? Może jeszcze włącz koguta i syrenę!

– Dobrze już, dobrze, nie unoś się tak... – Policjant zaparkował tuż przed wjazdem do posesji sołtyski.

Dalej poszli pieszo.

Zastali Teresę na podwórzu, pielila rabatkę przy domu. Na ich widok wyprostowała się i uśmiechnęła, choć na jej twarzy malował się niepokój, mimo że aspirant był po cywilnemu, nie w mundurze.

– Dzień dobry! A cóż to się stało? – Zdjęła rękawice ogrodowe, starannie otrzepała je z ziemi i upchnęła w kieszeni pikowanej roboczej kamizelki. – I nawet pan Zygmunt do mnie? Razem z panią redaktorem?

– Chcielibyśmy porozmawiać, pani Tereso. Mam kilka pytań. Zygmunt jest tu ze mną dla towarzysztwa – wyjaśniła na wpół żartobliwie, nie patrząc na Rybę.

Na szczęście nie zareagował.

– To chodźmy do środka, na herbatę – zaproponowała sołtys.

– Pani Tereso, nie trzeba, dziękujemy. To naprawdę chwila, możemy zostać tutaj. Taka ładna pogoda!

– Tak? Dobrze, więc usiądźmy na werandzie. Poproszę tylko syna, żeby mnie zastąpił przy grządkach, chciałabym to dzisiaj skończyć, bo jutro ma padać. Akurat jest tutaj, to go wykorzystam, w końcu fachowiec...

– Syn nie pracuje dziś u państwa Bagińskich?

– Już skończył, potem tylko podjedzie po Marcelinę, moją synową – wyjaśniła, zwracając się do Ryby.

– Tak, wiem, miałem przyjemność poznać. – Skinął uprzejmie głową.

Teresa się zaśmiała.

– Nie wiem, czy to aż taka przyjemność! – podsumowała. – Ale przynajmniej dobrze gotuje. Przepraszam, żartowałam. Chodźmy. – Zaprowadziła ich na werandę, gdzie stały meble ogrodowe. – Siadajcie, zaraz wracam. Genek! – Usłyszeli, gdy weszła do domu, by po chwili wrócić z synem, który przywitał się niewyraźnym mruknięciem i od razu poszedł do ogródka.

– Dobrze mieć w rodzinie zawodowca do pomocy w pracach ogrodowych. – Uśmiechnęła się dziennikarka.

Sołtyska machnęła ręką.

– Zwykle sama sobie radzę. Dużo tu nie ma do roboty, tylko parę klombów. Nie wiem, po kim syn odziedziczył zamiłowanie do ogrodnictwa, bo raczej nie po mnie. Mąż też nie miał do tego zapału. To jak, na pewno nie napijecie się czegoś?

– Na pewno. Dziękujemy. A skoro o rodzinie mowa... Pani Tereso, proszę wybaczyć pytanie, ale co panią łączy z nieżyjącymi właścicielami kuźni Davidsohnami? – Felicja postarała się, by zabrzmiało to obojętnie, niemal zdawkowo.

– Co takiego?! – Teresa Mruk zastygła.

– Żona Markusa Davidsohna nazywała się Maciejewska. Eleonora Maciejewska, zdaje mi się. A pani nazwisko rodowe jak brzmi?

– Maciejewska...

– To zbieg okoliczności?

Teresa w milczeniu pokręciła przecząco głową.

– Nie, to nie zbieg okoliczności – przyznała wreszcie. – Istnieje pokrewieństwo. Mój ojciec był synem kuzyna ciotki Leonki, bo tak ją nazywano. Ale o co właściwie chodzi? Czy to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie?

– Nie wiem. Niech pani mi to powie – odparła ostrożnie Stefańska.

– Czy jestem o coś podejrzana?

– Pani sołtys, bardzo proszę odpowiedzieć – wtrącił Ryba. – Dlaczego ukrywała pani przed nami swoje pochodzenie?

– Ja niczego nie ukrywałam! – obruszyła się kobieta. – Nikt mnie do tej pory o to nie pytał. Nazywam się Mruk po byłym mężu od ponad czterdziestu lat. Od dawna nie posługuję się nazwiskiem panińskim!

– Więc nie ma to żadnego znaczenia? – upewniła się dziennikarka.

– Może o tyle, że z powodu pokrewieństwa z Davidsohnami mam do tej zabytkowej kuźni szczególny sentyment. – Wzruszyła ramionami. – Ale to już przeszłość, historia. Uważacie inaczej?

– Na razie nic nie uważamy. – Ryba uprzedził Felicję. – Ale tak się składa, że genealogia, czy jak to tam zwać, sama nam się w tej sprawie narzuca. A może mówi coś pani nazwisko Miotk albo Miotke?

Tym razem Stefańska przyjrzała mu się zdumiona.

– To popularne nazwisko na Pomorzu. – Ponownie wzruszyła ramionami sołtyska, krzywiąc się z lekka.

– Ale bliżej? Nic pani nie mówi? Znała pani jakiegoś Miotka?

– Nie. Nie kojarzę żadnego. A o kogo konkretnie się rozchodzi?

– Ustaliliśmy, że Miotk Roman był pierwszą ofiarą morderstwa znalezionej w pustostanie. To znaczy w tej waszej starej kuźni – odparł aspirant. – Dawno temu, bo w roku sześćdziesiątym pierwszym.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Panie Zygmuncie, ja miałam wtedy kilka lat! – parsknęła. – Raptem pięć. Byłam dzieckiem. Chodziłam jeszcze do przedszkola. I co to ma do rzeczy?

Felicja milczała.

– Ale żył pani ojciec. Może znał tego człowieka? – kontynuował Ryba.

– Mamo, czy coś się stało?! – odezwał się znad grządki zaniepokojony młody Mruk. – Wszystko w porządku?

– Tak, synku, rób swoje! – zawołała uspokajająco sołtyska. – A niby dlaczego miałby go znać? – podjęła. – To jakiś absurd. Mój ojciec nie miał z tym nic wspólnego! Był skromnym szeregowym urzędnikiem. Funkcję sołtysa pełniła wtedy pani Wikta Bagińska. Drugi sołtys po przywróceniu tej funkcji w pięćdziesiątym ósmym roku. Pierwsza kobieta. Nadal jednak nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną. – Nadąsała się.

– Już wyjaśniam. Tak się składa, że niejaki Miotk, a może Miotke, ale to w zasadzie to samo, kwestia pisowni, był jednym ze współników Davidsohna i szefem kuchni w jego restauracji. Przypadek?

– Dlaczego, do jasnej cholery, tego nie wiedziałam?! – Felicja napadła na Rybę już w radiowozie. – Chcieliście zrobić ze mnie idiotkę?! A ode mnie wymagacie lojalności! Ja zawsze jestem lojalna!

– Fela, uspokój się, kurczę, nawet nie przypuszczałem, że tak cię to ruszy... – kajał się aspirant. – Myśmy się też o tym dopiero co dowiedzieli.

– Kurwa, dzwonię do Pałki! – Zapaliła papierosa, nie pytając o pozwolenie. Z popielniczki i tak wysypywały się pety.

– Felicja, nie rób tego! Proszę. Oberwałbym jak nic! Palczyński w niczym nie zawinił. Tylko ja. Wszystko ci wyjaśnię, jeśli się uspokoisz.

– Gadaj! – warknęła.

Ryba wycofał samochód i powoli ruszył w stronę centrum Kryszewa.

– To zupełnie świeża wiadomość – zaczął. – Dziś rano zadzwonili z archiwum. Cudem udało się odnaleźć te stare akta, a i tak niekompletne. Komisarz kazał mi ci to przekazać, ale... no kurde, zapomniałem! Sorry! A potem nie było jak, bo już byliśmy u tej Mrukowej. I tak głupio wyszło. Myślałem, że ci zrobię niespodziankę, tępy matole.

Dziennikarka odetchnęła głęboko. Najważniejszy dla niej był fakt, że Artur jej nie zawiódł. A Rybie potrafiła wiele wybaczyć.

– Ty lepiej nie myśl za dużo, Ryba. – Nie podarowała sobie złośliwości. – To nigdy nie wychodziło ci najlepiej.

– Justynka to samo mi czasem mówi. – Ryba się zarumienił.

Nadal ją rozczulały dziewicze rumieńce u tego faceta.

– Mądra kobieta – skomentowała z aprobatą.

– Nie złościsz się już?

– Złosczyć – odparła zgodnie z prawdą. – Ale mi mija. No i co sądzisz? Mrukowa się zaparła. Wierzysz jej?

– Że nie wiedziała o tym Miotku?

Minęli właśnie willę Pazików i Felicja przypomniała sobie, że Grety nie ma w domu, bo dziś, zapewne właśnie teraz, obradują nad remontem, a raczej renowacją budynku kuźni.

– Sam nie wiem. Możliwe, że nie znała tego nazwiska, rzeczywiście jest za młoda, pod warunkiem że nie kłamie...

– Pod warunkiem że to nie ona zabija. – Stefańska zaciągnęła się po raz ostatni i zgasiła niedopałek w popielniczce, przy okazji wzniecając chmurę popiołu. – Czy ty nie mógłbyś tu wreszcie posprzątać? – dodała z niesmakiem.

– Posprzątam. Ten synek mi się nie podoba.

– Buc, to prawda. Może działają w duecie?

– Też możliwe. Co teraz robimy? – zapytał, gdy już zjechali ze wzgórza i przystanęli na światłach.  
– Jedziemy do pani Bagińskiej?

Dziennikarka się zawahała.

– Nie teraz. Muszę sobie wszystko jeszcze raz porządnie przemyśleć. Ale trzeba z nią będzie pogadać, masz rację. Powinna więcej pamiętać. Z pewnością nie jest za młoda, a do tego była wtedy sołtyską.

– Jej jednak to nie dotyczyło, do tego w jej wieku pamięć może szwankować. Choć z drugiej strony babka wydaje się wyjątkowo przytomna. Odwieźć cię teraz prosto do biura?

– Tak. Chcę jeszcze złapać Kaśkę i się z nią naradzić. Trzymaj kciuki, żeby Greta zadzwoniła z dobrą wiadomością!

– A co? – Minał rondo i skręcił w boczną uliczkę, przy której mieściły się biuro redakcji oraz „przystań” Felicji.

– Dziś rozstrzyga się los starej kuźni – wyjaśniła.

\*\*\*

Wiadomość nadeszła rano, koło siódmej, kiedy Felicja spała jeszcze głębokim snem... Poprzedniego dnia długo dyskutowały z Kaśką, a nawet trochę się posprzeczały. Młoda jak niepodległości broniła Teresy, którą znała od dziecka i prawie z nią sąsiadowała. Stefańska bez sukcesu usiłowała wytłumaczyć jej, że czasem można się mylić: sama latami ufała ludziom, którzy potem okazali się największymi skurwysynami. Nie żeby miała coś do sołtyski, też ją polubiła. Niepokoiła ją jednak łatwowierność podwładnej, która wkrótce już uwolni się spod jej skrzydeł i będzie musiała latać sama.

Potem czekała niecierpliwie na wiadomość od Greta. Obrady najwyraźniej się przeciągały, bo telefon milczał. Przyjaciółka zadzwoniła dopiero pod wieczór, ale w jej zmęczonym głosie słychać było tryumfalne nuty.

– Mamy to! – oznajmiła.

– Będzie remont? – Ucieszyła się Felicja.

– Renowacja. Będzie! Udało nam się ją przeforsować, choć nie było łatwo. Część radnych próbowała nam to blokować. Przeważył jednak fakt, że jeszcze Zagórny, a w zasadzie Zgierski w jego imieniu, wywalczył dotację, więc szkoda byłoby zmarnować okazję. No i myślę, że ciekawość wzięła górę.

– To znaczy?

– Przecież wiesz, że Kryszewo aż huczy od plotek. Diabeł, ukryte skarby, te rzeczy... – Greta parsknęła śmiechem.

– Nie mów, że sama nie jesteś ciekawa! – zawtórowała jej Stefańska. – A jeśli tam na serio są skarby?

– Pewnie, że jestem. Ale przede wszystkim cieszę się, że jeszcze na koniec udało mi się zrobić coś dobrego dla gminy. No i... tylko się ze mnie nie śmiej, wiem, że nie lubisz patosu, ale mam taką satysfakcję, że upamiętnię w ten sposób moich niezwykłych współpracowników. Rozumiesz, że ich wysiłek nie pójdzie na marne.

– Dla nich to raczej niewielka pociecha. – Nie wytrzymała dziennikarka.

– Wiedziałam, że będziesz szydzić.

– Nie szydę! Rozumiem. I też się cieszę. Myślę, że tylko prace przy tym remoncie zakończą wreszcie spekulacje i powstrzymają serię zbrodni.

– Ja jednak liczę na to, że policja złapie morderców... – westchnęła Greta. – Prace zaczną się na jesieni. Teraz idę pod prysznic i odpoczywam, to był ciężki dzień. A u was wszystko dobrze?

– Tak, jutro ci zdam relację, nie spieszy się. Idź, odpoczywaj. – Felicji nawet było to na rękę. W jej głowie panował chaos, może do jutra jakoś sobie wszystko ułoży.

– Super, bo dziś już padam z nóg. To na razie! – Pazikowa z wyraźną ulgą zakończyła rozmowę.

Gdy się rozłączyły, jeszcze długo wymieniała na czacie uwagi z Tamar, z którą zdążyły się zaprzyjaźnić. Obejrzały zdjęcia odnalezione przez Peretz w starych albumach po ciotce. Nie było ich za wiele, głównie zbiorowe portrety rodzinne, ówczesna klasyka, ale nawet one dawały pocieszające poczucie zatrzymanego czasu.

Dzięki fotografii nie przemijamy bez śladu, nie tak do końca, pomyślała, dzieląc się tą refleksją z Tamar. Dopiero parę godzin po północy wreszcie poszła spać.

Nad ranem zbudził ją dźwięk esemesa. Cud, że obudził, widocznie była już na to wyczulona. Niechętnie sięgnęła po telefon i odczytała wiadomość, która poderwała ją na równe nogi.

*Muszę spotkać się pilnie z Panią. Dziś w kuźni. To bardzo ważne. Może Pani? Ale tylko Pani*

sama.

Nadawcą była Teresa Mruk.

*O której godzinie?* – Odpisała.

Odpowiedź przyszła po kilku minutach:

*Za godzinę. Da Pani radę? To bardzo pilne. Muszę coś Pani pokazać.*

*Będę.* – Odpowiedziała krótko i zaczęła się ubierać.

Na śniadanie zjadła płatki z jogurtem i wypijała kawę. Bury spał, żal jej było go budzić. Poprosi gospodarzy, żeby wypuścili go do ogrodu. Wykonała kilka telefonów: do Palczyńskiego, do Ryby i do Kaśki Malinowskiej.

Na koniec, przed wyjściem, zatelefonowała do Teresy. Ta jednak nie odbierała. Widocznie sołtyska pojechała już do kuźni. Tam, w lesie, zasięg często zanikał.

Zawahała się, czy zostawić samochód na parkingu obok posesji Bagińskich, czy skorzystać z leśnej drogi, którą ostatnio jechały. Zdecydowała się na ten drugi wariant: mogła dojechać pod samą kuźnię. Prawdę mówiąc, nie miała ochoty iść samotnie przez las, poza tym czas uciekał. Dopiero kiedy dotarła na miejsce, uświadomiła sobie, że ta położona na uboczu, samotna, otoczona ze wszystkich stron lasem dolinka, a także stary pustostan owiany złą sławą to sceneria wielokrotnych zbrodni, a ona jest tutaj sama. Cisza aż dzwoniła w uszach. Wprawdzie docierały do niej odgłosy natury: szum drzew, trzaskanie gałęzi, ptasie trele, słychać było także pluskanie położonego niżej potoku, lecz żadne dźwięki związane z cywilizacją, które dają poczucie bezpieczeństwa, nie dobiegały do niej.

Nigdzie nie było widać samochodu Teresy Mruk. Może jeszcze nie dotarła, a może przyszła pieszo. Felicja zamknęła auto, włączyła alarm i poszła w kierunku starej kuźni. Diabelskiej kuźni. Kuźni przeklętych, jak ją tutaj nazywano. Nie bez powodu.

Furtka była uchylona, to znak, że ktoś wszedł na teren. Odgoniła od siebie obraz martwych ciał, które jeszcze niedawno leżały w tym miejscu. Weszła na dziedziniec i zajrzała do budynku. Przywitał ją zapach wilgoci, który wniknął w wiekowe mury. Kontrast między słonecznym dniem a zacienionym wnętrzem spowodował, że wydało jej się pogrążone w ciemnościach. Cisza wisiała w powietrzu.

– Jest tu kto?! – zawołała w tę mroczną czeluść. – Pani Tereso! – Nasłuchiwała. – Pani Tereso! – spróbowała ponownie.

Naraz gdzieś z głębi budynku dobiegła odpowiedź:

– Tutaj!

Felicja podskoczyła z wrażenia, ale po chwili uspokoiła się: głos należał do sołtyski. Przypomniała sobie rozkład pomieszczeń: kobieta przebywała w zamkniętej zwykle części budynku, tej, którą ostatnio wspólnie odwiedziły. Uspokoiła oddech i poświeciła drogę smartfonem. Nareszcie mury przestały ją straszyć, wszystko wróciło do równowagi. Rzeczywiście, wewnętrzne drzwi były otwarte. Zdecydowanym krokiem minęła główną sień i podeszła do nich.

– Pani Tereso, jestem – oznajmiła rażno. – Dzień dobry. – Zgasiała latarkę w telefonie, próbując przyzwyczaić oczy do panującego tu mroku.

– Tutaj. – Tym razem głos Teresy przypominał szept.

– Gdzie pani jest? Dlaczego...

– Tu jestem!

Felicja odwróciła się w stronę, skąd dobiegł głos, i z trudem dojrzała zarys sylwetki: Teresa kuciała albo siedziała pod ścianą obok przejścia do dalszych pomieszczeń.

– Co pani tam znalazła? – zapytała z nienaturalną chrypką. Coś było nie tak.

Wyjęła z kieszeni telefon, by sobie poświecić, i nagle poczuła szarpnięcie. Aparat wypadł jej z dłoni na kamienną posadzkę.

– Marcelina! Nie! – wrzasnęła Teresa.

Zdezorientowana Felicja nie do końca zarejestrowała kolejne zdarzenia. Coś się kotłowało, ktoś ciężko dyszał. Ktoś trzymał w żelaznym uścisku jej ramię.

– Puszczaj! – krzyknęła. – Ratunku! – Myślała tylko o tym, żeby uwolnić rękę. Wtedy sobie poradzi...

– Zamknij się! – Marcelina ryknęła wprost do jej ucha.

Za drzwiami rozległ się tupot, ktoś szybko się zbliżał. Błysnęło światło latarki. W jasnej poświacie Felicja dostrzegła bladą jak ściana, przerażoną twarz Teresy Mruk. Sołtyska siedziała skulona pod ścianą, była związana.

– Marcelina! – Rozległ się męski głos. – Odsuń się! Natychmiast! – Stefańska rozpoznała go od razu. Krystian Bagiński stał w przejściu. Emocje opadły... Marcelina jednak się nie poruszyła. – Odsuń

się, powiedziałem!

– Nie!

– Co tu się dzieje?! – Felicję wreszcie odblokowało. Zrobiła gwałtowny krok do przodu i na coś nadepnęła. To jej telefon. Chciała się po niego schylić, lecz w tym zamieszaniu nie zdążyła.

– Oni tam замуrowali... dowody! – krzyknęła rozpaczliwie Teresa, usiłując uwolnić się z więzów.

– Milcz! – wrzasnął Bagiński.

Dopiero wtedy Felicja dostrzegła, że mężczyzna trzyma w dłoni coś błyszczącego. Nie była to latarka, tę trzymał w drugiej ręce. Przestała myśleć. Rzuciła się do ucieczki, choć nie miała dokąd. Mogła tylko walczyć. Bagiński roześmiał się dziko, jednak w tym momencie Marcelina stanęła pomiędzy nim a Teresą i Felicją, zasłaniając je swoim ciałem.

– Marcelina, kretynko, odsuń się! – warknął.

Ale ona nie przesunęła się ani o milimetr. Rozległ się huk, potem niemal zwierzęcy ryk, coś, co zabrzmiało jak zduszony skowyt, a następnie, z oddali...

Syreny. Policyjne syreny! Ryba nie zawiódł.

Zdążyli.

Muzyk tymczasem zachował się jak amator, którym zresztą był. Wymachując pistoletem, na ślepo rzucił się do ucieczki i od razu wpadł w ręce policjantów. Felicja wytrąciła mu z ręki broń. Okazała się nią zabytkowa beretta, zapewne egzemplarz kolekcjonerski.

– I co, *Herr Schlamm* albo może raczej panie Bagno?! – rzuciła wściekle. – Świetnie pasuje do pana to nazwisko.

Miała ochotę rzucić mu się do gardła i wydrapać oczy, ale powstrzymał ją jeden z policjantów.

– Niech pani nie robi żadnych głupstw – powiedział do niej półgłosem. – Szef specjalnie o to prosił.

– Ryba?

– Nie, nadkomisarz. Już tutaj jedzie. Mamy pani pilnować.

– Nie jestem ani dzieckiem, ani bandytą. Nie trzeba mnie pilnować. Nic bym mu przecież nie zrobiła!

– Proszę się zająć tą drugą panią, jest w szoku. – Mundurowy wskazał na skuloną w kącie Teresę. Ktoś już uwolnił ją z więzów, więc rozcierała obolałe nadgarstki, ale była oszołomiona.

Wreszcie dostrzegła Rybę.

– W porządku, Felicja? – zapytał.

– Tak, daję radę...

– To dobrze, bo nie mogę przy was stać, muszę iść do techników. Hej, zabrać go! – Wskazał na przypatrującego się im ponuro Bagińskiego. Na przystojnej twarzy muzyka malowała się nienawiść. – Bransoletki i do suki.

– Dzięki, że przyjechaliście na czas. – Felicja odprowadziła wzrokiem Bagińskiego. – Czy ona będzie żyła?

– Kto, Marcelina? Wylize się, tylko ją drasnął. W jakim charakterze ona się tutaj udzielała?

Dziennikarka wrzuciła ramionami.

– Nie mam pojęcia – wyznała. – Jeszcze tego do końca nie ogarnęłam i też bym chciała wiedzieć.

– W porządku. Będziemy cię musieli przesłuchać, panią sołtys później, bo nie jest w dobrym stanie psychicznym. Przy okazji dostaniecie trochę kawy, trzęsiesz się cała, o niej nawet nie mówię...

– To z emocji. Nie zwracaj sobie teraz nami głowy. Zajmę się nią, a ty wracaj do swojej roboty. Podobno Pałka już tutaj jedzie.

– Tak. Z prokuratorem. Więc wiesz...

– Wiem. Nie bój się, będę się zachowywać – obiecała.

Ryba stał przez chwilę niezdecydowany. W końcu bąknął:

– Felicja, szacun. Ryzykowałeś, ale rozegrałeś to rozsądnie. Jednym słowem, spisałeś się na medal. Komisarz tak samo uważa, choć pewnie ci tego nie powie. Boi się o ciebie.

– Dzięki, Rybko. Doceniam.

Nie miała już siły dyskutować. Gdy zostawił ją samą, podeszła do Teresy Mruk i przysiadła obok niej na podłodze. Tamta chyba jej nawet nie dostrzegła.

– Pani Tereso...

– Tak? – Poderwała głowę spłoszona.

– Co pani miała na myśli, mówiąc, że oni tam замуrowali dowody? Jacy oni? Dowody na co?

Sołtyska pokręciła głową.

– Coś takiego powiedziałam?

– Owszem.

– Naprawdę? Nie pamiętam, co miałam na myśli...

Palczyński objął Felicję ramieniem.

– Odprowadzę cię na parking. Któryś z naszych chłopaków odwiezie cię do domu – zaproponował miękko.

– Nie trzeba.

– I tak tam idę. Muszę przesłuchać starszą panią i ogrodnika. Prorok już tam z nimi siedzi, ale prosił, żebym do niego dołączył.

– Prokurator – poprawiła odruchowo. – Nie zgadza się, zupełnie się nie zgadza – dodała po chwili w zadumie.

– Co takiego?

– Że to zawsze ogrodnik jest mordercą... – Parsknęła śmiechem. – Sorry, Artur, to już chyba głupawka.

Komisarz się uśmiechnął.

– No, nie zawsze. Ten ogrodnik. To co, idziemy?

– Ale ja mam samochód tutaj, za kuźnią, nie na parkingu!

– Ktoś go przyprowadzi na miejsce. Nie pozwolę ci teraz usiąść za kółko.

– Okej, no to chodźmy. Z tym że nikt mnie nie będzie musiał odwozić. Tam już na mnie czeka

Kaśka. Chyba nawet razem z Gretą.

– Skąd wiesz? – zdziwił się.

– Wiem.

Kiedy dotarli na parking przy szosie, Felicja wypatrzyła Malinowską i Gretę Pazik. Czekały obie przy terenówce Greta. Obie panie uściślały się bez słowa.

– W takim razie zostawiam cię w dobrych rękach i zmykam. – Komisarz pożegnał się z nimi. –

Odstawcie ją do domu, dziewczyny, bo wsparcia naszego psychologa jak zwykle odmówiła. Zajrzę do ciebie, kiedy tu skończymy – dodał jeszcze, nim oddalił się w kierunku frontowej bramy ogrodu Bagińskich.

Naraz z auta rozległo się niecierpliwe popiskiwanie.

– Bury?!

– Tak, musiałam go zabrać, dostał szału – wyjaśniła Kaśka. – Jakby czuł. A może usłyszał, co powiedziałas.

– A co powiedziała? – wtrąciła Greta.

– Gdyby nie wróciła, mamy zaopiekować się Buryem.

Ledwie Felicja otworzyła drzwi wozu i sięgnęła po smycz, psiak wyskoczył, piszcząc, prosto w jej objęcia. Nagle warknął głucho i zastygł. Obejrzały się: policjanci wyprowadzali Bagińskiego, w kajdankach, z jednego policyjnego wozu do drugiego, okratowanego. Szedł ze zwieszoną głową, zapewne po raz pierwszy dziękując losowi, że jedyną obecną na miejscu przedstawicielką mediów jest Felicja Stefańska. W tym samym momencie Bury wyrwał się swojej opiekunce, podbiegł – wciąż powarkując – do muzyka i wpił mu się w łydkę. Ten zawył. Młoda policjantka w mundurze, przytrzymując głowę aresztowanego, bez zbytnich ceregieli wepchnęła go do samochodu.

– Bury! Wracaj! Bardzo przepraszam! Mam nadzieję, że nic nie będzie temu sukinsynowi? – Felicja z trudem powstrzymywała uśmiech, choć Greta z Malinowską wyglądały na przerażone.

– Pies był szczepiony na wściekliznę? – zapytała z poważną miną funkcjonariuszka.

– Oczywiście.

– Czyli wszystko w porządku. – Mrugnęła nieznacznie. – Nic mu nie będzie. Niech trochę pocierpi – dodała półgłosem.

## *Kilka dni później*

Felicja i Kaśka umówiły się na spotkanie u Greta. Zaprosiły wprawdzie Palczyńskiego i Rybę, policjanci jednak wymówili się obowiązkami. Dla nich sprawa jeszcze nie została zamknięta, wciąż trwały przesłuchania świadków i podejrzanych z udziałem prokuratora, który miał zdecydować w kwestii postawienia zarzutów. Dziewczyny podejrzewały jednak, że koledzy nie skorzystali z zaproszenia, bo było im głupio przyznać się do błędu. Tym razem to one miały rację i bez ich „nieprawdopodobnych teorii” nadal szukaliby dziury w całym, czyli przestępstw korupcyjnych. Właśnie w ten sposób Felicja podsumowała ich absencję.

– No i dobrze, ich strata. Przemek zostawił nam na dziś wolną chatę i pojechał do firmy, ale wcześniej przygotował dla nas drinki i zimny bufet. – Greta z dumą wskazała niski stolik ze szklanym blatem, na którym stały apetycznie wyglądające przekąski wraz z baterią butelek.

– Sam to wszystko zrobił? – Kaśka wyglądała na zaszokowaną. – Byłam pewna, że to pani...

– Przestań mi wreszcie paniować! – zdenerwowała się Pazikowa. – Nie stoję jeszcze nad grobem. Tak, sam zrobił. Czasem mu odbija i popisuje się kulinarnie w ramach relaksu. A tym razem miał dobry pretekst.

– Wygląda super!

– I tak smakuje. Częstujcie się, a ja przygotuję coś do picia. Co chcecie? Byle nie piwo! Bo i tak nie mam.

– Wino – odparły jednocześnie.

– Ale jesteście bezproblemowe! – zażartowała Greta, odkorkowując butelkę wytrawnego merlota. – Felicja, zaczynaj opowiadać, bo już nie mogę się doczekać. Sto razy układałam sobie w głowie to wszystko, ale dalej mam luki. To jakaś niesamowita sprawa!

Zajęły fotele w salonie, ponieważ kanapę jak zwykle okupowała czwarta i zdecydowanie najważniejsza kobieta w tym domu: Księżniczka, ukochana kotka perska Pazików, staruszka uratowana z pseudohodowli. Nikt nie ośmieliłby się jej stamtąd ruszyć lub choćby zakłócić spokój.

– Niesamowita, to fakt – przyznała Stefańska, w zamyśleniu obracając w dłoni kryształowy kieliszek i przypatrując się pod światło rubinowemu napojowi. – Genealogiczna, jak mówi Ryba. Ale tak naprawdę to po prostu historia, która nie została zamknięta w swoim czasie.

– Czyli to Bagiński zabijał? Kto by pomyślał, taka sława, a jednak urodzony morderca. Nigdy za nim nie przepadałam, straszny bufon, choć przystojny.

– I zdolny – dodała Malinowska. – Bardzo zdolny.

– Zdolności muzyczne odziedziczył podobno po ojcu, który zajmował się organizacją koncertów w kuźni, kiedy jeszcze była pensjonatem. On był w ogóle od kultury. Ale czy Bagiński jest urodzonym mordercą, tego nie wiem.

– Jak to?

– On był... jak by to powiedzieć... tylko wykonawcą, marionetką. Sterowała nim jak pajacykiem jego matka. – Felicja upiła łyk wina i odstawiła kieliszek. – Pani Wiktoria Bagińska.

Greta znieruchomiała z koreczkiem serowym nadzianym na wykałaczkę, którego nie zdążyła donieść do ust.

– Ta staruszka? Serio? Wspominałyście już o tym, ale myślałam, że żartujecie. To przecież nobliwa, urocza, starsza pani!

– A jednak to ona była motorem tych wszystkich zdarzeń.

– Co nimi kierowało? – zdziwiła się Pazikowa. – To para wariatów? Chcieli przejąć kuźnię? Nic z tego nie rozumiem – westchnęła. – Opowiedz wszystko od początku, ale tak, żebym mogła to uporządkować.

– Nie są wariatami, a przynajmniej nie w sensie medycznym – odparła dziennikarka. – To dziwacy, ale wiedzieli, co robią. Przynajmniej ona. Czy chcieli przejąć kuźnię? W pewnym sensie. W sumie to zwykła historia. Wszystko zaczęło się przed wojną, gdy budynek kuźni kupił Markus Davidsohn wraz z polską żoną, z domu Maciejewską. Bo Markus, jak wiecie, był Żydem. Z pochodzenia. Davidsohnowie nabyli kuźnię w stanie bliskim ruiny, od lat opuszczoną i nieużytkowaną, od niejakiego Kralla, niemieckiego przedsiębiorcy, który zbankrutował. Markus miał majątek, może niewielki, ale rokuszący, ponieważ dorobił się na handlu. Wyremontował budynek i stworzył w nim hotel czy też pensjonat, który w takim kurorcie, jakim wówczas było Kryszewo, szybko stał się modny. Malownicze otoczenie, legendy, aura tajemnicy. Bajki o diable i skarbach tylko temu sprzyjały, w tamtych czasach takie klimaty cieszyły się



powodzeniem. A Davidsohn potrafił je wykorzystać, prowadził interes z oddaniem, z wyobraźnią i świetnie mu szło. Oprócz żony miał jeszcze dwóch wspólników: szefa kuchni nazwiskiem Miotke, prawdopodobnie lokalsza, Kaszuba, oraz Huberta Schlamma, który w zasadzie nie wiadomo, kim był. To najbardziej tajemnicza postać. Nawet stara Bagińska nie potrafi dokładnie określić jego pochodzenia. Twierdzi, że chyba był gdańszczaninem, raczej Niemcem, ale do końca nie jest tego pewna. Wie tylko to, że jego rodzina osiadła w Gdańsku, w Danzigu, na terenie Wolnego Miasta, a jak wiecie, Kryszewo wchodziło w jego skład. Moim zdaniem był mieszkańcem, jakich tu nie brakowało. I tę swoją wielonarodowość bez pardonu potrafił wykorzystać w zależności od tego, skąd wiał wiatr. Uchodził za najlepszego przyjaciela Markusa i wszystko mu zawdzięczał. Ale to właśnie on go zdradził, donosząc na niego Niemcom w czasie wojny. Doprowadził do aresztowania oraz wymordowania rodziny Davidsohnów, wtedy już Maciejewskich, gdyż Markus, jeszcze przed wybuchem wojny, dla bezpieczeństwa przyjął nazwisko żony. Takie informacje zachowały się nie tylko w pamięci twojego znajomego, pana Konke, ale także wśród izraelskich krewnych Markusa. Dlaczego to zrobił? Zapewne z chęci przypodobania się hitlerowcom, ale chyba nie tylko: prawdopodobnie chciał przejąć interes. To był obrzydliwy typ. Najpierw wlaził w dupę szkopom, a po wkroczeniu tu Armii Czerwonej ruskom. Wtedy z kolei kablował na osoby „niemieckiego” pochodzenia, wielu autochtonów zostało przez niego wypędzonych ze swoich domów, uprowadzonych do sowieckich obozów pracy, jak choćby pan Konke, albo skończyło w stalinowskim więzieniu, z którego mało kto wracał żywy. To wówczas Schlamm zmienił nazwisko na Bagiński. Ale Kaśka odkryła coś jeszcze...

– Nie ja, tylko proboszcz – sprostowała dziewczyna.

– Niech ci będzie. W każdym razie natknęli się z Kaśką w starych księgach parafialnych na jakiegoś lokalnego mieszkańca Kryszewa nazwiskiem Bagno. Być może to ta sama urocza rodzinka.

– To możliwe – przyznała Greta. – Nie udało się jednak temu całemu Schlammowi przejąć hotelu po śmierci Davidsohnów. Co było dalej?

Stefańska wzruszyła ramionami.

– Szkopy to nie byli idioci. Od razu się kapnęli, z kim mają do czynienia, wykorzystali gnoja i kopnęli w dupę, a budynek przejęli do własnych celów. Nie wiadomo dokładnie, jakich, bo przecież mieli już w Kryszewie duży wojskowy hotel i sanatorium, uzdrowisko. Późniejszą starą szkołę, wtedy należącą do Stoczni Gdańskiej. Ale w kuźni urządzili sobie bazę, którą po „wyzwoleniu” przejęli Sowieci. Natomiast Schlamm, już wtedy Bagiński, być może liczył na to, że po wojnie, kiedy sytuacja się uspokoi, przejmie hotel jako były udziałowiec. Wtedy nikt jeszcze do końca nie wierzył, że komuna się tu długo utrzyma. Przeliczył się, to już wiemy. Schlamm był najmłodszy z całej trójki i ponoć najprzystojniejszy. Urodę odziedziczył po nim synalek. Tatusz spryciarz przezornie wzenił się w rodzinę poprzedniego właściciela, tego Kralla, o którym wspominałam wcześniej. Wikta Bagińska to jego córka. Przypadkiem wyszło, że z domu Król, a wcześniej Krall. Ci też spolszczyli sobie nazwisko. Kiedy Bagiński zmarł, pałeczkę przejęła jego młoda żona.

– No dobrze, ale na co oni liczyli? Ci Bagińscy? – dociekała Greta. – Po co im było to wszystko, skoro twierdzisz, że nie są obłąkami?

– To trochę skomplikowane. Bagińska wbiła sobie do głowy, że kuźnia to jej scheda, którą kiedyś odzyska ona albo przynajmniej syn, dlatego tak jej pilnowała. Najpierw jako działaczka społeczna, pierwsza sołtyska, potem już z rozpędu, z pomocą i za pośrednictwem Teresy Mruk. Nawiasem mówiąc, z domu Maciejewskiej. Wmówiła jej, że to ich wspólna misja. Obie nie chciały dopuścić do tego, żeby budynek ktoś kupił lub przejął i zaczął go remontować. Miał stać pusty, nienaruszony. I czekać.

– Czyli nie chodziło o skarby?

Felicja się uśmiechnęła.

– Nie. Wszystko, co tam zostało z majątku Davidsohnów, zgrabili Niemcy, a jeśli nawet nie wszystko, to resztę wywieźli Rosjanie i rozkradła miejscowa ludność, również ta napływowa, ze wschodu. Ci przynajmniej nie bali się diabła, bo o nim nie wiedzieli. Ale jest coś jeszcze. Podobno Davidsohn dowiedział się, że Schlamm jest zdrajcą, i prowadził własne śledztwo, dokumentował wszystko i całe swoje archiwum związane z tym dochodzeniem ukrył gdzieś w hotelu, prawdopodobnie zamurował, o czym poinformował wspólnika. I ten fakt był głównym powodem determinacji Bagińskiej. Nie mogła dopuścić, by wypłynął. Wyobrażacie sobie, co by się działo, gdyby nagle okazało się, że miejscowa duma, uwielbiany przez wszystkich celebryta, słynny artysta, jest synem wojennego zdrajcy, kapusia działającego na dwa fronty, komunistycznego agenta, pospolitego oszusta, z ukrytą opcją niemiecką, a do tego, że jego pierwotne nazwisko brzmiało... Bagno?! – Felicja teatralnym gestem załamała ręce, po czym sięgnęła po kieliszek z winem.

- No tak...
- Może znajdziecie te dokumenty podczas renowacji kuźni. To bardzo prawdopodobne.
- O ile istniały.
- Prawda.
- Z tego wynika, że moi nieszczęśliwi radni zginęli tylko dlatego, że pracowali nad projektami zagospodarowania starej kuźni?!
- Niestety. A zaczęło się dawno temu, od tego Miotka, który był pierwszą ofiarą Bagińskich, wtedy jeszcze męża i żony, sołtyski.
- Czy to był ten sam Miotke? Kucharz z pensjonatu?
- Nie, ten zginął pod koniec wojny. Raczej jego syn. Widocznie za bardzo interesował się budynkiem, a może jego przeszłością. Nawiasem mówiąc, czy wiecie, że Marcelina Mruk nazywa się z domu Miotk?
- Miotk czy Miotke? – zapytała Malinowska.
- Miotk. Ale kto tak naprawdę do tego dojdzie... Sama widzisz, że każde nazwisko można zmienić. A tuż po wojnie nie było z tym najmniejszego problemu. Jak wiecie, nie wierzę w przypadki.
- Matko, toż to jakaś rodzinna mafia! – Chwyciła się za głowę Pazikowa. – Mów, co było dalej – zwróciła się do przyjaciółki, która wyjadała sałatkę, stojąc przy bufecie.
- Felicja z talerzykiem w ręku wróciła na fotel.
- Dalej to już nic – odparła. – To znaczy nic szczególnego. Kownacki zginął, bo był durniem i uwierzył w skarby, próbował sam je znaleźć, a do tego chciał sprzedać kuźnię Chińczykowi. Został przyłapany przez Bagińskich na gorącym uczynku i na miejscu unieszkodliwiony. To niby miał być pojedynczy przypadek, ale twój wice razem ze Zgierskim pociągnęli sprawę i na dodatek zaczęli chyba coś podejrzewać, bo szukali w archiwum informacji o Bagińskich. Musieli zginąć. Muzyk działał przebiegle, wykorzystując swój status artysty w rozjazdach. Nie sposób było kontrolować, gdzie i kiedy był, stale podróżował. Do tego mieszkał na odludziu. Mógł w każdej chwili skręcić w zapomnianą boczną drogę, zostawić samochód w lesie, załatwić kogoś i pojechać dalej w trasę. Nikt by tego nie zauważył, nawet domownicy. Z zagranicznych wojaży przywiózł telefon na kartę, praktycznie nie do wyśledzenia u nas, którym się posługiwał, a do pomocy miał naiwną, zapatrzoną w niego Marcelinę. Do pewnego stopnia wciągnęli w swoje brudy nawet Teresę Mruk. W każdym razie ostatnie esemesy do mnie z jej komórki wysyłał Bagiński. Podobno zabrał jej telefon pod jakimś pretekstem. Kiedy jednak zorientowała się, o co chodzi, o mały włos nie stała się kolejną ofiarą. Podobnie jak Marcelina, bo chociaż ograniczona, w ostatniej chwili jednak postawiła na dobrego konia...
- Czyli Teresa jest niewinna?
- Powiedzmy. Wybroni się.
- A co będzie ze starą Bagińską? Wsadzą za kraty przeszło dziewięćdziesięcioletnią kobietę?!
- Wątpię. – Felicja lekko się skrzywiła. – Niczego jej nie udowodnią, choć teraz stała się rozmowna i śpiewa jak skowronek. Głównie od niej wszystko wiemy. Z tym że jej to wcale nie zaszkodzi. Wiadomo, że w tym wieku umysł może płatać figle. Do tego synek wziął całą winę na siebie. Przysięga, że *maman* o niczym nie wiedziała.
- Ale kiedy go zamkną...
- W najgorszym razie *maman* wyląduje w prywatnym zakładzie opieki. W najlepszym trapiąca wyrzutami sumienia Teresa się nią zaopiekuje, podobnie jak starą willą Krallów, do czasu, aż Bagiński wyjdzie z więzienia.
- Jeśli wyjdzie. Grunt, że już nikomu nie zaszkodzą. Tak mi żal moich ludzi! Nawet tego młodego Kownackiego. Wiem, że był faszystą, a raczej zabawiał się w ten sposób. Swoją drogą, co za ironia losu.
- Pociesz się, że tacy jak on innym nie współczują. Przeciwników wieszaliby na latarni lub strzelali im w tył głowy. Są z tego dumni. A ich przeciwnikiem jest każdy, kto nie myśli jak oni – odparła twardo Felicja.
- Mimo wszystko. On przecież nikogo nie zabił. Nikt nie zasługuje na taki los.
- Stefańska machnęła ręką.
- Miętka jesteś, Gretko – skomentowała.
- Zaraz. A pies?! – przypomniała sobie Kaśka.
- Co pies? – Felicja zmarszczyła brwi. W pierwszej chwili nie zrozumiała, co asystentka ma na myśli.
- No pies Bagińskich! Faktycznie ktoś go otruli?
- Nie sądzę, młoda. Przypuszczalnie sam się czymś strulił, jak podejrzewał wet. Albo umarł ze sta-

rości. Nie musisz się zamartwiać. Bagiński cynicznie to wykorzystał w charakterze zasłony dymnej. Zdaje się, że w tej dziedzinie był mistrzem, co najmniej jak w muzyce.

– Co za porębana historia! – westchnęła dziewczyna. – Nic dziwnego, że nawet policja na to nie wpadła.

– Nikt normalny by nie wpadł. – Felicja pokiwała głową z uśmiechem.

## EPILOG

Fragment notki prasowej autorstwa Katarzyny Malinowskiej.

Listopad.

W trakcie prac renowacyjnych w budynku zabytkowej kuźni w Kryszewie dokonano ciekawych odkryć o charakterze historycznym. Są to trzy różne znaleziska, z których dwa pochodzą z okresu drugiej wojny światowej, trzecie jest znacznie starsze.

*Pod posadzką obok dawnego paleniska, gdzie znajdował się słynny odcisk diabelskiego kopyta, znaleziono archiwum dawnego właściciela obiektu z okresu międzywojennego i drugiej wojny światowej, w którym wówczas mieścił się hotel (znany również jako pensjonat Pod Czarcim Kopytem). Archiwum zawiera komplet odbitek oraz klisz fotograficznych, a także odręczne zapiski. Materiały dotyczą codziennego życia i działalności hotelu, stanowiąc interesujący przyczynek do historii tego miejsca. Zbiór został uprzednio odpowiednio zabezpieczony i zamurowany, zapewne przez ówczesnych gospodarzy obiektu, i zachował się w dobrym stanie. Docelowo stanie się częścią ekspozycji muzealnej po zakończeniu renowacji budynku, który będzie służył w naszej gminie celom kulturalnym.*

*Kolejne znalezisko nosi znamiona prawdziwej sensacji. Otóż w podziemiach budynku, do których dojście do tej pory zagrażały kilkumetrowe zwały gruzu, odsłonięto i wydobyto drugie, o wiele okazalsze archiwum, ukryte tam zapewne przez hitlerowców pod koniec wojny, kiedy Niemcy przejęli obiekt po wymordowaniu rodziny hotelarzy o korzeniach żydowskich. Z informacji wojewódzkiego konserwatora zabytków wynika, że nowo odkryty zbiór zawiera tajną dokumentację Danziger Werft AG (Stoczni Gdańskiej), produkującej wówczas głównie U-Booty. Znalezisko może mieć wręcz unikatową wartość historyczną i zostało przekazane do dalszych badań naukowych.*

*Trzecim odkryciem jest tak zwany skarb, czyli zbiór starych monet pochodzący prawdopodobnie z XVII wieku, czyli z epoki, gdy z nadania królewskiego powstała stara kuźnica (14 kwietnia 1642, Władysław IV Waza). Trudno dziś niestety stwierdzić, czy może to być ten sam skarb, który autochtoniczna ludność od setek lat przypisywała lokalnemu diabłu. Zainteresowanych odsyłamy do miejscowych legend.*

K.M.

## OD AUTORKI

Jestem winna wyjaśnienia wszystkim Czytelnikom. Najważniejsze dotyczy oczywiście prawdy i fikcji zawartych w powieści. Jak już zostało wspomniane na początku, opisana historia została przeze mnie wymyślona. Nie istnieją i nie istniały pierwowzory postaci w świecie rzeczywistym. Kryszewo również jest miejscowością fikcyjną, choć ono akurat ma odzwierciedlenie w życiu. Nie jest do końca lustrzane, gdyż takich miasteczek jest w Polsce wiele i każdy może znaleźć podobne w swoim regionie, niekoniecznie na Pomorzu. Jeśli chodzi o mnie, to tworząc obraz miasteczka na potrzeby książki, oczami duszy widziałam to, które jest mi bliskie.

Prawdziwe natomiast są tło społeczne i historyczne powieści, a także – częściowo – stara kuźnia. W moim miasteczku było kilka takich kuźni. Jedna z nich powstała w 1640 roku z nadania króla Władysława IV Wazy. Pozostałości po niej można i dziś oglądać. W innej dawnej kuźni – tyle że mniejszej – obecnie mieści się... pizzeria serwująca pyszną pizzę.

O losach mieszkańców Pomorza Gdańskiego w czasie drugiej wojny światowej nie trzeba nic dodawać, wiadomo, jakie były. Podobnie działo się w każdym miejscu na styku kultur, zamieszkiwanym przez przedstawicieli wielu narodowości, jednak sytuacja Gdańska była szczególna.

W ten sposób realne życie przenika się z fikcją literacką. Co do tej drugiej: to ostatnia część cyklu z Felicją Stefańską w roli głównej. Przynajmniej na razie, bo przecież nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Tymczasem proszę, trzymajcie kciuki za Felicję, Gretę i Kasię Malinowską, gdyż każda z nich – gdzieś tam, w swoim świecie – zaczyna właśnie nowy etap życia.

Świat fikcyjny ma jednak przewagę nad rzeczywistym: zawsze można w nim cofnąć czas i wrócić do przeszłych wydarzeń. Mam nadzieję, że będziecie wracać do książek z tymi bohaterkami. Dzięki Wam one żyją.

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wszystkim osobom, którym zawdzięczam powstanie tej książki.

Andrzej Kruk, mój sąsiad, zaprzyjaźniony archiwista i nieformalny dokumentalista, uzdolniony fotograf, kolekcjoner lokalnych antyków i starych pocztówek. Lokalny patriota (jak Greta Pazik), który przekazał mi nie tylko informacje, ale także pasję. Prowadzi na Facebooku stronę „Kocham Kolbudy”. Zachęcam do jej obserwowania i podziwiania pięknych fotografii, by poznać klimaty Felicji.

Aldona i Daniel Saganowie, zaprzyjaźnieni kampermaniacy. To im Felicja zawdzięcza podróż kamperem przez świat, a ja rady i wsparcie moralne. Zapraszam do śledzenia świetnych filmów Aldony i Daniela na ich kanale na YouTube oraz ich stron w mediach internetowych. Oto linki:

[www.kampermaniak.pl](http://www.kampermaniak.pl)

<http://www.instagram.com/kampermaniak>

<http://www.fb.com/KamperManiakOfficial>

<https://www.youtube.com/@KamperManiak>

Joanna Pomorska, moja siostra (prawie rodzona). Była redaktorka, która zawsze jako pierwsza fachowo i bezlitośnie sprawdza całość, wychwytyując błędy.

Marek Okoński, który od początku serii doradzał mi w kwestiach policyjnych.

Bożena Szpadzik, szefowa naszej biblioteki, za to, że jest i czuwa.

Jacek Śliwa, który czuwa nad moimi książkami w wersjach elektronicznych, obecnych w sieci, bo sama nie do końca ogarniam temat.

Koleżanki i koledzy autorzy, z którymi „dzielę los”, a także blogerzy, recenzenci, krytycy, którzy nieustannie mnie wspierają i towarzyszą mi w pracy. Sąsiedzi w szerokim rozumieniu – za zaangażowanie. Dziękuję Kasi Podhajskiej, która bezinteresownie promuje moje książki na grupach i stronach.

Krzysztof, mój mąż, który sprawdza rozdział po rozdziale na bieżąco w trakcie pisania.

Paweł, brat, któremu stale zaśmieciam skrzynkę mailową swoimi plikami w celu ich zabezpieczenia.

Magda, dorosła bratanica, studentka dziennikarstwa, współprowadząca moją stronę na Instagramie.

Moja Mama Danuta oraz Lucyna Wilkoszewska, przyjaciółka od dziecka – obie mnie stale mobilizują i podtrzymują na duchu.

Nasze zwierzaki: koty Sylwus i mały Rudzio, sunia Niunia, miks jamnik, adoptowana po stracie poprzedniej opiekunki. Cudowna, mądra i czuła dziesięciolatka. Nie wyobrażam sobie życia bez czworonogów. To one pocieszają i dodają sił.

Dziękuję wydawnictwu Purple Book. Wszystkim redaktorom i pracownikom na ręce pań: Igi Rembiszewskiej, Anny Kubalskiej oraz Renaty Bogiel-Mikołajczyk. Osobno pani Joli Kucharskiej za pieczę nad tekstem, a także ulubionemu grafikowi za fantastyczne okładki.

Oraz WAM, Czytelnikom. Za to, że jesteście.

Kochani, dziękuję. Za wszystko.

Anna Klejzerowicz